

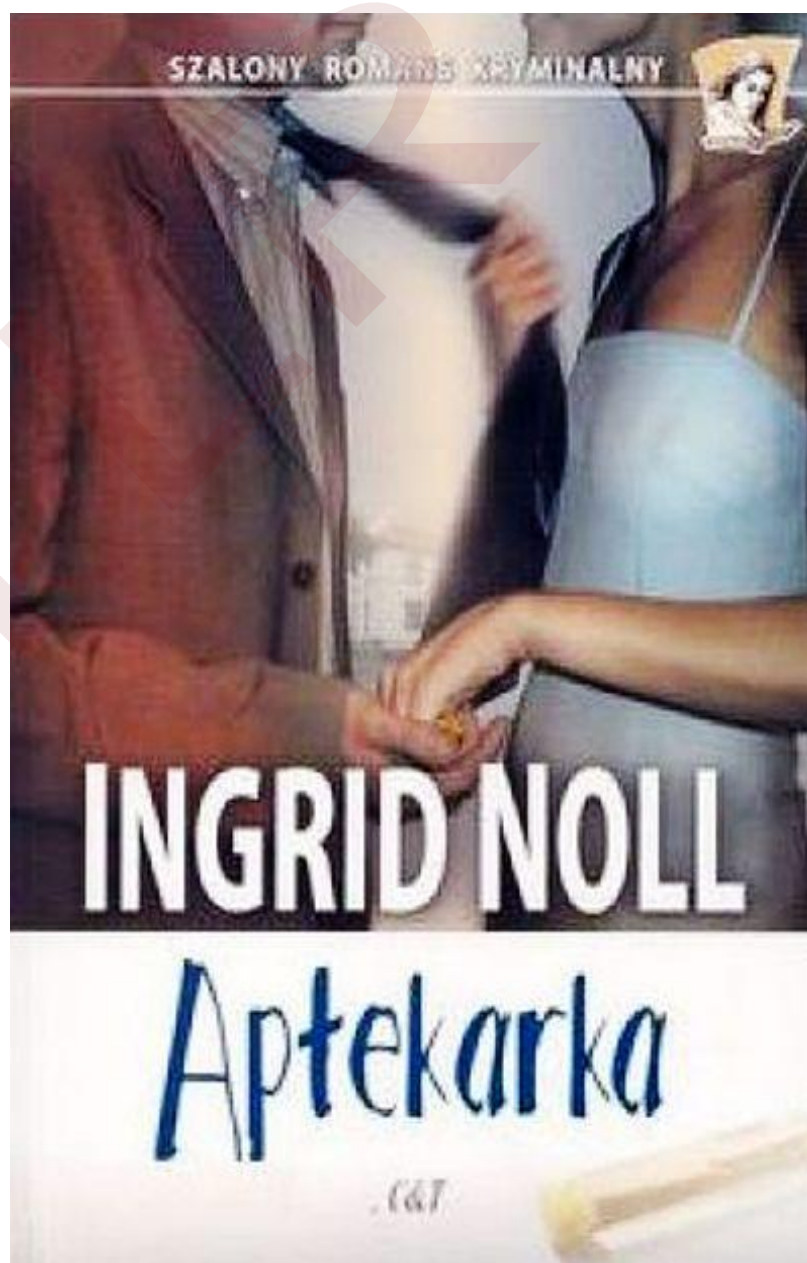
Dla Gregora



INGRID NOLL

APTEKARKA

Przekład: KAROLINA KUSZYK



Poza rodzinnym powiedzeniem „O pieniądzech się nie mówi, pieniądze się ma” mama nie odziedziczyła po swoim klanie żadnych dóbr. Wobec ojca zachowywała się służalczo; pod jego nieobecność urastała za to czasem do rozmiarów tyranozaura. Dla nas, dzieci, stało się to jasne dopiero wtedy, kiedy ojciec bez wyraźnego powodu postanowił ukrócić cielesne rozkosze do tego stopnia, że przestał jeść mięso i zaczął nawracać na wegetarianizm również własną rodzinę. Od czasu do czasu jednak — w końcu jeszcze rośliśmy, a on był człowiekiem miłosiernym — wspaniałomyślnie zezwalał nam na kawałek lionńskiej wędliny, a w niedzielę na jedno jajko czy trochę mięsa mielonego jako dodatek do sosu pomidorowego.

Podczas gdy inne gospodynie domowe o czwartej po południu parzyły sobie kawę, nasza gruba, mała matka urządzała wówczas dla siebie, dla mnie i mojego brata istne mięsne orgie. Był to jedyny przypadek współnictwa, jakiego się dopuściła, będący dla nas, dzieci, źródłem przyjemności przemieszanej z odrazą.

Jak przy usuwaniu niepożądanych zwłok, przed powrotem ojca do domu musiały zniknąć wszelkie resztki mięsa. Ani jeden kawałeczek skóry, ani jedna kosteczka, grudka tłuszczu, zapach czy tłuste talerze nie miały prawa świadczyć o naszym tajemnym przestępstwie. Szorowaliśmy zęby, wypróżnialiśmy kosz na śmieci, a kuchni przywracaliśmy niewinność, rozpylając odświeżacz powietrza o cytrynowym zapachu.

Ja w gruncie rzeczy byłam mimo wszystko córeczką tatusia i nasza mięsna zdrada przysparzała mi cierpień. Gdyby ojcowska metamorfoza nie dokonała się na rok przed wielką traumą mojego dzieciństwa, uważałabym pewnie, że stało się to z mej winy.

Mój ojciec też lubił przysłowia, jeśli chodziło o pieniądze. Wcześniej dowiedzieliśmy się, że nie śmierdzą ani nie leżą na ulicy, że rządzą światem, ale szczęścia nie dają. Najczęściej jednak pomrukiwał: „Nie ma tematu pieniędzy”. Wydawał je, jak mu się żywnie podobało; kiedy mojemu bratu zachciało się w

wieku jedenastu lat uczyć się gry na fortepianie, bez żadnych ceregieli kupili mu fortepian koncertowy, który do dziś zajmuje salon rodziców, chociaż brat bębnił w niego tylko przez osiem miesięcy. Z drugiej strony ojciec upierał się, żebym ekierki, markery, spinki i buty do tenisa kupowała sobie z własnego kieszonkowego. Nawet matka nie wiedziała, ile zarabia jej mąż, ale wychodziła z założenia, że płacą mu znakomicie. Ponieważ nie było u nas tematu pieniędzy, matka musiała od czasu do czasu przemycić swoje potrzeby finansowe w zaszyfrowanych aluzjach. A mnie jako prezent maturalny ojciec podarował mały samochód, którego tak właściwie życzył sobie mój brat.

Wcześniej nauczyłam się, że miłość rodzicielską można zdobyć osiągnięciami. Rodzice byli dumni z moich dobrych świadectw, pilności i pierwszych sukcesów w roli małej pani domu.

Mam kilka zdjęć, na których ubrana jak ogrodniczka, ze słomianym kapeluszem na głowie krzątam się z konewką w ręku. Mój ojciec uwiecznił mnie też w roli kucharki, która w wielkim kraciastym fartuchu z przejęciem dekoruje babki piaskowe pastą do zębów, a także — co istotne — w roli pielęgniarce. Wszystkie lalki i misie leżą poukładane w moim dziecięcym łóżeczku, połamane członki mają obwiązane bandażami z papieru toaletowego. Niektóre przechodzą odrę — to te, które mają na twarzach punkciki zrobione przeze mnie czerwoną kredą. Przypominam sobie jeden jedyny raz, kiedy mój syndrom pielęgniarce stał się powodem kłótni rodziców. Chciałam wówczas, stosując z pasją oddychanie usta-usta, przywrócić życie zdechłemu już dawno kretowi.

Wtedy wydawało mi się jeszcze, że jestem ulubienicą rodziny: pilna, miła dziewczynka, która chętnie chodzi w chusteczkach na głowie. Odkąd zaczęłam naukę w szkole, spełniałam wszelkie oczekiwania. Byłam żądną wiedzy uczennicą, która z czasem zaczęła przodować w naukach przyrodniczych. Już w wieku dziesięciu lat zbierałam rośliny, suszyłam je i wklejałam do zielnika, który mam do dziś. Ja sama i wszystkie moje rzeczy musiały być czyste i w jak najlepszym porządku, mój pokój wprost błyszczał, towarzyszki zabaw dobierałam sobie na własny obraz i podobieństwo, hodowlę dżdżownic, którą założyłam w piwnicy, higienicznie odseparowałam od suszących się nieopodal jabłek.

W szkole podstawowej moja zorientowana na osiągnięcia postawa nie zaskarbiła mi życzliwości koleżanek i kolegów. Wyśmiewali mój zwyczaj skrę-

nego podkreślania od linijki szczególnie ważnych zdań w podręcznikach żółtym markerem: byłam dla nich zwyczajnym kujonem. Na próżno starałam się zdobyć przyjaciółki. Nieustające pochwały ze strony nauczycieli tylko pogarszały sytuację.

To się wydarzyło, kiedy miałam dwanaście lat. Była akurat krótka przerwa, nauczycielka wyszła z klasy, a ja pobiegłam do naszej toalety, którą z nerwów i tak odwiedzałam aż nazbyt często. Kiedy chciałam wrócić do klasy, okazało się, że nie mogę otworzyć drzwi. Z drugiej strony napierał na nie jakiś tuzin dzieci, słychać było tłumione szepty i chichot. Właściwie nie należę do osób, które łatwo wpadają w panikę, ale tego smutnego styczniowego dnia czułam się pasudnie przez cały ranek, tak że teraz nie mogłam powstrzymać łez. Całym ciałem mocno napałam na drewniane, pokryte szarą emulsją, porysowane drzwi, które dzieliły mnie od pozostałych dzieci. Lekcja miała zacząć się za kilka minut, powinnam więc była odczekać do dzwonka oznajmającego koniec przerwy — z nadejściem nauczycielki i tak wszyscy z minami niewiniątek zaraz pobiegliby do swoich ławek. Ale potraktowałam sytuację zbyt serio i wzięłam rozpęd...

Drzwi poddały się, jak gdyby nikt ich nigdy nie przytrzymał, a ja przeleciałam przez próg jak wystrzelona z pistoletu. Poczułam jeszcze tylko, jak mosiężna klamka pod naciskiem mojej ręki wbija się w coś twardego, po czym z hukiem wylądowałam na zielonym linoleum klasy, i niemal w tej sekundzie weszła nauczycielka. Moi wrogowie z szybkością wiatru znaleźli się na swoich miejscach.

Oczywiście padło pytanie, co się stało. Nie puściłam pary z ust, zdrada była niewybaczalna. Wkrótce w klasie zapanował spokój, ale brakowało jednego chłopca. „Widziałam, jak Alex wychodził i tak się jakoś zataczał”, powiedziała dziewczynka z mojej ławki. Nauczycielka wysłała jednego ucznia, żeby go poszukał, ale Alexa nigdzie nie było. W końcu sama wyszła na korytarz; wypełniając jak należy swój pedagogiczny obowiązek, zajrzała nawet do męskiej toalety. Wreszcie ktoś powiedział, że Alex na pewno poszedł do domu, bo się bał, że go zakapuje. I rzeczywiście mogło tak być, bo ciągle znajdował jakąś wymówkę, by wymigać się od lekcji.

Znaleźli go cztery godziny później. Przy obdukcji stwierdzono, że z całej siły wbiłam mu kłamekę w głowę. Pech chciał, że kiedy wszyscy inni puścili drzwi, on został na miejscu, chcąc mnie podglądać przez dziurkę od klucza. Ukrył się potem w magazynku z mapami, pewnie z strachu przed karą i otepiał ostry bólem głowy. Umarł z powodu silnego krwotoku mózgu.

Potem było dochodzenie, z którego bardzo niewiele pamiętam. Kiedy na mojej ławce zaczęły się pojawiać pierwsze kartki z mniej lub bardziej anonimowymi inwektywami, rodzice zdecydowali, że muszę zmienić szkołę. Na wyrwanych z zeszytu kartkach w linii powtarzało się słowo MORDERCZYNI.

Ojciec od czasu do czasu przyglądał mi się bardzo długo, zmęczonymi i pełnymi łez oczyma.

Zabrali mnie ze szkoły i umieścili w żeńskim gimnazjum prowadzonym przez siostry urszulanki. Byłam grzeczna i zachowywałam się odpowiednio do sytuacji. Moją dewizą było: „byle nie rzucić się w oczy”. Zresztą nie spotkałam się z wrogością; tutaj nikt nie wiedział, że zamordowałam Alexa, bo moja szkoła była w innej gminie. Uchodziłam za nudną prymuskę i było mi z tym dobrze. Moja postawa uległa zmianie dopiero, kiedy skończyłam szesnaście lat i zaczęła we mnie wzbierać nieokreślona tęsknota za drugą — męską — połową.

To wspomnienie nie daje mi spokoju, teraz, kiedy muszę tu leżeć dzień i noc i kiedy nie mogę tak po prostu wstać i wyjść.

W tym szpitalu trudno o spokój. Nawet gdy płacisz za pierwszą klasę, wsadzają cię do dwuosobowego pokoju. Nie mogę tu nic rozsądnego czytać. Nieustanne zawracanie głowy przez pielęgniarki, ciągle mierzenie temperatury, tykanie tabletek, brak wszelkich zmysłowych przyjemności, czekanie na szpitalne posiłki bez smaku, mniej lub bardziej zamierzone podsłuchiwanie rozmów innych odwiedzających — wszystko to nadaje dniom tutaj ten sam sztywny rytm. Wczesnie gasimy światło. A ja opowiadam wtedy, niby Szeherezada, co ciekawsze fragmenty z mojego życia; za to pani Hirte, która leży w łóżku obok, nie ma chyba żadnych intymnych szczegółów do odsłonięcia. Od starej panny trudno oczekiwać czy to ekscytujących miłości, czy porządnego skandalu. Leży tutaj, w klinice chorób kobiecych w Heidelbergu, ponieważ usunięto jej macicę. Twier-

dzi, że był to zwykły mięśniak, niegroźna narośl, która jej zwyczajnie przeszkadzała. Ja myślę, że to rak.

Dobrze, że Paweł przyniósł mi przynajmniej albumy ze zdjęciami. Często je przeglądam, kiedy znudzi mnie czytanie. Czasami pokazuję niektóre zdjęcia mojej towarzyszce. Ona jest całkowitym przeciwieństwem mnie: pięćdziesiąt osiem lat, włosy zafarbowane płukanką o gołęsim odcieniu. Odwiedzają właściwie tylko jedna kobieta, jeszcze starsza od niej, która przez cały czas rozprawia tylko o swoim psie i własnych przeżyciach ze szpitala. Kiedy Paweł siedzi przy moim łóżku, pani Hirte przygląda mu się nie bez pewnego zainteresowania; kiedy rozmawiamy cicho, udaje, że śpi, ale jestem pewna, że przysłuchuje się moim rozmowom tak samo jak ja jej.

Moja sąsiadka wie już o stygmacie morderczynie, którym naznaczono mnie w wieku dwunastu lat. Wysłuchiwała całej historii z niekłamaną ciekawością.

Opowiadam nieznajomej moje życie, może dlatego, że jest to dla mnie rodzajem terapii, za którą w porównaniu do słynnej kozetki nie płacę ani grosza. W każdym razie dobrze mi robi to, że obcej kobiecie, której może już nigdy w życiu nie zobaczę, zwierzam się z własnych przeżyć, kiedy pokój tonie w zapadającym zmierzchu.

Chętnie przesłabym z nią na ty, ale jako młodsza nie mogę tego zaproponować. Żeby przełamać lody, powiedziałam, że może mi mówić po prostu Hella. Dała mi odprawę. Ale czego spodziewać się po kobiecie, która nawet do swojej tak zwanej przyjaciółki zwraca się per „pani Romer”.

— Gdyby miała pani siedemnaście lat, pani Moormann — rzekła — mogłoby to wchodzić w grę...

Rozdrażniona odparłam:

— No tak, w zasadzie mogłaby być pani moją matką.

Trafiłam w czułe miejsce. Zza okularów posypały się błyskawice.

Ale tak właściwie to się lubimy. To niesamowite, że ta kobieta opłakuje swoją macicę, znosząc jednocześnie ból jak żołnierz. W końcu w jej wieku usunięty organ jest tak samo zbędny jak zwykła narośl

Czasami, kiedy znika w toalecie, przeglądam jej rzeczy schowane w nocnej szafce i szafie z ubraniami. Pismo z kasy chorych zawiera co prawda jej datę urodzenia, stan cywilny (panna) i imię (Rosemarie), ale nie znalazłam żadnych osobistych listów ani zdjęć. Biżuterię i pieniądze zdeponowała w sejfie, jak mi sama powiedziała: „To lekkomyślne zostawiać w pokoju wartościowe rzeczy bez nadzoru”. Biedna raczej nie jest, w przeciwnym razie nie pozwoliłaby sobie na luksus dodatkowego ubezpieczenia pierwszej klasy. Jej perfumy, piżamy, szlafrok są drogie i w dobrym guście.

Zacząłam właśnie opowiadać, że już jako podłotek prowadziłam podwójne życie. W ciemności nie widziałam jej twarzy, ale jestem pewna, że się skrzywiła.

Kochałam mężczyzn, którym działo się jeszcze gorzej niż mnie. Moje przygody z nieodpowiednimi facetami nie doszły na szczęście do uszu koleżanek ze szkoły i nauczycieli, nie zostały jednak oszczędzone mej zszokowanej rodzinie. To chyba wtedy ostatecznie zламаłam mojemu ojcu serce. Jego niewinne dziecko o blond włosach włączyło się z niebieskimi ptakami i typami okaleczonymi przez los, których wolał nie oglądać na oczy. Co gorsza, te skłonności nie minęły mi wraz z okresem dojrzewania. W dzieciństwie odkręcałam lalkom nóżki, żeby je potem na nowo zmontować, później szukałam chorych męskich dusz, żeby je uleczyć. Łatwiej przychodziło mi zapomnieć o własnych problemach, kiedy potrafiłam być na tyle silna, żeby rozwiązywać cudze. Na fotografiach z dzieciństwa mam bardzo rezolutny, niemal szelmowski wyraz twarzy. Moje piwne oczy wydają się wszystko dokładnie rejestrować. Próbuje się w nie wpatrzeć: czy już wtedy można było w nich wyczytać tę chęć zdobycia miłości przez rozpieszczanie innych ponad miarę? Ta jakże kobieca potrzeba, która w naturalny sposób zwraca się ku malutkim dzieciom i którą częściowo zaspokajają prace w ogrodzie, gotowanie i dbanie o innych, w moim przypadku szukała sobie głównie męskich obiektów. Rodzice powinni byli wtedy zaproponować mi zajęcie w charakterze opiekunki do dzieci albo kupić mi kucyka. Zamiast tego oprawiali w ramki moje świadectwa.

Z początku nie zdawałam sobie nawet sprawy, że odmieńcy, chorzy i neurotycy przyciągają mnie jak magnes. Już w szkole miałam chłopaka, który był uzależniony od heroiny i chciał być przeze mnie uratowany. W owym czasie pożerałam kilogramy czekolady, dyskutowałam całymi nocami z moim płaczącym

narzeczonym i kradłam rodzicom pieniądze, papierosy i alkohol. Gdyby ukochany nie wylądował w więzieniu, pewnie do dzisiaj pracowałabym nad jego rehabilitacją. Byłam wtedy wierna jak pies.

Następny był bezrobotny marynarz. Naturalnie nie brakuje też w mojej kolekcji faceta cierpiącego na depresję, chronicznie chorego, odratowanego samobójcy i byłego więźnia z sępem wytatuowanym na klatce piersiowej.

Do powiększenia kolekcji nie mała przyczyniła się moja praca w aptece: dręczonym przez ból, którzy nocą pilnie potrzebowali lekarstw, otwierałam nie tylko przepisowe okienko w drzwiach, lecz wpuszczałam ich do środka, nie zważając na zakazy.

By wreszcie zrozumieć własną rolę we wszystkich tych tragediach, ciągle na nowo podejmowałam terapię i co rusz ją przerywałam. Cały mój czas wypełniało ratowanie innych. Zresztą nawet bez terapeuty było dla mnie jasne, że mnie, grzeczną dziewczynkę, przyciąga wszystko, co mieszczańskie społeczeństwo wyrzuca poza margines. Bałam się tej niebezpiecznej skłonności; zaczęły mnie męczyć koszmary, że zostaję zamordowana przez jednego z moich kochanków, że umieram, nie zdążywszy urodzić dziecka. Wtedy wydawałam się sobie bezwartościowa, ponieważ życie bez macierzyństwa uważam za przegrane. Przy całej mojej inteligencji i pilności wiedziałam zawsze, że moja cielesność jest równie ważna. Przynajmniej raz w życiu chciałam zakosztować tego, jak to jest, stanowić jedność z naturą i urodzić dziecko. Zegar biologiczny tykał. Dziecko oznaczało dla mnie niezwykle dużo: mieć przy sobie taką małą istotkę, kształtować ją, pokazywać jej całe mnóstwo ciekawych rzeczy, ochraniać i obdarowywać ile dusza zapragnie. Chciałam uczynić moje dziecko częścią tego wszystkiego, co wyznaczało moje życie. Nie mogło mu na niczym zbywać, począwszy od rodzicielskiej miłości, a na spinkach do włosów kończąc. Miałam zamiar postawić mu za wzór wspaniałego tatę, wykonującego przyzwoity, dający pewną przyszłość zawód, obdarzonego inteligencją i pochodzącego z dobrej rodziny. Moi ówcześni partnerzy nie wchodzili w rachubę.

Pani Hirte chrapała.

Którejś niedzieli odwiedziła mnie Dorit, moja stara przyjaciółka. Może przychodzić tylko wtedy, gdy Gero zostaje z dziećmi. Akurat sobie miło plotkowałyśmy; kiedy wszedł lekarz z wizytą. Dorit wyszła dyskretnie na korytarz. Pytania te, co zwykle: „Czy dobrze się pani czuje? Problemy z żyłakami? Czy szew nie sprawia bólu?”

— Kiedy mogę iść do domu? — spytała pani Hirte.

Lekarz oddziałowy niechętnie podejmuje decyzje, powinna go już na tyle znać. Zerkając na woreczek z moczem, pyta ironicznie:

— Chce pani iść do domu z założonym cewnikiem?...

Kiedy Dorit wróciła, powiedziałam jej, że nie cierpimy doktora Kaisera — pani Hirte tym razem wyjątkowo przytaknęła — w przeciwieństwie do doktora Johannsena, ordynatora.

— Ale ordynator za długo patrzy ci w oczy — wyjaśniłam Dorit — sama wiesz, że wtedy łatwo się zakochać.

Moja przyjaciółka roześmiała się i, czy to z nadmiaru tupetu, czy w zwykłym odruchu sympatii, spróbowała wciągnąć do rozmowy panią Hirte.

— Hella ma rację, nie sądzi pani?

Moja zaszuszone sąsiadka zamruczała coś pod nosem, po czym wyjęła Welt am Sonntag i zaczęła studiować dział Gospodarka.

Całymi dniami, ewentualnie nocami można opowiadać o swojej rodzinie, ale większość kobiet woli słuchać historii o mężczyznach. Zakładam, że pani Hirte nie pożyje długo i że nic nie wypaple — podaruję jej więc jeszcze kilka podniecających, bezsennych godzin. Na szczęście nie komentuje moich opowieści, ale czasem wymyka jej się: „Pani chyba oszalała”. To mnie bawi: mam ochotę trochę się z nią podrażnić. Opowiem jej o Levinie ze wszystkimi szczegółami.

Kiedy poznaliśmy się bliżej, pomyślałam, że moja faza „leczenia” mężczyzn dobiegła końca. Nareszcie miałam zupełnie normalnego chłopaka, wprawdzie młodszego o kilka lat i jeszcze na studiach, ale jego życie nosiło wszelkie cechy mieszczańskiej egzystencji. W duchu rozważałam małżeństwo i dzieci, ale za nic w świecie nie zdradziłabym się wówczas z moimi planami. Młodemu mężczyźnie trzeba dać czas.

Levin miewał w życiu ciężkie chwile, ale z tego powodu nie zaczął popełniać przestępstw, ani brać narkotyków, pić czy chodzić na dziwki. Jego matka zaraz po nagłej śmierci ojca przeprowadziła się ze swym nowym partnerem do Wiednia. Levin cierpiał z tego powodu. Niedaleko od Heidelbergu, niecałe pół godziny drogi od nas, mieszkał jego długowieczny dziadek, który miewał humory i jedynego wnuka używał głównie w charakterze gońca, szofera czy też do strzyżenia żywoplotu. Poznałam Levina — rzecz znamienita — kiedy chciałam kupić używany samochód.

Samochody oceniam wedle tych samych kryteriów, co pralki. Oprócz ceny i liczby przejechanych kilometrów interesuje mnie tylko kolor — powinien być delikatny.

Podczas gdy rozglądałam się po podwórzu handlarza samochodów, zauważyłam wysokiego jak sosna młodego człowieka, który zajęty był czytaniem ofert wetkniętych za przednie szyby samochodów. Nie zatrzymałam na nim wzroku, lecz rozglądałam się za sprzedawcą.

— Ten nie byłby chyba taki zły — powiedział młody człowiek, wskazując kabriolet.

Pokręciłam głową.

— Jechała już kiedyś pani odkrytym samochodem? — spytał. — Czując powiew wiatru na pani ślicznym nosku...?

Popatrzyłam na niego przestraszona.

— Ile zaproponowano pani za stary samochód? — nie poddawał się.

— Dwa tysiące — odparłam, złoścąc się na siebie w duchu.

Kiedy razem wkroczyliśmy do sklepu, pozwoliłam, żeby zajął się wszystkim. Niestety, wstydzę się targować. Levin targował się jak handlarz koni. Rezultat zrobił na mnie wrażenie, ale tak naprawdę wcale nie chciałam tego małego poważnego samochodu.

Wbrew sobie dałam się w końcu namówić na jazdę próbną: siedziałam obok Levina, który prowadził, podczas gdy sprzedawca z tylnego siedzenia wykrzykiwał mi głośno do ucha zalety pojazdu. A Levin pytał:

— Dlaczego nosi pani te piękne blond włosy tak krótko? To musi być wspaniałe, kiedy rozwiewa je wiatr...

— To niech pan sam kupi ten samochód, skoro jest taki wspaniały, to panu będzie wiatr włosy rozwiewał...!

— Dla nas studentów to poza zasięgiem.

To dlatego ta kusa wiatrówka z second handu. Biedny chłopak.

Dwie godziny później przed moim domem stał nazbyt czerwony kabriolet. Podpisałam umowę kupna na raty.

Przez kilka kolejnych dni nie mogłam oprzeć się podejrzeniu, że Levin potajemnie pracował dla handlarza samochodów — tak jak w handlu końmi, tak i tu wszystkie chwytaki są dozwolone. Ale myliłam się.

Kolejnego niedzielnego ranka ten dryblas odwiedził mnie w domu.

— Pogoda jest taka piękna... — zaczął.

Wyjaśniłam, że siedzę nad doktoratem, i dlatego pracuję w aptece tylko na pół etatu, weekendy spędzam na pisaniu, bo chcę to wreszcie skończyć, ale właściwie...

Levin zasiadł za kierownicą. Podarował mi okulary słoneczne, które kupił na pchlim targu. Wyglądała w nich podobno jak gwiazda filmowa. Można mi mówić, że mam dobre serce i że fajny ze mnie kumpel, ale komplementy odnoszące się do mojego wyglądu przyjmuję do wiadomości z niejaką rezerwą.

Jak się jednak okazało, Levin nie był komplementarzem. Po prostu umiał się cieszyć jak dziecko.

— W życiu nie widziałem takiego pięknego ogrodu! — zachwycił się, kiedy po naszej przejażdżce buszował po moim mieszkaniu. A przecież mój balkon nie różnił się niczym od tysiąca innych, podklejanych do dwupokojowych mieszkań w nowym budownictwie. Kocham kwiaty — w skrzynkach rozpościerała się żółta, czerwona i pomarańczowa nasturcja, w doniczkach pyszniły się róże, geranium i nawet lilie, żelazne sztaby balkonu czule owijała czerwona i biała wyka.

Żeby zatrzymać go jeszcze przez chwilę, zaproponowałam, że przyszyję mu oderwany guzik. Okazało się, że takie rzeczy robił sam. — Brak zdolności manualnych — wyjaśnił — nie byłby mile widziany w przypadku dentysty.

Zdziwiona spytałam, dlaczego studiuje stomatologię, bo to do niego nie pasowało.

— Z tego samego powodu, dla którego pani pracuje w aptece — odparł Levin — żeby zarabiać dużo pieniędzy.

Popatrzyłam na niego uważnie; więc tak o mnie myślał?

Podczas naszej kolejnej przejażdżki przeszliśmy na ty, ale do czułości nie doszło. Kiedy odwiedził mnie po raz trzeci, trzymał na ręku małego kotka i przekazał mi go, cały promieniejący z radości. Muszę się przyznać, że nie ma dla mnie nic słodsze niż koteczki. Wiele razy proponowano mi małego kotka, ale zawsze się wzbraniałam, powołując się na poczucie odpowiedzialności. Całymi dniami nie było mnie w domu, często miewałam w aptece nocny dyżur albo wyjeżdżałam. Kto miałby się zająć zwierzątkiem? Levin wydawał się nie przyjmować do wiadomości moich skrupułów.

— To kocur, jak go nazwiemy?

— Kot Mruczysław — zdecydowałam, mając w pamięci dziadkowego kota, którego jako dziecko bardzo kochałam.

— Nie podoba mi się — zawyrokował Levin — lepiej będzie się nazywał Tamerlan.

Tak więc miałam teraz kabriolet i kota, chociaż nie planowałam ani jednego, ani drugiego. I za jakiś czas miałam też młodego mężczyznę, w łóżku.

Nie przestawałam zadreć się pytaniem, czy Levinowi przypadkiem nie chodziło wyłącznie o jazdę kabrioletem. Samochód grał w naszym związku rolę afrodyzjaka, w każdym razie dla Levi- na. Dla mnie jednak Levin był pierwszym chłopakiem, z którym mogłam się śmiać i w którego towarzystwie poczułam się znowu młoda. Oczywiście nie pytałam, czy miał przede mną wiele kobiet, ale raczej nie wydawało mi się to prawdopodobne. Sypialiśmy co prawda ze sobą z pewną regularnością, ale on inwestował znacznie więcej czasu w rozmowy. Najczęściej to ja przejmowałam inicjatywę w aranżowaniu naszej godzinki czułości, chociaż powinnam raczej mówić o jednej ósmej godzinki.

Czasami jechaliśmy aż do Frankfurtu, żeby obejrzeć coś w kinie. Uważałam, że nie opłaca się nadkładać drogi, tym bardziej że u nas w Heidelbergu leciały te same filmy. Ale sprawiało mi radość tak pędzić po okolicy w towarzystwie pełnego euforii człowieka.

To były właściwie piękne dni. Przysięgłam sobie, że nie będę Levina karmić ani pić, kołysać do snu, prasować jego koszul czy wręcz przepisywać mu czegoś na komputerze. Ale on tak się zajmował moim samochodem, zamontował głośniki i prawie nowe radio samochodowe, przy wychodzeniu z domu zabierał śmieci do wyrzucenia i przynosił kotu resztki ryb z baru „Nordsee”... Nie mogłam być tak bez serca, żeby czasem nie usmażyć wychudzonemu chłopcu steku z cebulką; w stołówce akademii medycznej rzadko serwowano porządne mięso. Pełna wyrozumiałości szorowałam po nim wannę i kupowałam mu skarpetki i bokserki, żeby po swojej ziołowej kąpieli miał co na siebie włożyć.

Nad doktoratem nie pracowałam już prawie wcale. Levin był temu zresztą przeciwny, uważał, że aptekarce niepotrzebny tytuł doktora. Wyjaśniłam mu, że w aptece zajmuję się sprzedażą (ze znajomością obsługi komputera), natomiast z papierem poświadczającym wyższe kwalifikacje miałabym możliwość otrzymania posady w przemyśle czy badaniach.

— Gdzie się zarabia więcej?

— Prawdopodobnie w przemyśle albo naturalnie we własnej aptece. Mnie największą radość sprawiałaby praca naukowa, najlepiej w sektorze toksykologicznym... — Ze względów taktycznych przemilczałam, czego tak naprawdę bym chciała najbardziej ze wszystkiego.

Co trzy tygodnie miałam nocny dyżur; Levin odwiedzał mnie wtedy chętnie i prosił, żebym przybliżyła mu nieco, co robię.

— To nie jest tak naprawdę interesujące — powiedziałam — w aptece mojego dziadka wiele lekarstw sporządzano jeszcze własnoręcznie, według przepisanej przez lekarza recepty, a teraz mogę to robić tylko na zlecenie kilku dermatologów.

Ku mojemu ubolewaniu poza kilkoma flaszkami i moździerzami nie odziedziczyłam nic z dziadkowego biznesu, kiedy aptekę sprzedano. Levin bardzo chciał obejrzeć ten mój spadek; jestem zła do tej pory, że nie przypadła mi także dziadkowa kolekcja spacerowych lasek. Za czasów dziadka mężczyźni przechodzili się bez teczek czy walizeczek na akta, ręce mając wolne na laskę czy parasol. Dziś kolekcjonerzy wręcz polują na co wartościowsze stare laski. Mój dziadek zgromadził ich wtedy całkiem pokaźną kolekcję, klienci sprzedawali mu je za bezcen. Posiadał laskę aptekarza z wijącym się węzem z kości słoniowej, laskę operową z drzewa różanego i emalii, laski hebanowe i rogowe z gałkami ze srebra, brązu, szylkretu i masy perłowej. Pamiętam do dziś głowy smoków i lwów, które mnie w dzieciństwie przerażały i fascynowały jednocześnie, przypominam też sobie laskę ze szpadą i laskę z mieczem w środku. Ojciec wszystko sprzedał.

Otworzyłam szafę i z półki na kapelusze wyjęłam ładne brązowe buteleczki z ręcznie podpisanymi etykietami.

— Podaruj mi jedną — dopraszał się Levin — napełnię ją wodą po goleniu.

Oczywiście musiał upatrzeć sobie akurat moją ulubioną buteleczkę, najmniejszą i najbardziej elegancką. Na wyblakłej etykietce ktoś napisał fioletowym atramentem: POISON. Wzbudziło to zainteresowanie Levina. Mocno pociągnął do góry szlifowaną zatyczkę, tak że zawartość flaszki znalazła się na leżącej na sofie jedwabnej poduszce. Wypadły te maleńkie rurki o średnicy grubej igły i długości od dwóch do czterech centymetrów. Przeczytał na głos: „Apomorphine Hydrochlor., Special Formuła No. 5557, Physostigmine Salicyl, gr. 1/600, Poisons List Great Britain, Schedule I” i tak dalej. Popatrzył na mnie, zaintrygowany.

— Trucizna?

— Jasne — odpowiedziałam — dla aptekarza to nic specjalnego.

Levin ostrożnie otworzył jedną z tych próbek jak dla lalek, wyciągnął z niej watę i wyjął tabletkę. Była mniejsza od mojej źrenicy, tak że nawet mnie jej mikroskopijne rozmiary wprawiły w zdumienie.

Levin gdzieś przeczytał, że w państwach totalitarnych wysocy rangą politycy albo osoby znajdujące się w posiadaniu państwowych tajemnic noszą w dziurawym zębie po kapsułce z trucizną, żeby w razie potrzeby uniknąć tortur poprzez popełnienie samobójstwa.

— Ale nie wiedziałem, że trucizna tak niewinnie wygląda...

Zabrałam mu próbki, wypłukałam flakon wrzącym ługiem mydlanym i wręczyłam mu.

Później robiłam sobie wyrzuty, że tak niebezpieczny materiał przechowywałam przez całe lata w szafie na ubrania. W końcu nocował u mnie ten i ów kandydat na samobójcę; dobrze, że te czasy się skończyły. Poszukałam nowej kryjówki dla trucizny: lawendę z poduszczeni zapachowej wyrzuciłam do kosza na śmieci, do środka włożyłam rurki i poduszczenkę przyczepiłam następnie agrafką do wewnętrznej strony długiej wełnianej spódnicy, której prawie nigdy nie zakładałam.

Moja koleżanka ze studiów Dorit ma dwójkę dzieci i jest wiecznie zajęta. Niestety, widzimy się rzadko, zazwyczaj, kiedy akurat znowu potrzebuje valium. Wykorzystuje wtedy sytuację, żeby udzielać mi dobrych rad. Siedziałyśmy w Cafe Schafheutle, kiedy po raz kolejny usłyszałam: nie zakopuj się w pracy, bo nigdy nie znajdziesz męża ani nie założysz rodziny.

— Słuchaj, Dorit, ostatnio bardzo rzadko zdarza mi się usiąść nad moją pracą; mam nowego chłopaka...

— Serio? Mam nadzieję, że to nie kolejny nieudacznik...

Obiecałam, że go jej przedstawię.

Levin miał dwadzieścia siedem lat, ale sprawiał wrażenie znacznie młodszego. Miał jeszcze niezgrabną posturę maturzysty, apetyt czternastolatka i umiejętność cieszenia się sztubaka. Wyglądał dobrze, jak na mój gust, ale znowu nie aż tak, żeby zaraz wszystkie kobiety kładły mu się do stóp, miał zaróżowioną twarz dziecka, nie do końca regularne rysy i trochę za duży nos. Do dziecięcego wyglądu nie pasowały jego obowiązkowość, pasja studiowania i ambicja, żeby szybko skończyć studia.

Jak można się było spodziewać, Dorit była niezadowolona.

— Z uznaniem muszę stwierdzić pewną poprawę — powiedziała — ale on się z tobą nie ożeni, ty ze swoim doświadczeniem powinnaś wiedzieć o tym najlepiej.

— A czemu nie?

— O Boże, przecież dobrze to znamy: on szuka mamusi, która by mu przynosiła z apteki cukierki na kaszel i pożyczała samochód. Któregoś dnia, kiedy będziesz zmęczona wracała po pracy do domu, zobaczysz go na brzegu Nekary, jak trzyma się za rączkę z jakąś dwudziestolatką.

Dorit chciała dobrze, nie była całkiem bez racji, a i ja od czasu do czasu miewałam tego rodzaju straszliwe wizje. Ale któż, kierując się nakazami zdrowego rozsądku, wyrzuciłby z domu ukochanego mężczyznę? Poza tym różnica wieku między nami nie była nadmierna, co dziś znaczy osiem lat, dziś, kiedy tyle kobiet wychodzi za mężczyzn młodszych nawet o lat dwadzieścia. W każdym razie ja nie wyglądałam na swój wiek. Dorit twierdziła nawet, że należę do tej kategorii blondynek, które w wieku pięćdziesięciu pięciu lat będą wyglądać jak dwudziestopięciolatki — proroctwo, które musi się jednak dopiero potwierdzić (jak dobrze, że od dwóch lat nosiłam szkła kontaktowe i że Levin nigdy nie widział mnie w moich wielkich okularach). Poza tym było oczywiście jeszcze coś, co nas od siebie oddalało, ale nie potrafiłam tego tak dokładnie nazwać. Nie brałam zbyt poważnie jego pasji samochodowej, ale bywało, że nieprzyjemnie rzucał mi się w oczy jego powierzchowny stosunek do wielu spraw. Jego zdolność entuzjasmowania się także nie sięgała zbyt głęboko i skierowana była zazwyczaj na sprawy bardzo błahe.

Ale kiedy kolejnej słonecznej niedzieli jechałam z Lewinem do Alzacji na obiad, życie wydawało mi się cudowne.

Któregoś popołudnia, gdy siedzieliśmy na kanapie, jedząc ciasto z wiśniami domowej roboty, przyszła w odwiedziny Dorit z dziećmi — prawdopodobnie w celu przyjrzenia się naszej idylli z bliska. Dzieci z miejsca zaczęły się kłócić, które z nich ma głaskać kota.

— Nigdy nie widziałem takich słodkich dzieci — powiedział Levin, nie bacząc na to, że Franz akurat wyrwał swojej siostrze kępkę włosów, a Tamerlan, prychając, zbiegł pod szafę.

Dorit nigdy nie grzeszyła nieśmiałością. Głosem, który brzmiał jak zardzewiała konewka, spytała mego młodego przyjaciela bez ogródek:

— A ty ile chciałbyś mieć dzieci?

Poczerwieniałam tak, że musiałam odwrócić się zaraz w stronę kota; nie byłam w stanie podnieść wzroku na Levina.

Odpowiedział spokojnie:

— Myślę, że dwójka byłaby akurat.

Byłam gotowa rzucić mu się na szyję i obsypać go pocałunkami, ale wcale nie było powiedziane, że to mnie widzi w roli matki swoich przyszłych dzieci.

Kiedy Levin poszedł do kuchni odnieść dzbanek z kawą, Dorit mrugnęła do mnie, a ja zrobiłam gest, jakbym chciała ją udusić.

Mimo to zwierzyłam się jej — skoro i tak prędzej czy później miało to wyjść na jaw—że wkrótce będę pracować w aptece na cały etat — na razie w zastępstwie za koleżankę, która jest w ciąży, i że na cały ten czas muszę odłożyć pisanie dysertacji. Starannie przemilczałam jednak fakt, jestem w trakcie przepisywania na komputerze pracy Levina. To było coś, co nie miało prawa się zdarzyć; ale kiedy poprosił mnie o wyjaśnienie działania mojego komputera, okazał się, mówiąc delikatnie, dosyć tępy. Levin, urodzony majsterkowicz, nie używał do tej pory komputera do celów innych niż gry.

Choć i tak muszę wyznać, że byłam szczęśliwa. Tematyka była mi obca, a mimo to jego praca wydawała się łatwiejsza od mojej. Przerzucałam fachowe tomy i poznawałam zupełnie nowe aspekty budowy ludzkiej szczęki. Nawet i dziś, mimo że minęło już sporo czasu, potrafiłabym wygłosić jeszcze krótki referat na temat „Materiały do odcisków silikonowych i ich zastosowanie w obszarze jamy ustnej”.

To pewnie ojcowski wegetarianizm zrobił ze mnie wielką miłośniczkę mięsnych dań, nawet jeśli wiedziałam, że są bardzo niezdrowe. Nigdy nie kupuję więcej niż sto gram na osobę; jednak dla młodego głodnego mężczyzny robiłam wyjątek. I kiedy tak razem pochłanialiśmy gigantyczny stek, byliśmy oboje w siódmym niebie.

Któregoś dnia Levin przyniósł mi nóż do krajania mięsa i duży widelec, wszystko rodzinne srebro z monogramem. Ze wzruszeniem dotykałam delikatnego wzoru z motywem greckich wieńców, inicjały z zawijasami i krótkie przysłowia odnoszące się do codziennych sytuacji, które pozostały po trzech generacjach na tych ostrzach.

— Przepiękne — powiedziałam — i nie do uwierzenia, że twój dziadek się z nimi rozstał.

— Niezupełnie sam — odparł Levin i naostrzył nóż stalową osełką — bo dziadek nie potrzebuje przecież takich rzeczy, w końcu jego sztuczne zęby są źle wyprofilowane — to ze skąpstwa — i mięso, które jada, musi być rozgotowane na papkę.

— Nie podoba mi się to — zawyrokowałam zdecydowanie — nie umiem cieszyć się z posiadania kradzionych rzeczy, odnieś mu wszystko z powrotem.

Levin mnie wyśmiał: tak czy siak to on odziedziczył te przedmioty; czy wobec tego należy pozwolić, żeby to piękne srebro pokrywało się śniedzią?

Dałam za wygraną, decydując się uznać całą tę sprawę za wyraz spóźnionej łobuzerii i szybko przyzwyczaiłam się do sztucców, których z czasem zaczęło przybywać coraz więcej.

Moja przyjaciółka Dorit podśmiewała się ze mnie zawsze, kiedy wygłaszałam kazanie na temat marności rzeczy materialnych: Dorit przyznawała się bez

ogródek do tego, że lubi kupować drogie rzeczy. Posądzała mnie o hipokryzję. Ale to nie było to: po prostu nienawidzę dorobkiewiczostwa. Choć wydać jakiś tysiąc na drobiazgi typu japońska figurka Netsuke, ozdobny secesyjny pierścionek z pereł i emalii czy torebka doskonałej jakości — to mnie, i owszem, rajcuje. Toteż nie robiłam Levinowi specjalnych wyrzutów, kiedy przyniósł mi także biżuterię po swojej babci. Były to skromne rzeczy, delikatna robota, ale za to ze złota. W końcu tyle dla niego zrobiłam, wydawałam na niego pieniądze i wspierałam go. Srebrne sztucce i złota biżuteria stanowiły dowód miłości, tak należało to sobie tłumaczyć. Pozostawała jeszcze kwestia dziecka.

Moje koleżanki z klasy albo miały już dzieci, albo robiły karierę. Vera, która musiała wyjść za mąż zaraz po maturze, zawsze była obiektem naszego współczucia. Nie miała za grosz wykształcenia, co było zupełnie niezgodne z duchem czasów, ale za to w wieku dwudziestu lat miała już dziecko. A nam co innego chodziło po głowie: podróżowałyśmy do Ameryki albo zaczynałyśmy, podczas pierwszych semestrów jeszcze swobodne, życie studenckie. Choć z biegiem czasu zaczęły się tworzyć jedna po drugiej stałe pary, rok w rok dostawałam zawiadomienia o weselach i narodzinach. Dziesięć lat po maturze odbył się zjazd naszej byłej klasy. Można było podziwiać mnóstwo zdjęć rozkosznych bobasów.

Nie zaliczałam się ani do kobiet, które zrobiły karierę albo przeżyły jakąś przygodę, ani do szczęśliwych matek. Oczywiście było jeszcze kilka takich jakbija, ale nawet w szkole się z nimi nie zadawałam, toteż i teraz nie wydały mi się specjalnie interesujące.

Nazajutrz po zjeździe absolwentów byłam nie do użytku. Załamana i cierpiąca leżałam w łóżku i czułam się gorsza. Na pewno już nigdy nie będę mieć dzieci, myślałam bez przerwy. Kiedyś podejmę wprawdzie próbę, ale na próżno. Czy nie powinnam spróbować, chociaż jeden jedyny raz? A potem? Dziecko bez ojca i żadnych perspektyw w pracy zawodowej? To nierozsądne, powtarzałam sobie, odczekaj spokojnie. W wieku trzydziestu pięciu lat nie możesz przecież się bać, że twój czas już minął, w dzisiejszych czasach niejedna czterdziestolatka jest jeszcze młoda i atrakcyjna...

Raz miałam fantastyczny sen o własnym weselu. Ojcu, który nigdy mnie nie odwiedzał, kazałam podać pieczonego wołu, ułożonego na wyrwanych z zawiasów drzwiach. Matka, która z musu prowadziła ascetyczny tryb życia, siedziała na beczce z odsłoniętymi nogami jak Marlena Dietrich. Bratu, który wziął sobie za żonę nudną krowę, dałam do towarzystwa zakonnice, żeby czuł się ze swoją „miss ciepłe kluchy”, jakby wygrał los na loterii. Ja sama w zaawansowanej ciąży krążyłam wśród zdziwionej gawiedzi jak piorun kulisty.

Ale kto był księciem z bajki? Coraz częściej śniło mi się, że to Levin.

Pani Hirte słuchała opisu spotkania klasowego, wydając przychylne, chociaż świadczące o senności pomruki. W międzyczasie chyba się zdrzemnęła, któż to mógł wiedzieć. W środku nocy czasami łapała za swój flakonik „Miss Dior” i spryskiwała się perfumami. Raz też widziałam, bo nie było przecież tak absolutnie ciemno, jak podczas mojej opowieści wkładała sobie do uszu słuchawki od walkmana. Pewnie znowu słuchała tych swoich ulubionych pieśni Brahmsa, które — na zmianę z perfumami — od czasu do czasu proponowała i mnie, jak czekoladki. W sumie to nie tak źle, że nie słyszy wszystkiego — opowiadam rzeczy, które i tak nikogo nie obchodzą.

Niektóre kobiety trzeba siłą zmuszać, żeby dla zapobiegania zakrzepom czasem wstawaly z łóżka, ale nie panią Hirte. Energicznie maszeruje po korytarzu, wlokąc za sobą nieapetyczne zbiorniki w formie cewek i butelek. Zdażyłam ją poznać na tyle, by wiedzieć, że jest wstydliva, i respektuję jej potrzebę prywatności. W każdym razie lepsze to, niż gdyby miało być odwrotnie. Nie znoszę ekshibicjonistek. Zresztą pani Hirte nawet na noc grzecznie zakłada te ohydne białe pończochy obciskające, które ja bym z siebie natychmiast zdjęła.

O sobie opowiada niewiele. Kiedy odwiedziła mnie była szefowa, pani Hirte wpadła jednak w lekką melancholię. Sama wcześniej brała na siebie większość obowiązków swojego szefa, i gdzie się teraz podziła jego wdzięczność? Zapomnieli o niej, jak tylko okazała się niezdolna do wykonywania zawodu...

Do tej pory nie przepadałam za babskimi zwierzeniami; zazdrość tego mojej przyjaciółce Dorit, a ona wydaje się to uczucie we mnie wzmacniać nie bez satysfakcji. Ale teraz po raz pierwszy w życiu współczułam obcej kobiecie — było to uczucie, które miałam zawsze zarezerwowane dla mężczyzn.

Postanowiłam sprawić, żeby zapomniiała o troskach za sprawą jednej z moich nocnych opowieści. I sama chciała posłuchać, jak doszło do tego, że ja i Levin zamieszkaliśmy razem.

Przyszedł do apteki w porze, w której się nigdy nie zjawiał, chociaż wiedział, że nie lubiłam znikać na zapleczu na oczach szefowej.

— Co jest? — spytałam. Błyszczały mu oczy.

— Chciałabyś przeprowadzić się do wspólnego mieszkania? — odparł pytająco.

Tylko nie to, to była moja pierwsza myśl. W moim mieszkanku panował porządek, nareszcie udało mi się utrzymać je z dala od różnej maści pasożytów; z takiego luksusu mogłabym zrezygnować wyłącznie dla własnej rodziny. Zdecydowanie pokręciłam głową.

— Wysłuchaj mnie przynajmniej — błagał Levin — mam królewskie mieszkanie dla nas obojga, okazji nie. Jest jak wymarzone!

Swoimi pięknymi dłońmi Levin nakreślił w powietrzu plan mieszkania z precyzją prawdziwego architekta.

— A balkonu nie ma? — spytałam rozczarowana.

— Nie bezpośrednio — odparł Levin — ale mieszkanie jest w Schwetzingen, trzy minuty drogi od zamkowych ogrodów. Możesz wylegiwać się jak księżniczka na białych ławkach, podziwiać fontanny, karmić kaczki i być na każdej premierze w barokowym teatrze!

Wynajęliśmy to duże mieszkanie w starym budownictwie. Przez drewniane okna ze szprosami światło padało na drewniany parkiet; Tamerlan mógł schodzić do ogrodu po gałęziach dzikiego wina i wieść wolny koci żywot. Ale oprócz balkonu zaczęło mi wkrótce brakować jeszcze czegoś: spokoju. Do tej pory wizyty Levina ograniczały się do paru godzin, najczęściej nie zostawał na noc. Teraz, kiedy wracałam do domu, stale tam był, co wcale nie oznaczało, że czekał na mnie ze świeżo zaparzoną herbatą. Za to nieustannie wyło radio, nadawał telewizor, a Levin wydzwaniał.

— Co będzie do jedzenia? — pytał na powitanie.

Sama tego chciałam. Naturalnie prałam mu i gotowałam, robiłam zakupy i płaciłam czynsz. Ma się rozumieć, że brał mój samochód za każdym razem, gdy był mu potrzebny.

Raz po wyjątkowo ciężkim dniu zrugalam go jak syna, który nie potrafi dbać o porządek. Chociaż tak naprawdę Levin nie był bałaganiarzem, zawłaszczając tylko całą moją przestrzeń. W obydwu moich pokojach nieustannie przewalało się mnóstwo rzeczy, które nie miały ze mną nic wspólnego, podczas gdy jego pokój sprawiał wrażenie niezamieszkanego.

— Czasami jesteś jak dziecko — powiedziałam i pocałowałam

— Nie lubisz dzieci?

Aż mnie zatkało.

— To oczywiste, że lubię dzieci. Każda normalna kobieta chciałaby je mieć.

Wydawało się, że Levin się zastanawia.

— Chciałabyś sobie jedno sprawić? — zapytał. Zabrzmiało to tak, jakby chciał zatroszczyć się oprócz kota jeszcze o małego pieska.

— Później — stwierdziłam. Nie chciałam nieślubnego dziecka, chciałam prawdziwej rodziny.

Przynajmniej raz w tygodniu odwiedzaliśmy też mieszkającego w Viernheim dziadka Levina. Jadąc tam po raz pierwszy, spodziewałam się raczej domu starców i zdziwiłam się, przekraczając próg domu, który zasłużył sobie na miano willi. Stary człowiek mieszkał sam, otoczony przez wiecznie zmieniające się opiekunki. Levin tłumaczył tę rotację przedpotowymi wyobrażeniami dziadka na temat pensji.

Możliwe, że dziadek nie orientował się w aktualnych cenach i żył w przekonaniu, że cały świat chce go wystrychnąć na dudka. Levin nie był wobec niego specjalnie wylewny, ale za to wypełniał swoje obowiązki w domu i w ogrodzie, woził dziadka do lekarza i do banku, i obcinał mu paznokcie u nóg. Z czasem również i ja zaczęłam załatwiać sprawy, których nie podejmowały się pomoce domowe: pisałam listy na komputerze, wypełniałam formularze, sortowałam bieliznę i kupowałam zapasy do zamrażarki. Inny dziadek nie ograniczyłby może swojej wdzięczności do wypowiedzenia skąpej formułki, lecz poświęciłby mi nieco uwagi. Tym bardziej wzrósł mój szacunek dla Levina, który — nawet jeśli sobie trochę ponarzekał — bez ustanku się nim zajmował.

Kiedy pewnego dnia zostałam z dziadkiem sama — Levin pojechał zawieźć kosiarkę do naprawy — spróbowałam przybliżyć mu nieciekawą sytuację finansową jego wnuka.

Hermann Graber, bo tak się nazywał dziadek, popatrzył na mnie kwaśno.

— Ma mnie pani za starego sknerę — powiedział i niepostrzeżenie (jak sądził) przepłukał swoje trzecie zęby kawą. — Powiedział pani, że jestem bogaty.

Ale pewnie pani nie wie, że ten biedny wnuczek stuknął mojego nowego mercedesa tak, że nadawał się już tylko na złom. Jeśli wykonuje tutaj za darmo niewielkie prace i jeszcze marudzi na boku, lepiej, żebym moje oszczędności przepisał jakiejś sierocie.

To szantaż — pomyślałam z oburzeniem, kładąc mu kawałek ciasta na talerzyku w alpejskie fiołki.

— Pozostaje jeszcze pytanie — ciągnął — czy srebro i złoto wyniosły z mojego domu dwie ostatnie pomocnice, czy też zrobił to mój wnuk...

Zrobiłam się czerwona i zamilkłam.

Hermann Graber chyba jednak nie zauważył mojego zmieszania, ponieważ akurat odkrył w ogrodzie czarny biustonosz, suszący się na sznurku do bielizny.

W drodze do domu chciałam dowiedzieć się czegoś więcej o wypadku Levina. Odpowiadał mi rozdrażniony.

— Właściwie to byłem przemęczony i na chwilę zasnąłem, wracałem wtedy z Hiszpanii i całą poprzednią noc jechałem bez przerwy...

Dla mnie był to brak odpowiedzialności.

— Byli ranni?

— W zasadzie to nie. Bo na mercedesa wjechała tylko ciężarówka, przyczepa się wywróciła. I wiesz, co facet wiózł? Konfitury! Możesz sobie wyobrazić, jak wyglądała autostrada?

— Pytałam o rannych, a nie o konfitury.

— Dokładniej mówiąc, to był mus śliwkowy.

Zamilkliśmy na chwilę.

Levin od czasu do czasu musiał wozić starego tu czy tam w żółtym tempie, ale nie wolno mu było już nigdy używać nowego mercedesa tylko dla siebie.

.— A na czym twój dziadek zbił forszę?

.— Był elektrykiem w małej fabryce i wynalazł jakiś tajemniczy półprodukt, który potem produkował we własnym zakładzie. Wzbogacił się już w młodości, potem przedsiębiorstwo już tylko wegetowało. Kiedy umarł mój ojciec, dziadek sprzedał zakład.

Wiedziałam, że ojciec Levina był organistą i że najwyraźniej nie interesowała go kariera fabrykanta.

— Twój dziadzio ma też pedagogiczne zapędy — zauważyłam nie bez złośliwej satysfakcji.

Levin zaprotestował.

— To nie pedagog, tylko sadysta, który każe mi wszędzie jeździć rowerem! Wszyscy dziadkowie na świecie od czasu do czasu wciskają wnukom do kieszeni jakiś tysiąc, tylko nie on.

Jechaliśmy autostradą, chociaż jeżeli o mnie chodzi, to wybrałabym raczej romantyczną górską drogę przez Weinheim. Nie po raz pierwszy musiałam stwierdzić, że Levin prowadził za szybko — tym razem jednak wpadłam w panikę.

— Troszkę wolniej — poprosiłam — przecież nigdzie nam się nie spieszy. A tak na marginesie, to uważam, że postępujesz bardzo przyzwoicie, odwiedzając swojego dziadka, chociaż nic ci nie płaci.

Levin wcale nie zwolnił.

— Odwiedzam go na pewno nie ze względu na nakazy przyzwoitości — odparł. — Jeżeli o mnie chodzi, może odwalić kite, lepiej wcześniej niż później, ale grozi mi, że zmieni testament.

Nie mogłam się powstrzymać od uwagi:

— Ostatnio nie jeździsz rowerem tak znowu często. Możesz więc cierpliwie czekać na spadek.

— Aż doczekam się starości i siwych włosów. Stary jest długowieczny, na luzie może dożyć setki!

Wybuchnęłam śmiechem. — Więc daj mu pożyć na luzie! Może masz te same geny i będziesz żył tyle, co on. Poza tym co takiego chciałbyś zrobić ze spadkiem?

Levin przyspieszył jeszcze bardziej.

— Kupić samochód wyścigowy, podróżować, wziąć udział w rajdzie Paryż-Dakar, w każdym razie na pewno nie wyrywać zepsute zęby.

Zamarłam. W jego planach nie było miejsca ani na praktykę lekarską, ani na mnie.

Następnego wieczora demonstracyjnie zostawiłam pracę Levina na stole kuchennym nietkniętą i wróciłam po wielu tygodniach przerwy do mojej własnej. Czułam się jak głupia gęś; wyglądało na to, że jeśli nic się nie zmieni, to ani nie zrobię doktoratu i nie podejmę pracy naukowej, ani nie wyjdę za mąż i nie urodzę dzieci.

Kiedy zadzwoniłam do Dorit, byłam gotowa zapaść się ze wstydu pod ziemię, ale opowiedziałam o moim zaangażowaniu w karierę Levina.

— Ani trochę mnie to nie dziwi — stwierdziła — nie powinnaś była decydować się na mieszkanie z nim. Ty go naprawdę kochasz?

— Myślę, że tak — odpowiedziałam.

I tak też było. Mimo wszelkich wątpliwości, które wysyłał mój umysł, mimo wszelkich sygnałów ostrzegawczych, które odczuwałam niemal fizycznie — kochałam go. Kiedy spał obok mnie, skulony w pozycji embrionalnej, byłam gotowa rozplakać się z rozczulenia. Kiedy z wilczym apetytem pochłaniał posiłki, które dla niego przygotowywałam, kiedy entuzjasmował się aptecznymi próbkami, kiedy weselał w moim towarzystwie — wtedy wszystko było jak najlepiej. Spędzaliśmy razem godziny absolutnego szczęścia, kiedy siedzieliśmy sobie na kanapie z Tamerlanem, i głaskaliśmy go na przemian, a w telewizji leciał jeden z tych filmów z pościgami samochodowymi i Jamesem Bondem. Ale bywały też samotne wieczory, kiedy nie miałam pojęcia, gdzie się podziewał. Naturalnie każde z nas było osobą wolną, mogliśmy wychodzić i wracać, kiedy chcieliśmy. Byłam zbyt dumna, żeby go wypytywać, pewnie też za bardzo bałam się go stracić.

Kiedy po raz kolejny w stanie zbliżonym do lekkiej depresji zasnąłam przed telewizorem, obudził mnie dzwonek telefonu. Levin! — pomyślałam — zaczynasz nabierać manier.

— Hella Moormann, słucham — odebrałam.

— Ja, no, przepraszam, chyba źle wykręciłam — wyjaśnił zdenerwowany kobiecy głos.

Rozczarowana odłożyłam słuchawkę. Za minutę telefon znowu zadzwonił. To był ten sam głos, należący do młodej kobiety.

— Przepraszam panią, ale zastałam Levina? Pani jest jego dziewczyną, nie?

— Az kim właściwie rozmawiam? — rzuciłam zimno, chociaż głos wydawał mi się znajomy.

— To ja, Margot — powiedział głos. To była nowa, niedoświadczona opiekunka, zatrudniona przez dziadka Levina. Hermann Graber miał zawał i jest w szpitalu. Kazano jej pilnie zawiadomić najbliższą rodzinę, sprawa jest poważna.

Sen minął mi jak ręką odjął. Kiedy Levin parę minut po północy, nie przejmując się specjalnie, że może mnie obudzić, wszedł do mieszkania, poznał od razu, że coś mi leży na sercu.

— Kto dzwonił? Lekarz?

— Nie, ta opiekunka, pani... nie znam nawet jej nazwiska. Przedstawiła się jako Margot.

— My też wołamy ją tylko po imieniu.

Oczywiście nie oczekiwałam, że Levin wybuchnie płaczem, ale nie spodziewałam się również wybuchu takiej nieskrywanej radości. Było już za późno na telefony, Levin postanowił pojechać do szpitala z samego rana.

— To ważniejsze od uczelni — stwierdził.

Oboje spaliśmy niewiele. Levin leżał obok w swoim łóżku, ale słyszałam, jak raz po raz wstawał, szedł to do kuchni, to do łazienki, włączał i wyłączał ra-

dio i telewizor. Oczywiście duszy widziałam, jak wprowadzamy się do pięknej willi dziadka. Dzieci miałyby tam tyle miejsca...

— Wszystko w jak najlepszym porządku — oświadczył Levin następnego dnia po powrocie — dziadek się wzruszył, że się tak szybko u niego zjawilem, ale czuje się nędznie. Ordynator powiedział, że koniec może nadejść lada moment, pompa już nie ta. Można zrobić operację na by-passy, ale w wypadku osiemdziesięciolatka to nie wchodzi w grę.

Po czym kazał mi wyjrzeć z nim przez okno: przed domem stało porsche.

— Mogę je kupić na korzystnych warunkach, jest całkiem nowe — powiedział przejęty.

— A potrzebne ci?

Popatrzył na mnie, jak gdybym miała nierówno pod sufitem.

Wsiadłam na próbną jazdę, podczas której ogłuchłam, oślepiłam i byłam nieustannie namawiana do zaciągnięcia następnego kredytu. Te podłe banki nie dają przecież pożyczek biednym studentom.

Byłam twarda.

Levin argumentował, że już niedługo i tak będzie tonął w pieniądzach, a to cudo na czterech kółkach przepadnie, jeśli nie kupi go już teraz.

Czułam, że to nadzwyczaj niewłaściwe do tego stopnia spekulować na śmierci bliskiej osoby. Ten dorosły dzieciak, który chciał dostać swoją gigantyczną zabawkę tu i teraz, próbował mi się podlizywać. Wychwalał moją wspałałomyślność („powszechnie znaną”) i kusił mnie „niespodzianką”.

O mało co nie wyrwało mi się „ślub?”, ale w ostatniej chwili ugryzłam się w język. Sprawiłoby mi zbyt wiele bólu, gdyby miał na mnie spojrzeć zmieszany czy z niedowierzaniem. Grałam idiotkę.

— Podróż? — spytałam.

Levin pokręcił głową.

— Nigdy byś na to nie wpadła. Mianuję cię architektem i stylistą wnętrz przy przebudowie willi w Viernheim.

Chłodno i bez okazywania emocji zapytałam:

— Myślisz, że mam do tego jakiś specjalny talent?

Levin wybuchnął śmiechem.

— Każda kobieta lubi urządzać swoje gniazdko.

Wzruszenie wzięło nade mną górę, przytuliłam go mocno. A potem poszłam do banku i złożyłam wniosek o kredyt, który został mi przyznany na wyjątkowo niekorzystnych warunkach.

Levin był rozanielony i od rana do wieczora gdzieś jeździł porsche; na szczęście właśnie zaczęły się ferie semestralne.

Często odbierał mnie z pracy i pędziliśmy do Frankfurtu albo do Stuttgartu, a w weekendy nad Morze Śródziemne albo Północne. Ogarniały mnie wątpliwości, czy aby na pewno to, co dla niego zrobiłam, było dobre. A gdyby tak miał wypadek, jak James Dean, i zostawił mnie z górą długów w charakterze wspomnienia po jedynym poważniejszym kandydacie na męża?

Kiedy dwa tygodnie później siedziałam przy łóżku Hermanna Grabera, nie odniosłam wrażenia, że odwiedzam śmiertelnie chorego. Stary był pełen werwy i snuł plany na przyszłość.

— Jak wszystko dobrze pójdzie — marzył — to w następnym tygodniu będę mógł iść do domu. Lekarze namawiają mnie, żebym wziął pielęgniarkę, ale mnie to nie w smak, wydawać pieniądze bez potrzeby. Margot najmądrzejsza może nie jest, ale do jakiej takiej pomocy na pewno się nadaje.

Po mojej wizycie w szpitalu pojechaliśmy do willi starego, Levin kosił trawnik, a ja rozmawiałam z Margot.

— Pan Graber prawdopodobnie niedługo wróci — oznajmiłam — czy podjęłaby się pani opieki nad nim — to znaczy, dodatkowo, poza pracami domowymi?

— A pewnie — odpowiedziała Margot i zażądała podwyżki.

W drodze do domu Levin był bardziej niż markotny.

— Nie musisz nic mówić — fuknął — dostaniesz swoje pieniądze, niech cię o to głowa nie boli. Kto by się spodziewał, że się stary wylize!

— Nic się nie martw, pieniądze mogą poczekać. Ale będziemy musieli jeździć tam częściej, od kiedy znowu jest w domu. Nie wiem, czy Margot jest osobą na tyle odpowiedzialną — moim zdaniem ona się nie nadaje.

— A gdzie tam, co ty znowu wymyślasz — odparł Levin — ona jest całkiem okej. Za takie pieniądze nikt inny ci nie przyjdzie; a dziadka raz przyłapałem, jak gapił się przez lornetkę na ogród, bo Margot opala się topless. Ja ją jemu wytrzasnąłem, wszystkie pozostałe nic nie były warte.

Powiedział, że zna Margot jeszcze z podstawówki. Po szkole poszła do zawodówki, a on do liceum. Po praktyce u krawcowej, której nie ukończyła, pracowała w fabryce, a potem wylądowała na zasiłku.

Margot była nałogową palaczką, chuda jak przecinek. A mnie jakieś niejasne przecucie kazało zaraz spytać:

— Brała już kiedyś narkotyki?

— A to skąd znowu?

Nie opowiadałam Levinowi o mojej przeszłości, ale Margot pasowała do wizerunku zagubionych duszyczek, z którymi do tej pory miałam do czynienia. Niemniej jednak byli to zawsze mężczyźni. Nagle stało się dla mnie jasne, że jej nie lubię.

Moja z początku ledwie uświadamiana niechęć wobec Margot wzmogła się jeszcze, kiedy Dorit kilka dni później powiedziała mi (nie bez satysfakcji), że widziała, jak Levin wsiadał do samochodu z jakąś kobietą. Oczywiście od razu spytałam, jak wyglądała.

— Spodziewałam się po twoim szczęściu lepszego gustu. Dokładne przeciwieństwo ciebie.

Chociaż przeczuwałam, że mogła to być Margot, poprosiłam o dokładny opis.

— Źle ufarbowane włosy blond z mysimi odrostami, okropnie chuda, mniej więcej w wieku Levina, i taka tania, ordynarna.

To była ona, opis zgadzał się co do joty. Uśmiechnęłam się złośliwie. Dorit zapomniała wspomnieć o poobgryzanych paznokciach.

TLR

Leżę na oddziale chirurgicznym. Na własne życzenie. W żadnym wypadku nie chciałam być umieszczona w pokoju z jedną z tych matek, które co parę godzin dają pierś niemowlęciu. Nigdy nie byłam optymistką i aż nazbyt często życie dawało mi do zrozumienia, że nie jest mi dane doświadczyć zwykłego szczęścia innych kobiet. Pani Hirte zaprotestowała.

— Bzdura — zawyrokowała —jakoś to będzie.

— Życie Dorit zawsze było dla mnie przykładem, jak mogłoby być. W przeciwieństwie do mnie była kochana przez swoich rodziców i nie służyła do zaspokajania ich chorych ambicji.

— Mój Boże — westchnęła pani Hirte — naprawdę nie wiem, czy wołałabym się zamienić z pani przyjaciółką; kiedy wczoraj zobaczyłam jej steranego męża... on by spokojnie mógł być jej ojcem.

Oczywiście stanęłam w obronie Gero.

— Pewnie, młody i wesolutki to on nie jest. Ale w sumie Dorit jest szczęśliwą mężatką.

W oczach pani Hirte czytałam pytanie „A pani?”. Milczała jednak. Dobrze wiedziała, że wszystko jej opowiem i że — przynajmniej mnie — wystarczy na to czasu.

Pani Hirte najwyraźniej zadurzyła się w naszym lekarzu. Swojego byłego szefa pewnie uwielbiała tak bezgranicznie jak teraz ordynatora. Niedawno pielęgniarka z nocnej zmiany przyłapała mnie na opowiadaniu i dostałam burę. Bo pani Hirte potrzebny jest spokój. W takim razie źle trafiła. Moja sąsiadka upiera się, że ma wyjątkowo spokojny sen, kiedy obok słyhać monotony potok słów. A ja mogę opowiadać bez końca. Tym razem chodziło o Margot.

W naszym mieszkaniu była kobieta. Czułam to, wiedziałam to. Moje wieszaki z ubraniami są zawsze zwrócone w jednym kierunku, tak żebym w razie pożaru mogła za jednym zamachem wyciągnąć wszystko z szafy. Nauczyła mnie tego matka, a ja pedantycznie trzymam się tej reguły. Tymczasem moje letnie sukienki, jedna w niebieskie paski i druga turkusowa, były źle powieszzone. Dokonałam też przeglądu łazienki. Goście Levina mieli w końcu prawo umyć sobie ręce (w przeciwieństwie do łazienki, w mojej szafie jednak nie mieli czego szukać). W muszli klozetowej pływał pet, zbrodnia, której nie wybaczam z powodu długiej żywotności filtrów; zresztą na pewno nie popełnił jej Levin, bo on codziennie opróżniał popielniczkę. Jednak w willi dziadka pety w toalecie wiele razy zwróciły już moją uwagę.

W pokoju Levina, do którego również postanowiłam zajrzeć, wszędzie walały się komiksy, a na parapecie leżały dwie puszkę po piwie. Pocieszałam się, że to jeszcze dzieci. Ale to samo, co w przypadku Levina wywołać mogło jedynie kręcenie głową z dydaktycznie odmierzoną dezaprobatą, stawało się nie do zniesienia u Margot. Wkrótce przejmie odpowiedzialność za chorą osobę; nie była niczym więcej jak osobą zatrudnioną do pomocy i opieki, dlaczego Levin przyprowadził ją tutaj? Nie mogłam znieść wszechobecnego zapachu jej tanich perfum, taki syntetyczny aromat jabłkowy.

— Czy była tu Margot? — spytałam, kiedy wrócił do domu.

Spojrzał na mnie krótko i badawczo i widocznie uznał, że lepiej mówić prawdę. Margot w przeciwieństwie do mnie kocha szybkie samochody, to ją trochę powoził porsche, w końcu trzeba dbać o jej dobry nastrój. Nie było dla mnie całkiem jasne, dlaczego. Ale ani słowem nie wspomniałam o wieszakach z ubraniami, nie chciałam przecież zachowywać się jak stara ciotka, która w przeciwieństwie do młodzieży nie znosi szybkiej jazdy i w dodatku jest chorobliwie zazdrosna. Nawiedzały mnie czasem koszmary, że Levina wyrzuci na zakręcie, na jawie próbowałam jednak przegnać te dręczące wizje. Nieustanne matkowanie moim męskim przyjaciołom sprawiło, że czułam się jak cerber.

Ale przecież Margot nie miała za grosz stylu. Po prostu nie potrafiłam sobie wyobrazić, co mogłoby Levina z nią łączyć. Może fakt, że pochodził stąd i był mocno związany z tą okolicą i tymi ludźmi, podczas gdy ja urodziłam się w Westfalii i nigdy nie zapuściłam tu tak do końca korzeni. W rozmowie z Margot

używał dialektu, widocznie dawało mu to poczucie bezpieczeństwa. Levin studiował kiedyś przez jeden semestr w Zagłębiu Ruhry, ale że nie można tam było dostać ani cebulaka, ani bułek pieczonych na zakwasie, szybko powrócił w rodzinne strony.

Co by nie mówić, kiedy przywieźliśmy ze szpitala Hermanna Grabera, Margot przygotowała na kiczowato nakrytym stole (przed rekonwalescentem znalazła się waza koloru lila, w której stały trzy fiołki alpejskie) deser składający się z kupnego tortu śmietankowego i mocnej kawy, przyjemności i tak dziadkowi zabronionych. Levin i ja jedliśmy, żeby Margot nie było przykro, a dziadek zażyczył sobie owocowego likieru. Levin przyniósł mu alkohol bez żadnych skrępułów. Margot i ja obiecałyśmy też Levinowi ani słowem nie wspomnieć przy dziadku o porsche, chociaż ona o mało co się nie wygadała.

Hermann Graber był wyraźnie uradowany, że znów jest w domu.

— Nigdy więcej szpitala — zdecydował — tam się tylko głupie myśli człowieka czepiają.

Uprzejmie spytałam: — Na przykład?

Zaśmiał się.

— Na przykład, że można by zmienić testament!

Levin zbladł. Wstał i zwrócił się do mnie:

— Chodź, Hella, czas na nas.

— A co z moją pensją? — spytała wtedy mało dyplomatycznie Margot.

Stary pomacał swoją największą brodawkę na nosie.

— Żebyś jednak nie miał głupich myśli, spadek dostaniesz dopiero, jak skończysz studia. Załóżmy, że umrę na przykład jutro, a ty będziesz sobie myślał, że od teraz nie musisz już nawet kiwnąć palcem.

W duchu uznałam ten pomysł za wcale niechybiony.

— To co z moją pensją? — wtrąciła się znów Margot.

Mimo że chwila naprawdę nie była szczęśliwie wybrana, Levin wyjaśnił dziadkowi:

— Margot powinna dostać podwyżkę, dziadku, w końcu wszystko teraz drożeje...

— Wszyscy chcą ode mnie pieniędzy — westchnął pan Graber.

Ze względu na Levina poparłam pomysł podwyżki.

— A ile pani by zaproponowała? — spytał mnie stary prosto z mostu.

Mój zmysł sprawiedliwości zwyciężył niechęć do Margot; ku mojemu zdziwieniu dziadek zaakceptował propozycję bez mrugnięcia okiem. Margot co prawda nie powiedziała „dziękuję”, ale jak zawsze „ekstra!”.

Na pożegnanie staromodnie pocałował mnie w rękę i był tym tak przejęty, że rozlał na siebie kawę. Prawie się wzruszyłam. Levin patrzył na to wszystko z wściekłością.

Odkąd odkryłam, że była u nas Margot, zaczęłam odczuwać pełną nieufności odrazę do śladów obcych osób w mieszkaniu. Zastawiałam pułapki — na przykład kładłam włos na mojej szkatułce z biżuterią, rozsypywałam trochę pudru na szafkach w łazience, zaznaczałam poziom perfum we flakonikach, a do szafy z ubraniami wkładałam chybotającą się wazę, która przy nieostrożnym otwieraniu drzwiczek musiała się przewrócić.

Z początku jednak ani nie było czuć zapachu obcej kobiety, ani nikt się nie złapał w zastawione przeze mnie pułapki. Może to wszystko było tylko chorym płodem mojej wyobraźni i sama pozawieszałam ubrania w odwrotnym kierunku. Zbyt często miałam do czynienia z podejrzanymi facetami, nie było wykluczone, że zaczynało mi powoli odbijać. Ślady, w postaci sierści i odcisków łap, zostawiał tylko kot. Aż któregoś wieczoru, kiedy z największą ostrożnością otworzyłam szafę, waza leżała w środku, porozbijana, a moje brązowe buteleczki były poustawiane inaczej niż zwykle. g0 i w tym przypadku miałam swój tajny porządek — początkowe litery poszczególnych etykiet składały się w słowo „zawilec” — tymczasem teraz dwie litery zostały zamienione: „zalweic” przeczytałam zaskoczona. Levin szuka trucizny, to była moja pierwsza myśl, i zrobiło mi się słabo. Przeszukałam od spodu wełnianą spódnicę, na szczęście nic nie znalazł.

To była dobra kryjówka. Ta stara spódnica z pewnością nie wzbudzi zainteresowania Margot.

Oczywiście zadałam sobie pytanie, czy powinnam porozmawiać poważnie z Levinem. Mój wewnętrzny głos mówił „nie”. Musiałabym mu wtedy robić wyrzuty, obciążać go podejrzeniami; zaprzeczy, a ja znajdę się w roli wymierzającej karę nauczycielki. Lepiej go trochę przypilnować.

Moje podejrzenia potwierdziły się, kiedy Levin kolejnego wieczoru jak gdyby nigdy nic poprosił mnie o środki nasenne.

— W twoim wieku — aż się wzdrygnęłam, słysząc własne słowa — nie jest to konieczne. Jeśli dwie noce z rzędu nie będziesz dobrze spał, to za trzecim razem uda się tym lepiej.

Levin nawet nie mrugnął.

— Surowa Hella — powiedział — jak zawsze w trosce o moje dobro i zdrowie. Moja wiedza na temat leków jest wprawdzie znikoma, ale wydaje mi się, że czasem można zrobić wyjątek.

— Skoro uważasz, że potrzebne ci tabletki nasenne, niech przepisze ci je lekarz...

Tego wieczora był wyjątkowo kochany i obdarzał mnie uwagą, zasnął w moim łóżku i nie obudził się, kiedy rano wstawałam do pracy.

Levin miał zwyczaj prowadzenia długich rozmów przez telefon, toteż mój aparat często stał w jego pokoju. Któregoś wieczora, gdy chciałam zadzwonić do Dorit, musiałam pójść po telefon. Już byłam pod drzwiami jego pokoju, kiedy usłyszałam rozmowę. Na hasło „Margot” stanęłam jak wryta i zaczęłam podsłuchiwać.

— Adwokat? Kiedy? — pytał zdenerwowany Levin.

Podczas naszej następnej wizyty w Viernheim byłam zdumiona: dziadek tryskał zdrowiem i witalnością. Przepisano mu nowe lekarstwo na serce i twierdził, że czuje się jak nowo narodzony. Levin biegał po domu i zachowywał się tak, jak gdyby musiał przeszukać każdy kąt.

Tymczasem Hermann Graber wziął mnie na stronę.

— Czy on chce się z panią ożenić? — zapytał.

Poczerwieniałam.

— Niech go pan sam spyta.

— Byłaby to dla mnie wielka ulga, gdyby chłopak znalazł się pod skrzydłami rozsądnej kobiety. Ma trochę pstro w głowie.

Skinęłam głową. Musiałam chyba wyglądać na zakochaną bez pamięci.

Hermann Graber tłumaczył:

— Przypomina mi pani trochę moją zmarłą żonę. To jest komplement. Może zmienię mój testament na tyle, że dostanie spadek, pod warunkiem, że się z panią ożeni...

— Lepiej nie, panie Graber. Myśli pan, że chciałby żenić się pod przymusem?

Zaśmiał się.

— Nie zaszkodzi trochę pomóc szczęściu. Nic pani nie obiecuję, ale jestem starym człowiekiem, który ma ochotę pobawić się trochę w opatrność. Mój adwokat uważa mnie za niespełna rozumu, bo raz po raz zmieniam testament, ale wciąż wpadam na takie fajne pomysły... Kiedy Levin rozwalił doszczętnie tego mojego mercedesa, ograniczyłem czasowo jego prawo do spadku tylko do części należnej.

Jego ładnie ukształtowana dłoń z mnóstwem brązowych wątrobianych plamek złapała moją i trzymała ją mocno.

— Mam nadzieję, że pożyje pan jeszcze długo i będzie się pan dobrze bawił, zmieniając testament — powiedziałam nie bez cienia ironii. Ale nie wziął mi jej za złe.

— Widzę, że się rozumiemy. A co pani na to, gdybym to mojego pierwszego prawnuka uczynił spadkobiercą? Wtedy Levin z całą pewnością będzie się chciał żenić na łeb na szyję.

Ten chytry pomysł to była woda na mój młyn, ale skromnie zaprotestowałam.

Levinowi nie opowiedziałam o tej rozmowie, było mi głupio ze względu na tego „prawnuka”. Z drugiej strony nie było to takie złe, że mądry dziadek występuje w roli opatrzości i sprzyja mojej sprawie.

Kiedy ogarniały mnie wątpliwości w jakiejś kwestii, Dorit radziła z prostotą: ty się lepiej za to nie bierz. Teraz byłam targana wątpliwościami nieustannie: dzięki moim partnerom rozwinął się u mnie instynkt opiekuńczy i czułość, ale także pewnego rodzaju zależność. Byłam uzależniona od ich wdzięczności, od drobnych dowodów przywiązania i poczucia, że jestem potrzebna. Dorit nie powinna myśleć, że ciągle trafiam na nieodpowiednich mężczyzn.

Siedziałam u niej w kuchni i opowiadałam o Levinie, z jaką pasją studiuje, z jakim oddaniem troszczy się o swojego dziadka i przede wszystkim o tym, jaka to ja nie jestem szczęśliwa. Dorit słuchała, myjąc sałatę, płucząc durszlak i deskę do krojenia i wyciągając ze zmywarki czyste naczynia. W końcu wparowała z wielkim płaczem jej córka i Dorit wreszcie musiała usiąść. Ten obrazek — pocieszanego, kochanego i kochającego dziecka, które delikatnymi ramionkami obejmuje szyję mamy — uświadomił mi, czego mi tak naprawdę brak.

— Mężczyźni to egoiści — zawyrokowała Dorit — a my jeszcze wzmacniamy tę ich cechę, trzymając się zawsze w ich cieniu. Ty zaczynasz z tym już przed małżeństwem, to nierozsądne. Przecież on troszczy się o swojego dziadka tylko dlatego, że liczy na spadek — co prawda nie wiem tego od ciebie, ale ja też mam swoje źródła informacji — jest dla ciebie miły, bo chce dostać wszystko, co mu możesz dać.

— Skąd wiesz o spadku? — spytałam.

— To żadna tajemnica. Gero pochodzi z Viernheim i zna historię starego skąpca, Hermanna Grabera, upadku jego fabryki i tragedii jego jedyne syna, który koniecznie chciał zostać organistą.

Mąż Dorit wszędzie nadstawiał ucha, głównie gdy chodziło plotki o bogaczach. — To bardzo interesujące — odpowiedziałam ostrożnie. — A coś jeszcze opowiedział ci Gero?

— Stary był filutem, raz w tygodniu kazał się wieźć taksówką do burdelu w Wiesbaden. Jego żona bardzo przez to cierpiała. Teraz za nią płacze, chociaż na pewno to przez niego tak szybko znalazła się na tamtym świecie.

— A co wiadomo o matce Levina?

— To kobieta, której nie wyszło w życiu, może nadrobi to owo w drugim małżeństwie... Hermann Graber chciał, by jego syn był „prawdziwym mężczyzną”, tymczasem był tylko chorowitym artystą. Za to synowa miała go obdarować mnóstwem wnuków, ale na świat przyszedł tylko twój Levin, z którym związane prawdopodobnie wszystkie rodzinne nadzieje. Chociaż z drugiej strony stary nie zostawił dla niego fabryki — zakład, jak wiadomo, został już dawno sprzedany.

— Dorit, a ty wyszłabyś za Levina?

— Nie, mam przecież Gero.

Wybuchnęliśmy śmiechem. Ale potem powiedziała to, co zawsze: jak nie jesteś pewna, to lepiej się w to nie pakuj.

— Och, Dorit, ty wyszłaś wcześniej za męża i wciąż masz głowę pełną ideałów. Do końca jasne nie jest w życiu nic, zawsze jest ta druga strona. Ale kiedy tak patrzę na ciebie, jak pieścisz swoje dzieci, wiem, że też tego chcę.

— A proszę cię bardzo — odparła Dorit, oderwała klejącą się i zapłakaną dziewczynkę od swojej szyi i posadziła mi na kolanach.

Sara siedziała grzecznie, ale do mnie nie przytulała się już jak zranione zwierzątko.

— Pa, Dorit — pożegnałam się w końcu, wciskając jej po kryjomu paczkę valium, którą jej przyniosłam z apteki. — Pozdrów Gero i daj mi znać, kiedy znowu przyniesie coś ciekawego.

Już na schodach usłyszałam telefon. Dzwoniła Margot i mocno zdenerwowana chciała rozmawiać z Levinem.

Nie wiedziałam, o której zamierzał wrócić do domu; czy przypadkiem Hermann Graber się źle nie poczuł?

— Kochaniutka — powiedziała, a mnie aż zatkało — niech mu pani tylko powie, że wraca mój stary.

Kiedy Levin wrócił do domu, ubawiona, przekazałam wiadomość:

— Wiesz, jej ojciec wraca.

Levin pokręcił głową.

— Odbija jej, ogląda za dużo horrorów. Jej ojciec już raczej nie opuści swojego miejsca na cmentarzu...

Nagle urwał i coś go tknęło:

— Na pewno powiedziała *ojciec*?

— Mówiła o swoim starym.

Zbladł i puknął się w głowę.

— Nie zrozumiałaś, o co jej chodziło, to nie jej ojciec, tylko mąż!

— Słucham? To ona jest mężatką?

— Jak widzisz.

— A gdzie ten mąż podziewał się do tej pory? — Przeczynałam już, że pewnie siedział w więzieniu. I naturalnie chciałam wiedzieć, za co.

— Nie wiem, to nie moja sprawa — skłamał Levin. Potem poszedł do swojego pokoju zadzwonić. Po dwóch minutach zakradłam się pod jego drzwi, ale słychać było tylko rzucane od czasu do czasu „aha” i „no właśnie”.

Hermann Graber umieścił Margot w przybudówce, ona chyba nie miała zamiaru mieszkać tam teraz z mężem? W żadnym razie nie powinnam na to pozwolić, kto wie, co za element zacząłby panoszyć się po naszej willi. Dostałam gęziej skórki. Rozdział o przestępczych, uzależnionych i neurotycznych mężczyznach miał być dla mnie raz na zawsze zamknięty. Z drugiej strony nie mogłam nagle ot tak zwolnić Margot, do tej pory nie dała żadnego powodu do zwolnienia i mimo podwyżki nadal pozostawała tanią siłą roboczą.

Levin wrócił z pokoju, dość podniecony.

— Ona się boi. Tylko że ja nie wiem, jak jej pomóc — jak myślisz?

— A nie może się z nim rozwieść?

— Prawdopodobnie wtedy wpadłby w furję. Byłoby lepiej, gdyby wspierała go finansowo i trzymała się od niego z daleka.

— Dziadek wie, że ona jest mężatką?

— Nie, nigdy o to nie pytał.

Levin przemierzał mój mały pokój tam i z powrotem. Coś mu leżało na sercu.

— Tę truciznę to wyrzuciłaś? — spytał nagle.

Popatrzyłam na niego ostro.

— A co, szukałeś jej?

Zebrał się w końcu w sobie i wydusił:

— Myślisz, że to dla mnie przyjemne, być ciągle uzależnionym od twoich pieniędzy? Staremu życie już przecież nie sprawia radości i prędzej czy później umrze i tak.

— Czy mógłbyś wyrażać się bardziej precyzyjnie: co to ma wspólnego z trucizną?

— Hella, dobrze wiesz, o czym mówię. Przyszła mi do głowy doskonała metoda. Pozbylibyśmy się wszystkich trosk. Moglibyśmy mieszkać w pięknym domu, otworzyłbym prywatny gabinet w Viernheim, ale nie musiałbym wypruwać z siebie żył, mielibyśmy czas i pieniądze na ciekawe hobby — czy to do ciebie nie przemawia?

Byłam przerażona. Z trudem wykrztusiłam:

— Piękne marzenie, którego nie sposób zrealizować inaczej niż poprzez morderstwo.

— Zaraz morderstwo. On cierpi na niewydolność mięśnia sercowego, lekarz domowy dobrze wie, że dziadek może w każdej chwili umrzeć.

— To odczekaj.

— Nie mogę już dłużej czekać. Mam długi...

Tu nie chodzi o porsche, jak zaraz dopowiedział, to mąż Margot go szantażuje.

— Wykończy mnie, jeśli nie dostanie, czego chce.

Kolana się pode mną ugięły. Levin, student z solidnej mieszczańskiej rodziny, pierwszy chłopak, z którym małżeństwo i życie rodzinne wydawały mi się wreszcie realne, był zaplątany w jakieś podejrzone sprawy, o których wolałam nie wiedzieć. Wybuchłam płaczem.

Levin wziął mnie w ramiona, głaskał mnie i całował. Kiedy wreszcie ode-
rwałam się od jego przemoczonej mymi łzami koszuli, zobaczyłam, jaki jest nie-
szczęśliwy.

— Levin — szlochałam — zacznijmy wszystko od nowa. Zapomnę o
wszystkim, co mi teraz powiedziałaś, a ty zwrócisz dziadkowi sztucce i biżute-
rię.

— Żeby się dowiedział, że to byłem ja — on jest przecież przekonany, że to
poprzedniczka Margot.

— Przyznaj się po prostu i poproś o przebaczenie!

— Wydziedziczy mnie. ,

— Nie, przebaczy skruszonemu grzesznikowi.

— Nigdy wżyciu! Ale skoro to dla ciebie takie ważne... Gdzie one są?

Wstałam i z mojej szkatułki na biżuterię wyciągnęłam złoty łańcuszek z se-
cesyjnym wisiorkiem, bransoletkę z zieloną emalią i broszę w kształcie węża,
następnie przyniosłam z kuchni duży widelec i nóż do krojenia mięsa, sztucce do
ryb i śliczne łyżeczki do herbaty. O paru pozostałych rzeczach zapomniałam,
wszystko inne położyłam przed Levinem na stole.

— To wyprawa ślubna mojej babci — stwierdził, jak gdyby widział te rze-
czy po raz pierwszy w życiu — i to wszystko należało do niej, nie do dziadka.

Bawiłam się łańcuszkiem, w którym było mi tak do twarzy, jak gdyby jakiś zakochany złotnik zrobił go specjalnie dla mnie. Co miał z nim począć stary człowiek? I jaką wartość mają dla niego szlachetne sztucce, skoro i tak dzień w dzień jada zniszczoną łyżką i wygiętym widelcem? Po czym zapakowałam skarby z powrotem.

TLR

Ojciec przywoził mi z każdej ze swoich licznych podróży służbowych mydelka, żel pod prysznic, papier firmowy z hotelu i maleńkie maselka, które skrzętnie zbierałam. Pasja chomikowania pozostała mi do dziś i z czasem dorobiłam się też pokaźnej kolekcji aptecznych próbek. W szpitalu zbieram codziennie resztki ze śniadania i kolacji: serki topione, marmoladę, wędlinę, a nawet jabłka i banany. Pani Hirte kładzie mi bez słowa swoją dolę na nocnej szafce. Ostatnio Paweł przyprowadził dzieci — całą trójkę, bardzo późnym wieczorem, ale kiedy leży się w pierwszej klasie, przymykają oko na godziny odwiedzin, i wręczyłam im pokaźną torbę pełną jedzenia.

Piliśmy właśnie czerwoną herbatę. Lene też chciała spróbować i otworzyła małą buzię tak szeroko, jak tylko mogła, by zmieścić się w niej brzeg kubka z grubej porcelany. Dzieci nie wzbudzają najmniejszego zainteresowania pani Hirte, toteż zaraz otworzyła książkę. Dwoje najstarszych wyróżnia niestety uderzające podobieństwo do matki, a słowo „niestety” dyktuje mi zazdrość, bo dzieci są prześliczne. W przypadku najmłodszego, mojego ulubieńca, na szczęście trudno powiedzieć, w kogo się wdał.

Kiedy wizyta dobiegła końca, było jeszcze trochę czasu do zapadnięcia nocy. Ale pani Hirte, tym razem niemalże zniecierpliwiona, zarządziła: — Dzisiaj zaczynamy trochę wcześniej. Wczoraj chyba zasnęłam, bo nie dotarło do mnie, dlaczego mąż Margot chciał szantażować Levina...

Kilka lat temu Levin i Dieter — mąż Margot — zostali zatrzymani na granicy grecko-tureckiej. W systemie grzewczym ich samochodu znaleziono heroinę; pojazd zarekwirowano. Wcześniej ustalili, że jeśli coś podobnego się wydarzy, całą winę bierze na siebie Dieter, ponieważ Levin w razie konfliktu z prawem zostanie na pewno wydziedziczony przez dziadka. Za to Levin miał zdobyć trochę pieniędzy, zatrudnić do obrony renomowanego adwokata i gdyby istniała

taka możliwość, zapłacić kaucję za zwolnienie Dietera. Nic z tego nie wyszło. Dziadek nie dał ani grosza, nie wierzył też w historyjkę, którą zaserwował mu Levin: jak to pewien nieznajomy uratował mu życie, obronił go przed bandą ulicznych rabusiów i w efekcie tego, pod zarzutem spowodowania obrażeń cielesnych — mimo że działał w obronie własnej — trafił do więzienia. „Sam w to nie wierzysz”, powiedział tylko dziadek.

Dieter dał Levinowi do zrozumienia, że po dwóch latach spędzonych w tureckim więzieniu spodziewa się sutego odszkodowania. Trudno oczekiwać, że będzie latami cierpliwie czekał, aż Hermann Graber zejdzie z tego świata.

— Ty brałaś narkotyki? — spytałam.

Levin zaprzeczył; co prawda już w szkole zdarzało mu się być dealerem, jednak od czasu, kiedy wpakował się w tę historię, postanowił nie mieć już z tym nic wspólnego. Dieter jest trochę starszy, to profesjonalista, ale i on nigdy nie brał nic oprócz koki, i to tylko w dni wolne od pracy.

— A Margot?

— Wcześniej tak, ale teraz już chyba nie. Załatwiłem jej tę robotę przy dziadku, żeby pokazać Dieterowi, że chcę dobrze. Ale i tak wiem, że będzie się pieklił z powodu jej głodowej pensji.

Pensja nie była głodowa, w końcu Margot nie była gosposią z prawdziwego zdarzenia, lecz niechlujką, która nie umiała nawet porządnie posprzątać. Tak czy inaczej odczułam ulgę, że stosunek Levina do niej nie był natury romantycznej.

— Twój dziadek planuje zapisać ci wszystko w spadku jedynie pod warunkiem, że zdasz wszelkie egzaminy — zakomunikowałam — więc gdyby umarł teraz, i tak by ci to nie pomogło.

— Ale nie był jeszcze u notariusza — odparł Levin — dlatego teraz trzeba działać szybko.

Zdesperowana szukałam nowych argumentów.

— Nie powstrzymasz przestępcy od dalszych szantaży, choćbyś dał mu sumę, której żąda.

— Dieter taki nie jest — zaprotestował Levin — kodeks honorowy obowiązuje nawet wśród dealerów. Nigdy mnie nie zdradzi, ale za to może mnie tak urządzić, że zostanę kaleką do końca życia.

— To sprzedaj porsche — zaproponowałam — może a nuż poprzestanie na sumie ze sprzedaży.

— No cóż — powiedział — jak widzę, chcesz męża, którego będziesz musiała zeskrobywać ze ściany łopatką do grilla.

Miałam już tego powyżej uszu i warknęłam:

— To otruj tego straszliwego Dietera!

Levin zagwizdał przez zęby. Wymienił wiele powodów, dla których jego doskonała metoda musiała zawieść w przypadku młodych ludzi. Nie sprawiał wrażenia, jakby Dietera rzeczywiście nienawidził, za to własnego dziadka gotów był udusić własnymi rękami.

Ja miałam ochotę zrobić coś dokładnie odwrotnego.

Kiedy doszłam w opowiadaniu do tego, jakże ważnego miejsca, odwróciłam się z troską do pani Hirte. Już spała, ale ja, nie zastanawiając się, opowiadałam dalej.

Levin wtajemniczył mnie w końcu w swój genialny plan, w którym, czy tego chciałam, czy nie, małe pastylki z trucizną grały dużą rolę. Musiałam przyznać, że ryzyko nie było duże. Strach, że posądzą mnie o współudział w zbrodni, osłabł. Jednak uczucia wstrętu i moralnych skrupułów nie pozbyłam się tak łatwo. Wprawdzie było dla mnie jasne, że stary, chory na serce człowiek i tak nie ma przed sobą długiego życia, ale nikt nie miał prawa — jak nazywał to Levin, używając słów swego dziadka — „pobawić się trochę w opatrność”.

Levin uprzedzał wszelkie wątpliwości:

— Nie będzie cierpieć, umrze, raz dwa, lekarz nie będzie zaskoczony jego śmiercią i wystawi akt zgonu, nie uwzględniając powodów innych niż naturalne. Tego lekarza też zresztą znam, on również nie jest już najmłodszy... Oczywiście nie może się to stać w weekend, bo wtedy wezwą obcego lekarza pierwszej pomocy, którego reakcji nie można przewidzieć.

Myślałam o niektórych moich znajomych i przyjaciółach, którzy życzyliby sobie szybkiej śmierci: po prostu umrzeć nagle, bez szpitala, bez wszystkich tych rurek i aparatów. Czyż ta bezbolesna śmierć wobec całych miesięcy cierpienia nie była przysługą, którą wyświadczyliśmy Hermannowi Graberowi?

— A Margot? Jeśli ona coś zauważy?

— A skąd! Nie martw się, jej talenty nie należą do dziedziny intelektu. Wie, że dziadek jest chory na serce, to gdy znajdzie ciało, zacznie krzyczeć i wezwie lekarza, jak trzeba.

— Ale jej mąż? Czy Dieter nie policzy sobie, że dwa plus dwa jest cztery, kiedy twój dziadek umrze akurat w tak dogodnym momencie? Dlaczego właściwie Margot tak się go boi?

— Ma wystarczająco dużo powodów, żeby się bać. Zdradzała go nie tylko ze swoim najlepszym przyjacielem, ale też z jego rodzonym bratem; Dieter się o tym dowie prędzej czy później. Ale jemu jest wszystko jedno, na co dziadek umrze. Byleby dostał swoją kasę i wtedy będziemy kwita.

Kiedy oglądaliśmy potem fiołki z truciznami, wszystko było dla mnie jeszcze zwykłym eksperymentem myślowym. A gdy czegoś dokładnie nie wiedziałam, Levin sprawdzał dodatkowo w słowniku medycznym, aż w końcu wybrał odpowiednią fiołkę.

— Czy ta trucizna nie jest aby przeterminowana? — spytał. — Może dobrze by było ją przedtem wypróbować? — i jego wzrok padł na Tamerlana.

Na chwilę straciłam panowanie nad sobą, ale powiedział szybko:

— No przecież żartuję... Tak, a po sporządzeniu ubytku umieszczę w nim tymczasowe wypełnienie — mądrzył się.

Chociaż dobrze wiedziałam, o czym mówi, spytałam (bo uwielbiałam widzieć Levina w roli naukowca):

— Po sporządzeniu czego?

— Ubytku w substancji kostnej — odparł Levin, zadowolony, że jego liczne semestry stomatologii wreszcie mogą się na coś przydać.

Spojrzałam na przepiękne zdjęcie willi dziadka, które Levin powiesił w kuchni. Bardziej niż jego strategicznie dobrane argumenty przekonał mnie ten niemy obraz: tam było moje miejsce, nie w wynajmowanym mieszkaniu bez balkonu ani ogrodu. Ten nowy dom Dorit (który okazał się znacznie droższy, niż przewidywali) mógł się przy nim schować.

To tylko na próbę — przekonywał mnie Levin, aż pewnego czwartkowego wieczora wzięliśmy kabriolet i pojechaliśmy do Viernheim. Porsche zbyt rzucało się w oczy.

Hermann Graber miał zwyczaj bardzo wcześnie kłaść się do łóżka, za to wstawał późno. Leżąc w łóżku, oglądał telewizję aż do ostatniego programu, używając słuchawek, bo nie dosłyszał. Miało to tę zaletę, że nie słyszał żadnych innych dźwięków w domu, chyba że wybuchłaby bomba. Nie bał się włamywaczy, bo akcje i pieniądze umieścił w sejfie bankowym.

Dom urządzony był w ciężkim, typowo niemieckim stylu. Brudne zamszowe portiery, rżnięte dębowe szafy, poczerńiałe panele. Stary najwyraźniej nie odczuwał braku tych srebrnych puderniczek ani porcelanowych figurek swojej żony, bo nie lubił przedmiotów, które „tylko zbierają kurz”.

Levin miał oczywiście drugi klucz.

— Muszę coś zlutować w piwnicy — oświadczył Margot, Hermann Graber posiadał bowiem doskonale wyposażony, choć nieco staromodny warsztat. Popatrzyła zaintrygowana na radio samochodowe, które Levin trzymał pod pachą.

Podczas gdy ja ustalałam z Margot w kuchni dietę dla dziadka, Levin zabrał jeszcze z samochodu małą wiertarkę. Kupił ją już dawno temu w sklepie z używanymi narzędziami.

Potem pobiegł na górę i wyciągnął ze szklanki protezę Hermanna Grabera, wiedząc, że dziadek tylko raz w tygodniu — mianowicie w soboty, kiedy bierze kąpiel — wkłada sztuczną szczękę do wody razem z tabletką czyszczącą. W tygodniu, tak jak dzisiaj, proteza leżała sobie, bez wody, w pustej szklance stojącej na kaloryferze w łazience.

Levin wywiercił swoją specjalną wiertarką w sztucznych trzonowych zębach dwie maleńkie dziurki, które były jednak na tyle duże, by zmieścić po pi-

gułce z trucizną. Po umieszczeniu w nich trucizny przykrył dziurki prowizoryczną cienką plombą, która miała się rozpuścić w kontakcie ze śliną.

Po dokonaniu dzieła Levin włożył protezę z powrotem do szklanki po kompocie, a wiertarkę i radio zaniósł z powrotem do samochodu. Kiedy dołączył do nas w kuchni, sprawiał wrażenie, jakby pozbył się ciężaru.

— Radio znowu działa — oznajmił i zwrócił się do Margot: — Są jakieś wieści od Dietera?

— Nic.

— Czyli że można się go w każdej chwili spodziewać? — spytał Levin.

— I wtedy kaplica! — zawołała Margot.

My powiedzieliśmy, że chcemy jeszcze zdążyć do kina, i wsiedliśmy do samochodu.

W Heidelbergu jechaliśmy główną ulicą, żeby ludzie nas widzieli, co nie było rzeczą trudną, na placu teatralnym wypiliśmy po filiżance espresso i pojawiliśmy się na nocnym seansie z niejakim opóźnieniem, tak że znowu zostaliśmy zauważeni.

Dopiero po filmie, którego za nic w świecie nie mogę sobie przypomnieć, Levin zakomunikował mi, że nasza wizyta w willi wcale nie była na próbę.

Na środku ulicy dostałam ataku hysterii.

Tamtej nocy leżeliśmy w moim łóżku, nie mogąc zasnąć, przewracaliśmy się tylko z boku na bok. Nagle wstałam i zaczęłam się ubierać.

— Chodź, Levin, pojedziemy tam i wszystko odwrócimy! — rozkazałam. Na to Levin zalał mnie potokiem czułości, które w połączeniu z moim zmęczeniem sprawiły, że ostatecznie zostaliśmy w domu.

O ósmej zaczynałam pracę w aptece, Levin miał do mnie zadzwonić, jak tylko przyjdzie wiadomość z Viernheim. Wstał dość późno, pokazał się razem z

kotem w ogrodzie, wyciągnął gazetę ze skrzynki pocztowej i nie omieszkał życzyć sąsiadom miłego dnia.

— Hella, chyba zaczyna panią rozkładać choroba — powiedziała w pracy moja szefowa — ja to widzę.

Zapewniłam ją, że po prostu mam okres i wtedy zawsze wyglądam jak zwłoki. Przy tym słowie zakrztusiłam się i zaczęłam kasłać jak astmatyk.

Szefowa pokręciła z niedowierzaniem głową.

— Niech pani lepiej idzie do domu — poradziła mi. — Nie przyczyni się do polepszenia naszego wizerunku, jeśli klienci po- zarażają się od aptekarki.

— To naprawdę nic takiego — zarzekałam się — jeśli pani pozwoli, położę się tylko na dziesięć minut na zapleczu.

Te dziesięć minut spędziłam na starannym makijażu. Dochodziła jedenasta. Czy przypadkiem trucizna nie straciła swoich właściwości po tych wszystkich latach? W duchu na to liczyłam.

Akurat kiedy z uróżowanymi policzkami stanęłam znowu za ladą, zadzwonił telefon. Levin powiedział sztywno:

— Mam ci niestety do przekazania smutną wiadomość o śmierci mojego dziadka. Może zadzwonię jeszcze później, teraz muszę natychmiast jechać do Viernheim.

Powiedziałam równie oficjalnie, bo szefowa nadstawiała uszu:

— Mój Boże, tak mi przykro! Kiedy to się stało? Gosposia do ciebie dzwoniła?

— Nie, lekarz osobiście. Na razie.

— Czy coś się stało? — spytała moja wścibska szefowa.

Skinęłam głową.

— Zmarł dziadek mojego chłopaka; ale miał już swoje lata, chorował, można się było tego spodziewać.

— Chce pani wcześniej iść do domu?

— Dziękuję, ale nie ma takiej potrzeby.

Levin nie pokazywał się przez cały dzień; robiłam błędy przy pracy, myliłam lekarstwa i zapomniałam wysłać tabletki do chorej. Wyszłam z apteki punktualnie, ani na minutę przed czasem.

Mieszkanie było puste. O ósmej zadzwonił wreszcie telefon. Rzuciłam się do słuchawki, to była Dorit.

— Wiesz już, że masz bogatego chłopaka? — spytała bez ogródek. — Dziś zmarł jego dziadek.

— Skąd wiesz? — zapytałam, żeby zyskać na czasie.

— Gero mi powiedział. Faceci to plotkarze. Sąsiad starego Grabera widział karawan... Jest kolegą Gero. No to jak, wprowadzicie się teraz do domu w Viernheim i pohłasujecie trochę przy remoncie?

— Zadajesz za dużo pytań — odparłam lakonicznie. Chciałam zwolnić telefon na wypadek, gdyby dzwonił Levin.

— A wiesz, kupiłam sobie dzisiaj jedwabny blezer — zmieniła temat Dorit — zgadnij, jakiego koloru! Czerwony!

Nie byłam w nastroju do pogaduszek, przeprosiłam i odłożyłam słuchawkę. Najchętniej poszłabym pod prysznic, cała byłam zlana potem. Ale właśnie w chwili, kiedy spływałyby po mnie strumienie zimnej wody, mógł zadzwonić Levin. Właściwie spodziewałam się już nie tyle telefonu od Levina, co z policji, z komunikatem o jego aresztowaniu.

O wpół do dziewiątej usłyszałam wreszcie zajeżdżające przed dom porsche. Pobiegłam do drzwi, samochód miał pokaźne wgniecenie na błotniku. Levin podniósł leżące na przednim siedzeniu plastikowe torebki, wręczył mi jedną i powiedział szarmancko:

— Zamknij dziób i drzwi! Wszystko poszło jak po maśle!

Jak tylko znaleźliśmy się w mieszkaniu, puścili mi nerwy.

Ale Levin uśmiechał się szeroko.

— Niedługo sama zobaczysz, że opłacało się czekać! — Z plastikowych torebek wypakował szampana, moją ulubioną sałatkę, świeże krewetki, owoce egzotyczne i chrupiące paszteciki. — Nie jesteś głodna?

Nawet nie myślałam o jedzeniu, ale na widok tych przysmaków odczułam apetyt. Najpierw chciałam jednak wiedzieć, gdzie się tak długo kręcił.

— Od razu kręcił — bronił się Levin. — Przez cały czas pracowałem...

I zaczął opowiadać, podczas gdy ja układałam przysmaki na talerzykach: Margot przygotowała śniadanie o dziesiątej rano; Hermannowi Graberowi smakowało i jak zawsze przy kawie czytał gazetę. Kiedy skończył, Margot poszła na zakupy. Za pół godziny była z powrotem i znalazła dziadka martwego — sztywno siedzącego przy biurku, karty do pasjansa wypadły mu z ręki. Był jeszcze ciepły, jak powiedziała Margot: „O mało co żem się nie posikała ze strachu”. Zaraz też wezwała doktora Schneidera. Kiedy lekarz zobaczył, że nic już nie da się zrobić, wystawił akt zgonu i zadzwonił do Levina. W Viernheim Levin zderzył się z tonącą we łzach Margot. Obwiniła siebie, powtarzając, że dziadek nie powinien był pić takiej mocnej kawy. Dostała wolne do wieczora.

— I co robiłeś potem?

— Już przecież mówiłem, harowałem. Ale opłaciło się!

Nie wiedziałam, co mam przez to rozumieć, ale Levin włożył mi do ust wi-delec z krewetkami i cały promieniał.

— Na zdrowie, Hella, za nasze tłuste lata!

Otworzył następną plastikową torebkę i wyciągnął pudełeczko od jubilera.

— Pomyślałem sobie, że złoty topaz będzie pasował do twoich piwnych oczu.

Potem wypakował jedwabne koszule dla siebie, jedwabne bluzki dla mnie, buty, perfumy i na dodatek globus.

Dużo czasu zajęło mu otwarcie sejfu Hermanna Grabera; Levin przypuszczał już wcześniej, że dziadek trzyma w domu trochę gotówki. Sejf był standardowy, bez klucza, za to z kombinacją cyfr. Ale nic specjalnego w nim nie znalazł: dokumenty, album ze zdjęciami i różne lokaty bankowe, ale raczej na małe kwoty.

Zabrał się wobec tego za przeszukiwanie sypialni, przekonany, że skarb musi być ukryty właśnie tam. Ale odniósł sukces dopiero po godzinach szukania.

— Stary głupi nie był — orzekł z uznaniem — na tę kryjówkę nie wpadłby nikt oprócz mnie...

Z wyciągu nad kominkiem zwisał kawałek sznurka. Levin naderwał tam tapetę i pociągnął za sznurek: wyleciała torba plastikowa, w której było kilka tysięcy. Oczywiście nie był to legendarny spadek, ale zawsze jakiś zastrzyk gotówki, jako wstęp do przyszłego szczęścia. Potem Levin zadzwonił do zakładu pogrzebowego i załatwił formalności związane z pogrzebem, po czym bezskutecznie próbował połączyć się z adwokatem. Zdążył jeszcze wpaść do kilku sklepów przed zamknięciem.

Teraz już na dobre straciłam panowanie nad sobą. Wyłam jak syrena strażacka, klejąc się do Levina jak mokra ścierka.

Głaskał mnie tylko. — Już dobrze, wszystko załatwione. Chodź, połóż się spać, najbardziej potrzebny jest ci teraz sen. Ja muszę jeszcze posiedzieć i co nieco zaplanować.

Po relaksującej kąpieli ziołowej i kilku tabletkach walerianowych wpadłam w dziwny stan pół snu, pół jawy. Od jutra odstawiam pigułki, pomyślałam przed zaśnięciem, a pierścionek nie ma z tym nic wspólnego; czego jak czego, ale skąpstwa Levin po swoim dziadku nie odziedziczył, miejmy nadzieję, że mu się nie odmieni... Muszę go jeszcze tylko troszkę wychować...

Następnego dnia poszłam do pracy, a Levin pojechał do Viernheim. Gotówkę z dziadkowej kryjówki wydał prawie co do grosza.

Zwolnić Margot czy nie? Na razie nie, sam Levin był temu przeciwny, bo to zawsze lepiej, jak w willi ktoś mieszka. My chcieliśmy się wprowadzić dopiero

po kompletnym remoncie. Dom był zresztą na tyle duży, że na parterze można było urządzić gabinet dentystyczny, co należało rozważyć przed rozpoczęciem prac budowlanych. Odczułam ulgę, że Levin planuje wszystko tak rozsądnie i że nie kupił od razu nowego samochodu. Ale zaraz: skąd wzięło się to wgniecenie na karoserii? Nie powinnam się tym martwić, odparł mi, nikt nic nie widział.

Levin nie mógł się też wprost doczekać wizyty u notariusza. Do tego czasu nie wiedział, jakiej ilości pieniędzy może się spodziewać i czy testament nie zawiera przypadkiem jakiegoś haczyka. W każdym razie sama willa to była równowartość dziesięciu porsche, jak mnie zapewniał — bo Levin wszystko przeliczał na porsche.

Mrukliwy notariusz nie ułatwiał sprawy. Testament rzeczywiście zmieniano dwanaście razy, ostatnio zaledwie dwa tygodnie temu, i notariusz zarzekał się, że sam nie zna do końca jego treści. Levin zbladł. Ale o egzaminie nie było ani słowa. Levin dostał papiery wartościowe, które prawdopodobnie pokrywały jego należną część spadku. Willa oraz lwia część akcji przypadła mnie — Helli Moormann — pod warunkiem, że wyjdę za Levina w ciągu pół roku. Oczywiście miałam prawo odrzucić spadek i małżeństwo: w takim wypadku majątek otrzymałby Czerwony Krzyż.

Levin potrzebował chwili, by zrozumieć tę nowinę.

Kiedy wreszcie zaskoczył, podniósł się gwałtownie i zawołał:

— Przecież każdy głupi widzi, że stary miał nierówno pod sufitem! To przecież czyste szaleństwo—wszystkie pieniądze miałyby przypaść obcej kobiecie! Czy można go pośmiertnie ubezwłasnowolnić?

Moja dopiero co zdobyta odrobina pewności i radosne podniecenie znikły bez śladu. Przecież nie chodziło mi o pieniądze.

Ubezwłasnowolnić... — powtórzył notariusz, rozciągając sylaby. — Niezadowolone rodziny próbują tego raz po raz, czasem nawet im się to udaje. W przypadku pańskiego dziadka nie widzę szans, był do samego końca w pełni władz umysłowych, jak to się ładnie mówi, i jest na to wielu świadków.

Levin zdążył się opanować.

— To nie ma zresztą aż tak wielkiego znaczenia — wykrztusił z wysiłkiem — moja narzeczona i ja i tak zamierzaliśmy się pobrać.

— A zatem szczęśliwemu zakończeniu nic już nie stoi na przeszkodzie — orzekł notariusz z zazdrością i posłał mi lepki uśmiech.

Ani nie odpowiedziałam mu uśmiechem, ani nie potwierdziłam tego, co powiedział Levin. Byłam zraniona do żywego.

TLR

—*Dobrze pani spała?* — zapytałam panią Hirte następnego ranka, bo na jej twarzy malowało się zmęczenie.

Okazało się, że przyśnił jej się w nocy koszmar, była pełnia, może to dlatego.

— *Co się pani śniło?* — spytałam z przejęciem.

— *Że zastrzeliłam policjanta.*

Na samo wyobrażenie tej wysuszonej matrony, celującej z pistoletu w policjanta, musiałam się uśmiechnąć.

— *Sprawdzimy w pismach Freuda, co to może znaczyć*—zaproponowałam.

Ale ona spytała tylko:

— *Nigdy nie miewa pani podobnych snów?*

Pokręciłam głową, może trochę zbyt gorliwie.

— *A ja ciągle myślę o tej historii o pani koleżce ze szkoły. Z takich rzeczy nie wychodzi się przez całe życie...*

Tu akurat musiałam jej przyznać rację.

W przeciwieństwie do mnie pani Hirte wiele razy leżała w szpitalu. Zaledwie przed kilkoma laty przechodziła operację jelita; twierdzi stanowczo, że ta operacja zatrzymała rozwój raka. Nie ma jednak jeszcze wyników badań histopatologicznych — myślę, że lekarze raczej nie będą jej okłamywać. Kiedy tak jej się przyglądam, kościstej, bladej i bez apetytu, to dochodzę do wniosku, że i laik wydałby diagnozę mało optymistyczną.

— *Na czym wczoraj stanęłam?* — musiałam ją sprawdzić.

Z zakłopotaniem odpowiedziała:

— *Chyba na ustalaniu diety dla dziadka. Musiałam przysnąć. Od kiedy mam w domu mikrofalę, zupełnie zarzuciłam gotowanie...*

— *No dobrze — rzekłam — więc dziadek umarł...*

Śmierć Hermanna Grabera obudziła we mnie wspomnienie mojego własnego dziadka. Zawód aptekarki wybrałam chyba dlatego, żeby mu dorównać. W innym razie zostałabym pewnie pracownicą socjalną, psychologiem albo lekarzem, przedszkolanką albo pielęgniarzką — dobrze, że się tak nie stało, skończyłabym źle i bez żadnej nadziei. Jako aptekarka mam co prawda też do czynienia z cierpiącymi, ale wielu z nich opuszcza ten mój lokal bez wywlekania na wierzch swoich psychicznych bolączek.

Mój dziadek był przystojnym, siwowłosym patriarchą, którego wszędzie ceniono i poważano. Tak samo jak Hermann Graber dorobił się pokaźnego majątku. Tylko że ja w przeciwieństwie do Levina byłam przywiązana do mojego dziadka i myślałam o nim zawsze z czułością, kiedy czasem siadywałam z Tamerlanem w odziedziczonym po nim fotelu.

Gdyby ktokolwiek próbował podsunąć mi pomysł uśmiercenia własnego dziadka, znienawidziłabym go do końca życia.

Po tym, jak Levin w tak podły sposób zareagował na treść testamentu, moje uczucia do niego uległy zaraz ochłodzeniu. W drodze z biura notariusza spytał:

— *Co jest? Czemu odpowiadasz monosylabami? W końcu masz powód do radości: wygrałaś jako osoba całkiem obca.*

Ani nie uważałam tego, co robiliśmy, za grę, ani nie czułam się jak zwycięzca. *Mój ty ptaszku, myślałam, tak łatwo mnie nie dostaniesz.*

Oczywiście zaraz też spytał, na kiedy planujemy wesele.

— *Nie wiem — odparłam zimno.*

— *Teoretycznie mamy pół roku — ciągnął Levin — ale Dieter może pojawić się lada chwila, dlatego wskazany jest pośpiech.*

— Dlaczego pośpiech? — zdziwiłam się. — Jak sprzedasz swoje akcje albo porsche, będziesz w stanie spłacić swoje długi.

Spojrzał na mnie z rozdziawionymi ustami.

— To tak to jest — powiedział — ja mam biedować, a ty będziesz sobie wygodnie siedzieć na moich pieniądzech.

— Do wesela nie należy do mnie ani fenig — przypomniałam mu — i ty o tym wiesz. Poza tym wiesz bardzo dobrze, że nie dam się zwariować pieniądzom.

Levin popatrzył na mnie jak na cielę z dwiema głowami.

— Czy to ma znaczyć, że już mnie nie chcesz i pozwolisz, żeby spadek przypadł? Moglibyśmy się potem rozwieść; przecież to by była tragedia, gdyby wszystko zgarnął Czerwony Krzyż.

— Nie mam nic przeciwko Czerwonemu Krzyżowi — odparowałam.

Levin wybuchnął śmiechem.

— Jej Wysokość raczy żartować — powiedział i spróbował mnie objąć.

Siedziałam sztywno jak kłoda.

— Obcych kobiet się nie całuje — ostrzegłam. Teraz wreszcie zrozumiał.

— Ślub za tydzień! — rzucił beztrosko, ale ja nie przestałam się boczyć.

Potem nadeszły ciche dni. Każde z nas czekało na próby zawarcia pokoju przez drugą stronę.

Swoją drogą legendarny Dieter nie raczył się jak dotąd pojawić. Od czasu do czasu opadały mnie wątpliwości co do jego istnienia, nawet jeśli Margot raz po raz z przejęciem wspominała o jego powrocie. Pewnego razu wpadłam nawet na pomysł, że Levin i Margot go wymyślili. Ale zarzuciłam to podejrzenie, bo Levin nigdy w życiu nie poszedłby na współpracę z tą głupią gęsią. Może i miał pstro w głowie, ale intrygantem nie był.

Pierwszy krok zrobił wreszcie Levin. Przyjechał po mnie do pracy swoim porsche, mimo że kabriolet stał zaparkowany przed apteką, i zaproponował, byśmy poszli coś zjeść do jakiejś naprawdę drogiej restauracji.

— Chcesz od razu przejeść wszystkie swoje pieniądze? — spytałam.

Nawet nie mrugnął, ale wiedziałam przecież, że wszelkie wskazówki dotyczące oszczędzania działały na niego jak płachta na byka.

— Jeszcze nawet nie uczciliśmy naszych zaręczyn — odpowiedział.

A jak kazałam się najpierw odwieźć do domu, żeby wziąć prysznic i się przebrać.

Siedząc potem w miękkim fotelu, zmęczona po ciężkim dniu, popijałam wino i zupełnie zapomniałam, że jeszcze tak niedawno byłam obrażona.

Levin chytrze to zaaranżował. Po kilku lampkach wina — może dwóch więcej, niż powinnam — spytał śmiało:

— Czego najbardziej byś chciała?

— Dziecka.

Następnego dnia oficjalnie ogłosiliśmy nasze zaręczyny. Była sobota, miałam wolne, ale nie chciałam iść z Levinem na zakupy, tylko trochę posprzątać. A może powinniśmy wkrótce zatrudnić sprzątaczkę?

Wtem ktoś zadzwonił do drzwi. To pewnie Dorit, zgadywałam; nie pasowała mi jej wizyta. Za każdym razem, kiedy mnie odwiedzała, musiałyśmy godzinami rozprawiać o facetach i dzieciach.

Ale w progu nie stała Dorit, lecz potężnej postury mężczyzna.

— Czy tutaj mieszka Levin Graber? — spytał z głupia frant, mimo że na drzwiach wisiała tabliczka z nazwiskiem.

Nie potrafiłam mu powiedzieć, kiedy Levin wróci; mimo to nieznajomy chciał na niego poczekać.

— Nazywam się Dieter Krosmansky.

Obleciał mnie strach.

Czułam, że Dieter przygląda mi się z uwagą.

— Albo jeśli nie ma pani nic przeciwko, tobym zajrzał znowu dziś wieczór.

Niedobrze, pomyślałam, zauważył, że wiem, kim jest i teraz myśli, że żywię uprzedzenia wobec byłych więźniów.

Chcąc nie chcąc, zaprosiłam go więc uprzejmie do środka, zaprowadziłam do pokoju Levina i przyniosłam mu gazetę oraz piwo. Drzwi zostawiłam otwarte. Trochę się bałam, że mógłby szperać w rzeczach Levina. Wróciłam więc do pokoju ze szmatką, przeprosiłam grzecznie, lecz zdecydowanie i zaczęłam ścierać kurze wokół Dietera. Obserwowaliśmy się kątem oka. Udając serdeczność, spytałam, czy jest z Heidelbergu.

— Nie, ale mieszkałem tu kiedyś. Moja rodzina pochodzi ze wschodu.

Dieter mówił nienagannym niemieckim, w przeciwieństwie do Margot, która nigdy nie wyparłaby się swojego tutejszego pochodzenia. Czy on naprawdę był jej mężem? Z zacięciem polerując szafki, spytałam beztrosko:

— Studiowaliście razem z Levinem?

— To akurat nie — odparł Dieter równie beztrosko — ale kilka razy razem podróżowaliśmy.

Ciepło, ciepło. Wydawało mi się, że Dieter zastanawia się, czy jestem tylko tymczasową przyjaciółką, czy stałą dziewczyną, dobrze poinformowaną w temacie przeszłości Levina.

Pomogłam mu.

— Levin i ja wkrótce się pobieramy — oświadczyłam.

— Czy to znaczy, że Levin już skończył studia?

— Niewiele mu zostało, już prawie je skończył.

— A jego dziadek? Jeszcze żyje?

To było podchwytliwe pytanie, ale nie było sensu grać nieorientowanej w sytuacji.

— Dopiero co zmarł.

— No, to Levin musi być teraz bogaty... Dziwi mnie, że w takich okolicznościach zadowala się tylko jednym pokojem.

On mnie wypytuje, myślałam poirytowana, no i po co mi to było.

— Testament będzie ważny dopiero od momentu, kiedy uzna go sąd spadkowy — wyjaśniłam — to trochę trwa.

Nie podjął tematu, lecz spytał bez ceregieli:

— Niezbyt dobrze się czuję, mógłbym się tutaj położyć? Levin na pewno nie będzie miał nic przeciwko temu, jeśli się na chwilę wyciągnę na jego łóżku.

Ze skrywaną niechęcią patrzyłam, jak ściąga buty (z drugiej strony dobrze, że je w ogóle zdjął) i wygodnie rozkłada się na łóżku; jego skarpetki były poprzecierane i w niektórych miejscach prześwitywały nylonowe gumki. Wyszedłam z pokoju, nie domykając drzwi. Było mi nieswojo.

Zdażyłam wypucować mieszkanie na błysk, a Levina jeszcze nie było. Dieter spał w najlepsze. Wśliznęłam się po cichutku do pokoju, by mu się przyjrzeć. Nie tak wyobrażałam sobie dealera; nie wyglądał mi na kryminalistę, w tej swojej kraciatej koszuli i sztruksowych spodniach przypominał raczej angielskiego studenta albo geodetę z Westfalii. Na jego twarzy malowało się ogromne zmęczenie; właściwie była to inteligentna twarz i szczerze mówiąc, nawet mi się podobała. Jak to możliwe, że on i Margot...! Paznokiec lewego kciuka miał zdeformowany, nie wiedzieć czemu budziło to moją tkliwość. Obudziło się we mnie coś w rodzaju współczucia wobec tego śpiącego mężczyzny, przyniosłam więc z mojego pokoju wełniany koc i dobrze go przykryłam.

Levin pojawił się w domu w miarę wcześnie jak na niego, nakupował dużo dobrego jedzenia. Usłyszawszy samochód, na palcach podeszłam do drzwi wejściowych i otworzyłam, zanim zdążył włożyć klucz do zamka. Położyłam palec na ustach i szeptem oznajmiłam:

— On tu jest!

— Kto? — spytał za głośno Levin.

Pokazałam mu znowu, że ma być cicho, i zaprowadziłam do jego własnego łóżka. Levin gapił się na swojego kumpla z niedowierzaniem, po czym pospieszył za mną do kuchni. Mój zawsze tak odważny przyjaciel był zdenerwowany, skręcał papierosy i chciał koniecznie wiedzieć, o czym rozmawialiśmy.

— Nie martw się, był łagodny jak baranek — uspokoiłam go — ale musiałam mu powiedzieć, że twój dziadek nie żyje, dowiedziałby się prędzej czy później.

Levin był dalej rozdrażniony.

— I co my teraz z nim zrobimy?

— Damy mu się wyspać, potem coś razem zjecie i pójdziecie na spacer po zamkowym parku — zaproponowałam.

Levin zrobił wielkie oczy.

— Kto by pomyślał, że potrafisz być taka wyluzowana, mogłabyś być narzeczoną gangstera!

Nie skomentowałam, że przecież już nią jestem, i zabrałam się za gotowanie. Levin chodził niespokojnie w tę i z powrotem, przeszkadzając mi tylko. W ramach terapii uspokajającej dałam mu do obierania jabłko. Levin złapał najostrzejszy nóż, jaki był w domu, i od razu zaciał się w palec. Kiedy nakładałam mu opatrunek, nagle stanął przed nami — w skarpetkach — nasz gość. Na widok krwi pobladł i odwrócił głowę. Wytarłam stół.

Dieter podszedł bliżej.

— No, stary druhu — zagaił, po czym mocno — za mocno? — poklepał Levina po ramieniu. — Co, Margot nie mieszka już w Heidelbergu, u Lory przy Grabengasse?

Levin odparł wymijająco:

— Hella jest wspaniałą kucharką, pod warunkiem, że nikt jej nie przeszkadza. Chodź, napijemy się aperitif.

Zniknęli, a ja zajęłam się combrem z zająca, który udusiłam na patelni razem ze starannie wyczyszczonymi z pestek winogronami, plasterkami jabłka i calvadosem. Nie doszło do mnie ani jedno słowo z ich rozmowy.

Kiedy pół godziny później podałam do stołu, obaj byli w szampańskich nastrojach, nie było po nich widać ani śladu jakiegokolwiek zatargu, od rękoczynów poczynając, na zwykłej sprzeczce kończąc.

Zajac naprawdę mi się udał, zbierałam pochwały. Rozmawialiśmy o polityce, plotkach i przepisach kulinarnych. Aż do chwili, kiedy Dieter wstał na pożegnanie i zażądał:

— Pożycz mi swój samochód, jutro rano odstawię ci go z powrotem.

Zatkało mnie na taką bezceremonialność, jeszcze się nie zdarzyło, żeby Levin komukolwiek wręczył kluczyki do porsche. Zadrżały mu kąciki ust i powiedział:

— Mogę cię odwieźć.

— To miłe z twojej strony, ale absolutnie nie ma takiej potrzeby — odrzekł Dieter. — Zresztą wypieś więcej niż ja.

To się akurat zgadzało. Levin dał mu kluczyki.

— Wiesz, gdzie zaparkowałem.

Zaraz gdy tylko wyszedł, musiałam zaspokoić ciekawość:

— Pojechał do Margot? Będzie ją bił? Czego on od ciebie chce?

Levin ziewnął.

— Skarbie, jak sama pewnie zauważyłaś, z Szawła zrobił się Paweł, i to święty. Całkiem dobrze nam się gadało, a Margot ani jeden włos nie spadnie z głowy.

— A co z pieniędzmi, które jesteś mu winien?

— Mogą poczekać — powiedział — poza tym Dieter zgodził się być świadkiem na naszym ślubie.

To już mi się nie spodobało, bo wtedy na naszym weselu, chcąc nie chcąc, będzie musiała pojawić się też Margot. Zaprosiłam już moich rodziców, których bardzo rzadko odwiedzałam, brata, kilku przyjaciół i oczywiście szefową. Na świadków chciałam Dorit i Gero, teraz zamiast Gero miał być Dieter. Rodzice latami zadreżczali J się z powodu moich trudnych związków, teraz mieli być zadowoleni, że córka wychodzi za mąż za chłopaka po studiach, zabezpieczonego niczego sobie spadkiem. Jeśli na ślubie pojawi się Margot, zepsuje dobre wrażenie spokoju i solidności.

Levin wyśmiał moje rozterki:

— Nigdy bym nie pomyślał, że tak zadzierasz nosa! Ale Dieterowi coś najwyraźniej nie masz nic do zarzucenia...?

Milczałam taktownie. Ale musiałam się przyznać sama przed sobą, że Dieter na osobie nie wtajemniczonej w jego sprawy robił j nawet lepsze wrażenie niż Levin.

— A ile to lat ma ten Dieter, on ma jakiś zawód?

— Ma trzydzieści parę lat i czegoś tam się wyuczył, jest agentem ubezpieczeniowym, jeśli się nie mylę. To niegłupi chłopak, zna też kilka języków.

— To dlaczego taki niegłupi chłopak został dealerem?

— Dobrze pytanie. Ale czego nie robi się dla pieniędzy?

Chciałam zmienić kryjówkę moich fiolek z truciznami, nie było wskazane, żeby ktoś tak lekkomyślny i w gorącej wodzie kąpany jak Levin w dalszym ciągu miał do nich dostęp. Kiedy tak szukałam nowej i pewnej skrytki, zaczęłam się zastanawiać, dlaczego właściwie mój dziadek znalazł się w posiadaniu tych wszystkich niebezpiecznych trucizn, pochodzących prawdopodobnie z Anglii. Te rzeczy w najmniejszym stopniu nie należą do standardowego wyposażenia aptek, jak tłumaczyłam Levinowi. Może dziadek za czasów Trzeciej Rzeszy zaplątany był w jakieś historie, o których rodzina wolała nie wspominać? Włożyłam fiołki do starej doniczki, dobrze przykryłam ziemią, a doniczkę zaniósłam do piwnicy, gdzie znalazła się obok innych przedmiotów, zdobiących wieki całe temu mój stary balkon.

Zbliżał się dzień ślubu. Byłam przejęta, tyle rzeczy należało jeszcze załatwić. Co mam na siebie założyć? Wybrałyśmy się z Dorit po lniany kremowy kostium dla mnie. Na bukiet zaproponowała róże stulistne blad różowego koloru, lilie i niezapominajki. Ale ja uważałam, że będę przy nich wyglądać blado.

Levin miał co innego w głowie.

— Chodź ze mną — powiedział trzy dni przed wielkim wydarzeniem — pojedziemy do Viernheim, znam tam jednego architekta. Musimy się zastanowić, co można zrobić z tego domu.

I tak po raz pierwszy od śmierci Hermanna Grabera znowu byłam w willi. Ogromne pokoje na parterze, których wcześniej nie używano i zaciemniono, wyglądały teraz zupełnie inaczej: urządzili się w nich Dieter i Margot, poprzestawiawszy wpierw ciężkie czarne meble. Najwyraźniej Margot przeniosła się ze swojego pokoju w przybudówce na pańskie pokoje. Miałam złe przeczucia.

Architekt roztaczał przed nami propozycje odremontowania domu: tak, żeby go zmodernizować, nie tracąc przy tym jego charakteru. Ja chciałam dobudować oranżerię. Ale przed rozpoczęciem prac musieliśmy ustalić, czy na parterze miałyby znajdować się gabinety; wtedy trzeba by było zaplanować osobne wejście. Levin mruknął wymijająco, że jeszcze się nie zdecydował.

Kiedy architekt sobie poszedł, Dieter przyniósł wino z piwniczki Hermanna Grabera. Skoro ma być naszym świadkiem, powiedział, musimy wypić brudzia. Przepił do mnie:

— Twoje zdrowie, Hella!

Sytuacja mnie przerosła; teraz musiałam przejść na ty również z Margot, która do tej pory zwracała się do mnie „pani Hellu”. Miałam kwaśną minę, a jednocześnie byłam na siebie zła, w końcu ja sama zawsze krytykowałam moich rodziców, że zadzierają nosa.

— Nie podoba mi się ani trochę — zaczęłam w drodze powrotnej do mieszkania Levina — że twoi znajomi zajęli dom w Viernheim; moi rodzice i twoja matka mogliby tam przecież się zatrzymać na noc...

— Co do mojej matki, to nie mogłem się jakoś do niej dodzwonić — zakomunikował na to Levin.

Ta wiadomość jeszcze bardziej zepsuła mi nastrój; wypadło, żeby na weselu stawili się rodzice obojga państwa młodych. Zmieniłam temat.

— A wyjaśnisz mi, dlaczego Dieter ożenił się akurat z tą głupią gęsią?

— Nie doceniasz tej głupiej gęsi. Pomogła mu, kiedy był w tarapatkach.

— Ale nie musiał się z tego powodu zaraz z nią żenić; przecież oni za grosz do siebie nie pasują.

— Nie bądź taka pewna.

TLR

Naprawdę była pani taka niemądra, żeby wyjść za tego filuta? — spytała pani Hirte. — Skoro tak, to niech pani pominie opowieść o weselu i przejdzie od razu do szczęśliwie sfinalizowanego rozwodu.

Widocznie ostatnim razem słuchała z uwagą. Ale wesele było ważne, nie mogłam go ot tak przeskoczyć.

Przerwała nam jednak wizyta lekarzy. Doktor Kaiser po raz kolejny z wyjątkowym brakiem taktu zadarł do góry koldrę i nocną koszulę pani Hirte, żeby przyjrzeć się, jak goją się blizny. Wydawał się zadowolony, ponaciskał jej brzuch tu i tam i spytał, czy podczas menopauzy brała hormony.

— Po operacji jelita grubego wstrzymano podawanie pani Hirte hormonów — powiedziała oddziałowa, przewracając oczami na znak oburzenia, że lekarz o tym zapomniał.

Mnie doktor Kaiser podał tylko rękę i rzucił, że widzimy się niedługo na USG.

Dopiero wieczorem odzyskałyśmy spokój i mogłam uszczęśliwić panią Hirte kolejną porcją historii mojego życia.

W trakcie przygotowań do wesela Dorit po raz kolejny udowodniła, że jest moją najlepszą przyjaciółką. Pomagała w organizacji przyjęcia, zamawiała hotelowe pokoje, obmyślała dekorację stołu i udzielała moim przyjaciołom rad w doborze prezentów. Levin nie okazywał większego zainteresowania tymi sprawami, ale skonsultował się z samym szefem kuchni w zamku Schwetzing i ustalił istic królewskie menu na weselne przyjęcie.

*

W przeddzień wesela siedziałam w kuchni Dorit i moczyłam zmęczone stopy w miednicy z wodą z dodatkiem pobudzających krążenie olejków. Byłam jej

tak wdzięczna za wszystko, co dla mnie robiła, że — wbrew moim postanowieniom — wyznałam jej, że duży spadek przypadnie wkrótce mnie, a nie Levinowi. Nadstawiła uszu. Miałam jej przyrzec, że nie dam Levinowi pełnomocnictwa do dysponowania moim majątkiem — jej zdaniem był zdolny przehulać wszystko w ciągu jednego roku.

Trochę się krygowałam.

— Dorit, ale on tego zażąda. A mnie nigdy nie zależało na wartościach materialnych...

Powiedziała z ironią:

— Wiem, wiem, dla ciebie liczy się wewnątrz. Ale staremu chodziło o to, żeby ktoś przypilnował kochanego Levina. Miał do ciebie zaufanie, w przeciwnym razie nie zmieniłby testamentu na twoją korzyść.

Musiałam przyznać jej rację i obiecałam zachować ostrożność.

Czekaliśmy na mojego brata z żoną i z dzieckiem, mieli przyjechać z południa, rodzice przyjechali z Niemiec Północnych. Levin wybył z domu na ich przyjazd, żebyśmy, jak sam powiedział, mogli się najpierw sami sobą nacieszyć. Rodzice mieli wypisane na twarzy uprzedzenia wobec przyszłego zięcia, którego nawet nie zdążyli jeszcze poznać.

Matka zadała standardowe pytanie:

— Co robił jego ojciec?

— Był organistą.

— Wspominałaś coś o jakimś spadku, więc jak mogła taka mysz kościelna...?

— Spadek jest po dziadku. — W ich oczach czytałam pytanie „Ile?”, ale mieli się za zbyt dystygowanych, żeby wypowiedzieć je na głos.

Ojciec przeszedł się po mieszkaniu, sprawdzając czystość i porządek. Bez pytania wszedł także do pokoju Levina. W końcu spytał:

— To ile on ma lat?

— Dwadzieścia siedem. — Ojciec westchnął. Wolałby kogoś o dziesięć lat starszego. Nie przestawał mieszać łyżeczką w swojej filiżance z herbatą, chociaż nie słodził już od ponad dwudziestu lat.

Na szczęście przyjazd brata trochę oczyścił atmosferę. Jego nudna żona została w hotelu z małym dzieckiem; zawsze miałam wrażenie, że mnie nie akceptuje. Bob uściskał mnie i rodziców i zapewnił, że bardzo cieszy się z mojego zamążpójścia.

Kiedy przyszedł Levin, zaczęliśmy rozmawiać na tematy neutralne, co przyjął z ulgą. Zwłaszcza gdy zeszliśmy na samochody.

Rodzice z posepnymi minami czujnie przyglądali się Levinowi, ale nie udało im się tak szybko znaleźć żadnych miażdżących argumentów przeciw. Po raz pierwszy i ja dostrzegłam, że Levin trzy górne guziki koszuli nosi rozpięte. Wieczór przebiegł jednak spokojnie i rodzina wcześniej wróciła do swoich hotelowych łóżek.

Dzień wesela przywitało piękne słońce, a rodzice byli w znośnym nastroju. Matka z miną spiskowca zaciągnęła mnie do kuchni

wręczyła mi tuzin białutkich ręczników hotelowych, z czego dwanaście pochodziło z podróży służbowych, na które zapraszał ją mój ojciec podczas wszystkich lat ich małżeńskiego pożycia.

Po dość tłustym śniadaniu przygotowanym przez moją grubą matkę i chudą szwagierkę przyjechali po nas świadkowie. Dorit i Dieter mieli poważne miny i wyglądali naprawdę ładnie, tak że nie musiałam się przed rodzicami niczego wstydząć. Dorit już zresztą znali i byli przekonani, że ma na mnie dobry wpływ. Po ceremonii ślubnej w urzędzie stanu cywilnego spotkaliśmy się wszyscy w kawiarni zamkowej. Wyglądałam ślicznie, tak przynajmniej mi się wydawało, kostium dobrze leżał, a ojciec własnoręcznie zapiął mi na szyi biżuterię swojej babki, sześć sznurów szlifowanych pereł, na które już od dawna w duchu liczyłam.

Ale potem przyszedł cios. Zobaczyłam Margot i aż zatrząślam się z oburzenia. Czy to była ta parszywa kotka, która tak niechlujnie prowadziła dom Hermanną Grabera? Przede mną stała młoda kobieta w czarnej sukience, u góry

przezroczystej, a na plecach wyciętej aż po pośladki; zupełnie niepasującej do okazji i z pewnością kupionej z moich pieniędzy. Jakby tego było mało, na widok takiego ładunku agresywnego seksu dla ubogich mężczyźni pytali z ciekawością:

— A to kto?

Na szczęście podczas uroczystej kolacji Margot siedziała daleko ode mnie. Za to mój brat natychmiast się do niej przysiadł i widać było, że świetnie się bawi.

Obok mojej szefowej (w sukience typu safari ciemnozielonego koloru) siedział stary lekarz rodzinny Hermanna Grabera, doktor Schneider. Zaprosił go Levin. To nic zdrożnego, powiedział, po prostu wyraz dbałości o dobre stosunki z przyszłymi kolegami z branży. Nie miałam nic przeciwko temu. Były też inne osobistości z Viernheim. W końcu mieliśmy wkrótce tutaj zamieszkać, a Levin miał otworzyć gabinet.

Po kawie zaczął grać zespół. Levin jak dotąd nigdy ze mną nie tańczył, wymawiając się rzekomym brakiem zdolności. Sama muzyka była prezentem ślubnym od Dietera, co mnie na początku bardzo ucieszyło, bo lubię tańczyć i w ogóle nie mogłabym sobie wyobrazić przyjęcia weselnego bez walca.

Levin ani myślał ruszyć się z miejsca, więc poprosił mnie ojciec, co również mieściło się w ramach ogólnie przyjętych reguł. Zaraz też pojawili się na parkiecie świadkowie, Dorit i Dieter, a za nimi inne pary. Mój ojciec był dobrym tancerzem, co mnie mile zaskoczyło, i sprawiało mi przyjemność, że możemy w ten nieskomplikowany sposób pobyc przez chwilę blisko siebie.

— Nawet sobie nie wyobrażasz, jaki kamień spadł mi z serca — wyznał ojciec — że masz zabezpieczenie na przyszłość. Za dwa lata idę na emeryturę i wtedy nie będę już mógł ci pomagać.

— Tato, ja od sześciu lat mam pracę!

Skinął głową, jakby nie rozumiał. Właśnie tańczyliśmy tango, kiedy nagle obok zobaczyłam Levina. Nie umiejący się rzekomo ruszać na parkiecie Levin radził sobie bardziej niż nieźle, a Margot, z minuty na minutę coraz bardziej or-

dynarna, wykonywała przed nim erotyczny performance. Całą moją radość diabli wzięli.

Po tym ostatnim tangu usiadłam obok mojej szefowej. Rzuciła mi błagalne spojrzenie. Stary dobry doktor Schneider był już lekko zawiany. I chociaż jego posunięta w latach żona siedziała kilka krzeseł dalej, narzucał się szefowej, prawiąc jej dwuznaczne komplementy. Zresztą świetnie dawała sobie z nim radę. Niemniej jednak czułam się w obowiązku pospieszenia z odsieczą.

— Moi rodzice bardzo chcieliby panią poznać — skłamałam, a ona skwapliwie wstała, by zamienić się ze mną miejscami.

Doktor Schneider taksował mnie wzrokiem.

— Trafiło się Levinowi — zawyrokował.

Opowiadał potem trochę przydługo o swojej przyjaźni ze starym Graberem i o tym, jak silne więzi łączyły go przez lata z całą rodziną.

— Cieszę się, że przeprowadzacie się do Viernheim i że wkrótce będę mógł leczyć czwarte pokolenie Graberów.

Twoje niedoczekanie, zawołałam w duchu, jeśli urodzę dziecko, na pewno nie powierzę go takiemu staremu grzybowi jak ty! Ale oczywiście przez cały czas byłam bardzo miła.

— Mój kumpel Hermann zawsze był twardym facetem — nie przestawał gadać lekarz — takim, co to nie boi się brać życia za rogi. Inaczej nigdy do niczego by nie doszedł, pochodził z biednej rodziny. Syn był jego całkowitym przeciwieństwem, ale za to Levin, jak widać, też wie, czego chce. Cóż, zmarło się biednemu Hermannowi, a taką piękną starość mógłby jeszcze mieć. Tylko śmierć miał straszną... Nawet najgorszy wróg by mu takiej nie życzył.

Serce mi stanęło. Levin powiedział przecież, że wszystko poszło błyskawicznie i Jak po maśle".

— Jak to? — spytałam prawie szeptem. — Myślałam, że umarł spokojnie przy śniadaniu, bez bólu.

— Nie było mnie przy tym. Ale było widać na pierwszy rzut oka, po jego wykrzywionej grymasem bólu twarzy i zaciśniętych kurczowo rękach, że musiał mieć bolesne skurcze; widocznie chciał jeszcze wzywać pomocy — telefon leżał na podłodze, obrus był ściągnięty na podłogę. Nie każdy umiera na serce szybko i bezboleśnie.

Jego słowa trafiły mnie niczym piorun. Własną rolę w śmierci Hermanna Grabera wypierałam dotychczas do podświadomości, pocieszając się tym, że i tak by niedługo umarł.

Lekarz spostrzegł mój stan, ale przypisał go nerwowości panny młodej.

— Niech pani wyjdzie na chwilę na świeże powietrze — poradził.

Odkąd zamieszkaliśmy w bezpośrednim sąsiedztwie tego zamku Schwetzing, pokochałam zamkowy park, jak gdyby należał do mnie. Często siedziałam w amfiteatrze i czytałam albo rozkładałam się przy sztucznych ruinach i urządziłam piknik, medytowałam w meczecie albo wyciągałam się na jednej z ławek przy brzegu jeziora i karmiłam kaczki. W dzień ślubu miałam ochotę rozkoszować się tym ogrodem razem z Levinem, ręka w rękę, zamiast stać zupełnie sama przed jednym z tych żelaznych sfinksów, który, jak to sfinks, uśmiechał się do mnie tajemniczo i milczał. I to nie dzięki sfinksowi odzyskałam zimną krew, lecz za sprawą starych drzew, ptaków, a może nawet głupich złotych rybek. Po dziesięciu minutach byłam znowu sobą. Nazywałam się teraz Hella Moormann-Graber i musiałam liczyć się z tym, że ludzie będą się do mnie zwracali per „pani Graber”, przypominając mi tym samym za każdym razem o starym Hermanie. Cóż, lepiej się do tego przyzwyczaić.

Już chciałam po cichu i niepostrzeżenie wrócić na salę i wmieszać się w tłum tańczących gości weselnych. Omijałam szerokie aleje i skradałam się za drzewami i przyciętymi równo w kształcie kul krzewami w stronę sali balowej. Park wcale nie był pusty; oprócz zapóźnionych turystów kręciło się też trochę naszych gości, szukających ochłody po jedzeniu i tańcach. Szłam w stronę jednej z ławek, jakby stworzonej dla zakochanych, na której często siadywałam. Była zajęta. Skryłam się za krzew, bo wydawało mi się, że słyszę znajomy głos, i zamarłam. Tak, to była Margot. Ale bynajmniej nie w towarzystwie Dietera; obok niej siedział Levin.

Po raz drugi tego dnia zrobiło mi się nieswojo. Oboje siedzieli bardzo blisko siebie, zatopieni w ożywionej rozmowie.

— No dobrze — usłyszałam głos Levina — masz rację, że ona wygląda jak mały terier szorstkowłosa, ale spełni każde moje życzenie, czego trudno oczekiwać od teriera.

Ta wiecznie goniąca się kotka przyrównywała mnie do teriera? Chciałam wybiec zza krzewu i ją pogryźć.

— Chodź, Levin, zmarzłam na kość! — powiedziała Margot i oboje wstali. Podążyłam za nimi niezauważona.

Na sali tańczono w najlepsze. Zdążyłam wmieszać się w tłum, kiedy podszedł do mnie Dieter i złapał mnie za rękę.

— Stęskniłem się za tobą — powiedział uprzejmie — ten taniec należy do mnie!

Całe szczęście, że nie był to Levin, pewnie nie potrafiłabym zachować zimnej krwi. Ku zaskoczeniu Dietera przytuliłam się do niego, jak gdyby to on był panem młodym. Prawie nie zareagował; nie odsunął mnie od siebie chyba tylko dlatego, że był dobrze wychowany. Ale po dwóch piosenkach, które przetańczyliśmy (bo ani nie myślałam się od niego oderwać), znaleźliśmy wspólny rytm, który chyba i jemu przypadł do gustu.

Margot tańczyła w ekstazie z moim bratem (którego żona miała kwaśną minę), Levin z Dorit. Pomachał do mnie z miną niewiniątka. Kontrolując swoje reakcje posłałam mu czarujący uśmiech. Najwidoczniej wpadło mu ponieważ do głowy, że jego cholernym obowiązkiem jest zatańczyć ze świeżo poślubioną żoną i poprosił mnie do następnego walca.

Levin był ode mnie wyższy o dobre trzydzieści centymetrów i na pewno nie wyglądaliśmy jak para z okładki. Ja próbowałam przynajmniej tak wyglądać i cała promieniałam. Wszyscy, a szczególnie moi mieszczańscy rodzice, przyglądali się nam z rozrzewnieniem. Przy takcie na trzy czwarte roily mi się najkrwawsze z krwawych bajek: między innymi ta o ostatniej żonie Sinobrodego, która odkryła poszatowane ciała swoich poprzedniczek. Odchodziłam od zmysłów, czując, że jestem dwoma istotami naraz: blond panną młodą, której wszy-

szy zazdrosczą najpiękniejszego dnia w życiu, i rozczochranym terierem myśliwskim, który ugania się za kotem, o upolowaniu grubego zwierza w postaci dziadka nie wspominając.

Jedyną osobą, która pocałowała mnie w noc poślubną, była Dorit. Kiedy w końcu leżałam w łóżku z Levinem, oboje, wyczerpani, zasnęliśmy od razu. On za dużo wypił, a mnie zrobiły się pęcherze na stopach.

Nową parę butów trzeba zawsze najpierw trochę ponosić — zauważyła pani Hirte.

Rodzice chcieli następnego dnia zobaczyć nasz przyszły dom i zaraz potem wyruszyć w drogę powrotną. Margot dobrze wiedziała, że ma się nas spodziewać o dwunastej, ale nie przeszkodziło jej to leżeć sobie spokojnie w łóżku, kiedy nadjechaliśmy. Dom był nieprzewietrzony i wyglądało na to, że Margot rozlokowała się we wszystkich pomieszczeniach; trudno było powiedzieć, że mieszka tylko na jednym piętrze. Robotnicy jeszcze nie zaczęli prac remontowych, ale dom był już obstawiony rusztowaniami, dostarczono nowe dachówki, wanny i kafle. Willa nie sprawiała najlepszego wrażenia; kiedy w końcu pojawiła się Margot, która wyglądała w wypłowiałym różowym szlafroku jak powycierany pluszowy miś, uspokoiłam się co nieco, bo w takim stanie nie mogła podobać się Levinowi, ale z drugiej strony czułam się skompromitowana wobec mojej rodziny.

Rodzice jednak prawie nie zwracali uwagi na Margot, lecz na solidną mieszczańską architekturę willi; największy ich zachwyt wzbudził ogród z wysokimi świerkami, które z kolei ja lubiałam najmniej ze względu na ponurą, typowo niemiecką kiczowatość tych drzew. Rozważałam już nawet, czy ich nie ściąć i nie zastąpić wiśniami i jabłonią. Przeszkadzała mi też trawa pampasowa w ogrodzie przed domem — która z kolei podobała się Levinowi, bo jako dziecko lubił się w niej bawić.

Kiedy rodzice nareszcie sobie pojechali, a niedługo po nich także Bob, niewiele myśląc, poruszyłam kwestię śmierci Hermanna Grabera. Levin zgrywał idiotę.

— Kochany doktorek lubi mieć słuchaczy — powiedział — przecież widziałem zmarłego dziadka na własne oczy; obraz absolutnego spokoju, serio. Wierzysz temu staremu plotkarzowi bardziej niż mnie?

Omal nie powiedziałam „tak”. Ale czy nasze małżeństwo naprawdę musiało zacząć się od kłótni? Poza tym była też kwestia Margot, a ja w żadnym wypadku nie chciałam być posądzona o nieuzasadnioną zazdrość.

Byłam w kiepskim nastroju, żałowałam, że wzięłam tydzień urlopu. Chętnie pojechałabym na kilka dni do Wenecji, ale Levina przerażała wizja zaliczania za bytków i przeciskania się przez tłumy Amerykanów i Japończyków. Chciał do Hongkongu. Wtedy ustaliliśmy zgodnie, że następny mój urlop wykorzystamy na podróż do wschodniej Azji, a na razie zostaniemy w domu.

Poczułam prawie radość, kiedy nadszedł dzień powrotu do pracy. Levin był wprawdzie miły i obdarowywał mnie drogo wyglądającymi rzeczami, o których wcale nie marzyłam, ale zdawałam sobie sprawę, że chciał mnie w ten sposób przekupić. Nie ożenił się ze mną dla moich pięknych oczu...

— *A pani to co?* — *wtrąciła pani Hirte, która i tym razem nawet oka nie zmrużyła.*

— *Co ja?*

— *No, bo pani też wzięła go tylko dlatego, żeby mieć w końcu dziecko.*

— *A niechby nawet* — *mruknęłam.*

Na co zasunęła mi po raz kolejny cytat z Biblii:

— *„Pozwólcie dzieciom przychodzić do mnie i nie przeszkadzajcie im: do takich bowiem należy...”¹*

— *Dobranoc* — *powiedziałam tylko*

¹ Ewangelia według św. Łukasza, 18,16 [w:] Biblia Tysiąclecia, Pallottinum, Poznań 2002 (wszystkie przypisy od tłumacza).

Pani Hirte przeszukuje moją nocną szafkę pewnie tak samo jak ja jej; wolałabym jednak, żeby nie wpadły w jej ręce widokówka od Levina i list od Pawła. Niedawno zrobiłam odkrycie: w jednym z licznych kryminalów pani Hirte było jej zdjęcie, jak ubrana w sportową wiatrówkę pcha wózek inwalidzki, na którym siedzi jakiś mężczyzna. Widocznie wyładowuje nadmiar energii, udzielając się charytatywnie. Ten inwalida musiał być kiedyś całkiem przystojny, wyglądał jak podstarzały przedstawiciel pokolenia '68, z tym że teraz jego rysy znacznie złagodniały.

Od niedawna pani Hirte wykazuje mną nieco większe zainteresowanie, co nie znaczy, że jest gotowa opowiedzieć mi coś ze swojego życia; pewnie nie ma zresztą o czym. W każdym razie to zabawne i nudne zarazem, kiedy rozmawia z panią Romer o psach, lekarzach i byłych kolegach z pracy. Może to dlatego z takim uporem doproszą się moich opowieści.

Levin nie powiedział mi tego wprost, ale oczekiwał, że przepiszę mu cały spadek, dawał mi to do zrozumienia wszelkimi możliwymi aluzjami i „dowodami miłości”. Wykorzystałam sytuację, żeby dalej dręczyć go pytaniami o powody zawarcia małżeństwa przez Dietera i Margot.

— Raz mu załatwiła alibi — powiedział Levin z ociąganiem.

— To znaczy fałszywe alibi?

— Jasne.

Kiedy nie dając się zbyć, pytałam dalej, dowiedziałam się też, że Margot była wtedy w ciąży.

— Z Dieterem?

— Prawdopodobnie.

— I co się stało z dzieckiem?

— Margot brała narkotyki, również w okresie ciąży, dziecko urodziło się o wiele za wcześnie i zmarło.

To mnie tak zdenerwowało, że nie mogłam się nijak uspokoić.

— Miało to też swoje plusy — powiedział Levin — dla Margot to był taki szok, że przestała ćpać.

Było mi jej trochę szkoda, ale z drugiej strony nie mogłam pojąć jej kompletnego braku odpowiedzialności. A co to była za historia z alibi? Tego to już Levin nie chciał mi powiedzieć.

Każdego weekendu jeździliśmy do Viernheim, żeby przyjrzeć się, jak postępują prace. Zdążyłam już na dobre zakochać się w moim przyszłym domu. O oranżerii marzyłam od zawsze. Została dobudowana do tylnej ściany domu i rozciągał się z niej piękny widok na duży ogród na zewnątrz. Oczyma duszy widziałam już kwiaty i rośliny pyszniące się w środku o każdej porze roku, zapraszające do odpoczynku meble z rattanu wyłożone jedwabnymi poduszkami w indyjskie wzory, papugę huśtającą się na gałęziach... To miał być mój prywatny raj.

Dieter i Margot nawet nie udawali, że chcą niedługo zwijać matki. Nie podobało mi się to ani trochę. Levin twierdził, że skoro i tak wprowadzamy się dopiero po remoncie, to można im do tego czasu spokojnie dać do dyspozycji dwa pokoje, przecież jeszcze nic nie znaleźli.

— Przecież oni nawet nie szukają mieszkania — powiedziałam.

— Oczywiście, że szukają — zaprotestował Levin — ale wiesz, jaka jest sytuacja na rynku nieruchomości, nic nie dostaniesz z dnia na dzień.

Dieter dostał najwidoczniej jakąś odprawę w nieznanym mi wysokości, bo inaczej z czego by żył? Margot też dalej otrzymywała pensję, co jednak miało przynajmniej jakiś sens; w końcu otwierała drzwi robotnikom, sprzątała po nich i przynosiła im napoje.

Zgodziłam się z Levinem co do dwóch łazienek — dom miał do tej pory tylko jedną — bo nasze dzieci powinny pluskać się w osobnej łazience, ale... czy potrzebne nam były aż dwie kuchnie?

— Jakby się kiedyś zdarzyło, że nie będziemy przy forsie — powiedział Levin — będzie można wynająć piętro, a razem z kuchnią każde piętro będzie jak kompletne mieszkanie.

— Jeżeli rzeczywiście zajdzie taka potrzeba, zawsze będzie można przebudować — orzekłam, nie wdając się w dyskusję.

Kiedy wreszcie, po trwającym trzy miesiące remoncie, wprowadziliśmy się do willei, Dieter i Margot dalej w niej mieszkali, a na dodatek dzielili z nami kuchnię. Dramat był pewny jak w banku.

Bardzo, żeby nie powiedzieć, pedantycznie, dbam o porządek, w przeciwnym razie nie pracowałabym w aptece. Już jako mała dziewczynka do odmierzania składników przy pieczeniu ciastek używałam wagi do ważenia listów, dokładnej co do grama. Moja kuchnia błyszczy, ma swój porządek, bez otwierania oczu jednym ruchem mogę znaleźć to, czego akurat potrzebuję. Byłam wrażliwa na niedbalstwo Levina, chociaż przebaczałam mu, tak jak przebacza się dziecku.

Moja kuchnia to małe laboratorium, królestwo zapachów, przypraw i eksperymentów, w którym odpoczywam po męczącym dniu w aptece. Babcia dała mi kiedyś bardzo stary sklepik dla lalek z trzydziestoma szufladami, zaopatrzonymi w ozdobne szyldy z porcelany; leżą w nich moje przyprawy.

To był pierwszy szok: wanilia, cynamon, goździki i kardamon nie leżały pooddzielane w osobnych szufladkach, lecz wszystkie razem tkwiły w krzykliwej różowej plastikowej puszcze po taniej kawie. W miejsce przypraw Margot włożyła do szufladek plastry, gumki do słoików, etykiety do mrożonek, spinacze biurowe i inne artykuły niespożywcze. Na ten widok omal nie zemdląłam, zebrałam wszystkie te obrzydliwe przedmioty do kupy, po czym wysypałam je na podłogę brudnej sypialni Margot. Dając jasno do zrozumienia: zaczęła się wojna.

Przeprowadzka trochę skomplikowała mi też życie codzienne. Od mojego pierwszego mieszkania do apteki były dwa kroki, z Schwetzingen już kawałek dalej, ale teraz musiałam dojeżdżać samochodem pół godziny. Nie chciałam jednak rezygnować z pracy i samodzielności. Wyruszałam więc rano jako pierwsza.

Levin teoretycznie powinien opuszczać dom jako drugi z kolei — ale miałam przecucie, że przestał traktować studia poważnie i długo się wysypiał. Gdy ja już byłam po kilku godzinach pracy, w mojej willi dopiero zaczynało się śniadanie. Nie opuszczała mnie nieprzyjemna wizja ich wspólnych posiłków.

Trzeba zapisać na konto Dietera, że przynajmniej on jeden nie siedział bezczynnie; zaraz po zwolnieniu z więzienia zaczął szukać pracy, ale nie znalazł nic w swoim wyuczonym fachu agenta ubezpieczeniowego. W pewnej firmie spedycyjnej zaproponowano mu dorywczo posadę kierowcy ciężarówki. I chociaż jazda ciężarówką, której nauczył się w wojsku, była znacznie poniżej jego kwalifikacji, zdecydował się wziąć tę pracę.

Odtąd Dieter był często w rozjazdach; nie była to praca z przyszłością ani o ustalonym rytmie, ale ujęło mnie to, że nie zachowywał się tak, jak gdyby z tego powodu korona miała mu spaść z głowy. W wolne dni dłubał w ogrodzie, tapetował ściany i pomalował obydwie pokoje, w których mieszkali z Margot, poza tym załatwiał inne drobne prace domowe. Levin dał mu do dyspozycji starego mercedesa Hermanna Grabera.

Kiedy Dieter i Margot spędzali czas we dwoje, nie spuszczałam ich z oczu. Jaki był ich związek? Trudno było powiedzieć; dało się między nimi dostrzec pewien rodzaj kumplowskiego przywiązania wynikającego ze wspólnego losu, ale — o ile byłam w stanie to określić — raczej żadnego pociągu erotycznego czy czułości. Czy ze sobą sypiali? Byli młodzi i spali we dwojkę w małżeńskim łóżu Hermanna Grabera, więc pewnie tak.

Levin i ja zajmowaliśmy cztery pokoje na parterze. W „gabinecie” Levina nieustannie buczał drugi telewizor. W przyszłości planowałam przenieść do góry sypialnię i oczywiście pokój dziecinny. W suterenie znajdował się były pokój Margot, a na poddaszu były dwie mansardy, niegdyś przeznaczone dla służby. Teraz piętrzyły się w nich meble starego Grabera, które nie były już nikomu potrzebne. Levin miał oczywiście rację, dom był o wiele za duży dla dwóch osób.

Dlatego też nie przyszło mi łatwo wymówić mieszkanie Dieterowi i Margot.

Nie rozumieli mnie.

— Przeszkadzamy ci? — spytał Dieter z urazą.

Z chęcią odpowiedziałabym mu, że to nie on mi przeszkadza, lecz jego żona — fleja. Ogarnęło mnie zakłopotanie — jakich argumentów powinnam użyć w tej sytuacji? Levin najwidoczniej nie uważał dotychczas za stosowne oznajmić im, żeby poszukali sobie innego lokum.

Margot, urażona i spokorniała jednocześnie, twierdziła, że przecież nieustannie pracuje. I rzeczywiście coś tam nawet i robiła, tylko że w sposób, który napawał mnie odrazą. Zmywała schody brudną wodą i nigdy jeszcze nie słyszała o paście do podłogi. Na piętrze śmierdziało, a ja czułam ten smród w każdym kącie. Margot chyba ani razu nie wywietrzyła sypialni, nie mówiąc nawet kuchni. Brzydziłam się szmatki, której używała do wycierania kurzu, miałam własną, którą trzymałam w ukryciu. Ale znalazła ją zaczęła używać, tak że niemal co dzień przychodziłam do domu ze świeżym zapasem ściereczek do kurzu. Solą w oku był dla mnie fakt, że nazywała Levina poufale „misiaczkiem”.

Nienawidziłam jej wręcz fizycznie, nigdy nie próbowałam posiłków, które przygotowywała. Wieczorami stałam nad wiecznie brudną kuchenką i pichciłam dla siebie i Levina wyrafinowane dania, ale coraz częściej ogarniał mnie wstręt na widok wnętrza lodówki, w którym leżały tania margaryna, śmierdzący ser — nawet nie owinięty w papier — i na pół spleśniała wędlina Margot. Aż Levin spytał pewnego dnia:

— Nie jesteś czasem w ciąży? Zrobiłaś się taka wybredna na punkcie jedzenia!

Niestety, nie dane mi było tak od razu zejść w ciążę, ale wiedziałam, że nie wolno mi wyczekiwać jej jak manny z nieba. Czy pytanie Levina oznaczało, że i on nie mógł doczekać się tego wielkiego dnia? Tak sobie je w każdym razie tłumaczyłam.

Kiedy zakończono budowę oranżerii, wstąpiło we mnie nowe życie. Folgując swojej pasji, nakupowałam tyle roślin, że trzeba było zamówić samochód dostawczy. Od teraz można będzie przez okrągły rok siedzieć wśród zieleni i jeść posiłki, rozkoszując się widokiem na ogród, albo huścić się w hamaku i czytać,

będzie można oddawać się marzeniom, zapominając o stęchłym zapachu, który roztacza się w domu — bo tutaj będzie przez cały czas pachniało wilgotnymi roślinami. Każdego dnia cieszył mnie powrót do domu, podlewanie kwiatów, droczenie się z Tamerlanem w hamaku i posiłki, które odtąd spożywałam tu, a nie w mojej pohańbionej kuchni.

Skoro wszystko jest już gotowe — zaproponowałam pewnego dnia w przyływie dobrego humoru — powinniśmy urządzić małą parapetówkę. Dorit i Gero jeszcze ani razu nie złożyli nam wizyty, ciekawa jest też moja szefowa...

Levin wyraził zgodę. Mój jedyny problem stanowiła Margot. Po domu chodziła co prawda w mało ponętnym stroju (minispódniczka w tygrysi wzór, do tego zielone pluszowe kapcie), ale na przyjęciu z pewnością należało się spodziewać kolejnej metamorfozy w imprezowego kociaka, a to było jeszcze gorsze niż zapach kapusty unoszący się w domu.

Ale jak można było jej nie zaprosić? Trudno pogardzić pomocną ręką przy zmywaniu talerzy i sprzątaniu — tak przynajmniej brzmiał argument Levina. Nieporównanie chętniej sama bym się zajęła sprzątaniem.

Musiałam być ostrożna, żeby niechęci wobec Margot nie wyrażać zbyt dobitnie, ponieważ Levin nie miał dla mnie za grosz zrozumienia. Dla niego wędlina w lodówce nigdy nie była nieświeża, a piekarnik wystarczająco czysty, twierdził w dodatku, że powinnam się cieszyć, że mam pomoc domową, bo przecież jestem już i tak dostatecznie obciążona pracą w aptece.

Przyszła jesień, wcześniej robiło się ciemno. Dwa tygodnie przed naszym przyjęciem miałam nocną zmianę. Kiedy na chwilę przysnęłam, zbudził mnie dźwięk tłuczonego szkła — od strony zaplecza próbował włamać się do apteki narkoman w poszukiwaniu towaru. Na pół przytomna przeszkodziłam mu, włączył się alarm, włamywacz mnie uderzył, upadłam na podłogę. Policja bardzo szybko była na miejscu, sprawcę złapano dwie ulice dalej, a potem dokumentowano straty.

Ktoś zadzwonił do mojej szefowej, przyjechała natychmiast i kazała mi wracać do domu. Poza niewielką raną głowy, którą mi własnoręcznie opatrzyła, przeżyłam tylko lekki szok. Policjanci zaproponowali, że mnie odwieżą, kiedy

się jednak dowiedzieli, że mieszkam w Viernheim, z ulgą przyjęli moją uprzejmą odmowę.

Co wieczór wprowadzałam samochód do garażu. Tej nocy nie miałam jednak na to siły. Powlokłam się po zwirowanej alejce w kierunku drzwi wejściowych. Dom wydawał się pogrążony we śnie, była przecież trzecia rano. Nagle zobaczyłam światło padające z oranżerii na trawnik za domem. W nagłym przyływie strachu schowałam klucz z powrotem do kieszeni i zaczęłam się skradać na tyły domu. Czy i do nas ktoś próbował się włamać?

W oranżerii nie było ani śladu włamywaczy czy wyważonych drzwi. W hamaku leżał Levin z osobliwym wyrazem twarzy. Ku mojemu zdziwieniu był nagi, a na jego klejnotach leżał kot, chyba w charakterze listka figowego. Na co Levin gapił się przez cały czas jak zaczarowany...?

Żeby ustalić, w co z takim namaszczeniem wpatrywał się Levin, musiałam przejść na drugą stronę ogrodu. Moim oczom ukazała się Margot, ubrana w same tylko czarne pończochy samonośne i czerwone kozaki. Fioletowe stringi miała zarzucone kokieteryjnie na głowę. Wiedząc, że jestem w pracy, urządzali peep-show w mojej własnej oranżerii! Gdzie, u licha, podziewał się Dieter?

Patrzyłam na nich o wiele za długo. Nagle pojęłam, na czym polegały talenty Margot. Oferowała Levinowi swoje ciało w sposób, który był wstrętny i perwersyjny na dodatek. Robiła rzeczy, do których ja nie zniżyłabym się nigdy w życiu. Poszłam sobie dopiero, kiedy ich nieestetyczna kopulacja dobiegła końca, a Levin przekazał Margot niewielką kopertę z pieniędzmi i wyczerpany rozciągnął się z powrotem w hamaku.

Przeszłam przez ogród, otworzyłam drzwi wejściowe i na palcach weszłam do swojego pokoju. Mechanicznie ściągnęłam ubranie, umyłam zęby, nałożyłam krem na twarz i położyłam się do łóżka. Było mi tak zimno, że szczekałam zębami. Miejsce obok mnie pozostało puste.

Nie mogłam ani spać, ani płakać. Nie chciałam odegnać mojej wściekłości i żalu liczeniem owieczek. Ujrzana przed chwilą scena raz po raz stawała mi przed oczyma. Właściwie nigdy nie miałam kompleksów na de seksualnym, zawsze czerpałam radość ze zbliżeń, moi partnerzy zazwyczaj też. W przypadku Levina rzecz wyglądała nieco inaczej; jak na młodego mężczyznę nie wykazy-

wał się odpowiednimi do swojego wieku możliwościami, mówiąc delikatnie. Najwidoczniej potrzebował silniejszych bodźców niż moje czułe zaloty i łagodne przytulanki.

To, co zaprezentowała Margot, trąciło rutyną. Prawdopodobnie była profesjonalistką, która swojego czasu zarabiała na życie na ulicy albo jako striptizerka w peep-show. Z drugiej strony jej ruchy sprawiały wrażenie mechanicznych, nie sterowanych własną wolą, jak gdyby była zaprogramowana przez jakąś wyższą instancję. Historię z narkotykami miała już co prawda za sobą, ale nie ulegało wątpliwości, że Levin dał jej coś w nagrodę.

O dziwo te przemyślenia trochę mnie uspokoiły; zachowanie Levina można było interpretować w kategoriach wizyt w burdelu, które zresztą miał też w zwyczaju jego dziadek. Ale moja oranżeria to nie burdel! Dopiero co się pobraliśmy, a Margot była żoną jego przyjaciela. Poza tym za sprawą ich grzechu mój raj został skalany tak samo jak kuchnia. Każę wszystko zdezynfekować, myślałam, Levin będzie musiał się wyprowadzić i nie dostanie przy rozwodzie ani centa.

Nad ranem musiałam pójść do toalety. Nie mogłam się powstrzymać, żeby po drodze nie wkraść się do salonu i nie rzucić stamtąd okiem na oranżerię. Levin spał w hamaku jak zabity — przykryty moim irlandzkim kocem. Przypomniało mi się stare przysłowie: Kto śpi, nie grzeszy; kto zgrzeszy przed snem, ten ma lepszy sen.

Pani Hirte wyrwał się złośliwy chichot.

Levin spodziewał się mnie dopiero po południu, dlatego że zazwyczaj po nocnej zmianie musiałam zostać w aptece także na następny dzień. Czy Margot po wszystkim wślizgnęła się do łóżka obok swojego śpiącego męża? Czy Dieter w ogóle nocował w domu? Czy te orgie odbywały się za każdym razem, kiedy mnie nie było? Może to podbite swego czasu oko Margot miało coś wspólnego z tym, że Dieter wyczuł, co się święci?

I jeszcze martwe dziecko Margot: może jego ojcem był Levin, kto wie? Ogarnął mnie dreszcz grozy i obrzydzenia. Roztrzęsiona przeszłam do kuchni zaparzyć sobie rumianku. Oparta o kredens czekałam, aż woda się zagotuje. Drzwi otworzyły się powoli i do kuchni bezszelestnie wślizgnął się Tamerlan. Z

ogonem w pionie ocierał się o moje nogi i domagał pieszczot. Cóż opowiedziałyby mi to zwierzę, gdyby tylko potrafiło mówić?

Pijąc herbatę, postanowiłam nie dać po sobie nic znać. Ale to nie Levin był pierwszą osobą, która weszła do kuchni po Tamerlanie. To był Dieter.

TLR

Paweł nie może za każdym razem zostawiać dzieci u Dorit, dziś znowu przyprowadził je ze sobą do szpitala; od początku było wiadomo, że to będzie krótka wizyta.

— *Masz serek dla lalek?* — *spytała Lene. Kolja z kolei domagał się dżemu.*

— *Ale ta ognista pasztetowa nam nie smakuje, możesz ją sobie zostawić, Hella* — *powiedział.*

Mimo to Paweł zapakował również „ognistą” pasztetową z ziarenkami pieprzu.

— *Zaniesiemy ją Almie.*

Kiedy zostałyśmy same, pani Hirte spytała z nagłą ciekawością:

— *Kto to jest Alma?*

— *Żona Pawła.*

— *Teraz to już zupełnie nic nie rozumiem.*

— *Wszystkiego dowie się pani w swoim czasie.*

— *Jeszcze tylko jedno pytanie: gdzie jest ta Alma ?*

— *W wariatkowie.*

Ze zdziwienia aż otworzyła szeroko oczy; bawiły mnie jej reakcje.

— *Nie mogę się doczekać, co stanie się z Margot—przyznała. — Mnie nigdy by nie było stać na taką anielską cierpliwość.*

— *Ciąg dalszy o dwudziestej — obiecałam.*

Dieter był zaskoczony zastawszy mnie o tej porze w kuchni.

— Nie miałaś dzisiaj nocnej zmiany? — spytał.

Jąkając się, opowiedziałam mu o napadzie; bardzo mi współczuł.

— Widać, że bardzo to przeżyłaś — powiedział i nalał mi jeszcze herbaty. Nie byłam przyzwyczajona, żeby ktokolwiek obdarzał mnie tego rodzaju czuły-
mi gestami, i wybuchłam płaczem. Dieter wziął mnie w ramiona jak chore
dziecko. Zazdrosny Tamerlan próbował wcisnąć się między nas.

Oprócz mnie to właśnie Dieter od czasu do czasu musiał wstawać wcześnie
do pracy. Stojąc tak, wypił razem ze mną filiżankę herbaty. W końcu spytałam,
niewinnie jak się tylko dało, gdzie jest właściwie Levin.

Dieter był zdziwiony. Wczoraj widział go jeszcze przy kolacji i Levin nie
wspominał, że gdzieś wychodzi.

— Może leży w hamaku — uśmiechnął się — to jego ulubione miejsce,
pójdę sprawdzić.

— Ale nie budź go, jak go tam znajdziesz — poprosiłam.

Kot poszedł za nim. Dieter wrócił do kuchni ze zdziwioną miną.

— Ten wariat śpi w oranżerii — obwieścił i wyszedł, napominając, żebym
położyła się z powrotem do łóżka.

Do obiadu w domu zaległa absolutna cisza, w końcu usłyszałam odgłos
spuszczanej wody. Nagle przed naszym łóżkiem stanął Levin i przyglądał mi się
ze zdziwieniem. Znowu musiałam opowiadać o narkomanie i pokazywać ranę
głowy.

— Kiedy wróciłaś do domu? — to była jedyna rzecz, która go interesowa-
ła.

— Nie wiem.

Wyglądał na mocno zaniepokojonego, moja mina cierpiętnicy kazała mu
spodziewać się najgorszego.

— Musiałem zasnąć w oranżerii — powiedział — nie szukałaś mnie?

— Wzięłam silną tabletkę nasenną i od razu poszłam do łóżka.

Mój opatrunek nieco go uspokoił, ale wydawał się przejęty faktem, że po takim przeżyciu nie uważałam za stosowne go zawiadomić.

— Dlaczego nie zadzwoniłaś z Heidelbergu? — spytał. — Pojechałbym po ciebie.

— Och, Boże — westchnęłam — wtedy wszystko trwałoby dwa razy dłużej. Poza tym nie chciałam zostawiać tam samochodu. Ale teraz daj mi jeszcze trochę pospać.

Levin wyszedł z sypialni, a ja pograżyłam się w rozmyślaniach. Rozmówić się z nim? Zemsta? Rozwód? Nie mogłam podjąć żadnej jasnej decyzji. Bałam się, że działając zbyt pochopnie, mogę zniszczyć wszystko.

Kiedy po południu wstałam z pustym żołądkiem, Levin od razu zaproponował, że zrobi mi grzanekę. Przynajmniej ma wyrzuty sumienia, myślałam. Ale nie aż tak znowu wielkie: kiedy usłyszał, że czuję się już lepiej, wziął porsche i tyle go widzieli.

Siedziałam w kuchni, jeszcze w szlafroku, kiedy weszła Margot. Najwidoczniej dostała już wytyczne, bo z miejsca spytała, czy może coś dla mnie zrobić.

— A tak — powiedziałam.

Od tej chwili zaczęłam ją szykanować. Dotychczas unikałam wydawania bezpośrednich poleceń. Od czasu do czasu, patrząc w bok, mruczałam, że dobrze by było wypucować sztukę czy coś w tym rodzaju. Czasem nawet przyjmowałam do wiadomości moje sugestie. Tym razem powiedziałam jasno i wyraźnie, że trzeba wymyć lodówkę wodą z octem, że piekarnik dojrzał do solidnego czyszczenia, że wanna i muszla klozetowa są co prawda nowe, ale już całe pokryte kamieniem, i że trzeba zamieść ulicę przed domem, zebrać liście na podjeździe i zanieść je do kompostownika.

— Nie płacimy ci za nicnierobienie — fuknęłam.

Margot poczerwieniała jak rak. Przecież ciągle tylko sprząta i sprząta.

— Ale jak! — odparłam, radząc jej, żeby nie zapomniała, że nie płaci czynszu za mieszkanie.

Levin jest jednak zadowolony, broniła się.

Mężczyźni nie rozumieją się na tych rzeczach, zawyrokowałam, poza tym to mój dom, a nie jego.

Margot wytrzeszczyła oczy.

— Hella, dom jest po dziadku Levina — pouczyła mnie.

Bez słowa wyciągnęłam z szuflady testament i położyłam jej przed nosem.

Przeczytała i pokręciła głową z dezaprobatą.

— To nie jest w porządku — powiedziała.

Nazajutrz po drodze do garażu z całej siły kopnęłam wielki wiklinowy kosz ze śmieciami, tak że się przewrócił i zwiędłe płatki magnolii na powrót zasłały alejkę. Przyglądałam się im ze złośliwą satysfakcją: kwiaty dla Margot. W tym samym momencie pojawił się Dieter, który widocznie szedł za mną. Rozbawiony powiedział:

— Tak to jest z tłumioną agresją! Zaraz wszystko pozamiatam.

Z pewnym zakłopotaniem poprosiłam go, żeby zostawił to mnie. Ale odjeżdżając, w tylnym lusterku samochodu widziałam jeszcze, że nie wsiada od razu do mercedesa, tylko idzie po miotłę i szufelkę.

Dietera widywałam raczej rzadko. Kiedy się przypadkiem spotkaliśmy, wymienialiśmy tylko uśmiechy. Przyłapałam się na tym, że trochę prowokowałam te nasze „przypadkowe” spotkania. Czy i on mnie lubił? Pewnego razu zostawił w oranżerii książkę, obok leżała karteczka „dla Helli”. Nie wiedziałam, czy mam ją zatrzymać, czy też oddać po przeczytaniu. To była powieść science-fiction o utopiach chemicznych. Wzruszyło mnie to, bo w przeciwieństwie do tego podarunku prezenty, które dawał mi Levin, służyły tylko jego własnej przyjemności.

Po moim nocnym odkryciu przestałam sypiać z Levinem. Ale chyba nawet tego nie dostrzegął, bo do tej pory i tak zawsze to ja wychodziłam z inicjatywą i dlatego teraz nawet nie musiałam wymawiać się bólem głowy. Kiedyś musi się

przecież zorientować, że przerwa trwa już trochę za długo. Ale najwyraźniej nie odczuwał żadnego braku.

Czy Dieter wiedział o tej historii? A może był alfonsiem Margot? Nie chciałam źle o nim myśleć. No dobrze, raz podwinęła mu się noga, ale to wcale nie znaczyło, że nie był nic wart. Wręcz przeciwnie, miał w sobie coś rycerskiego i ujmującego, co bardzo mi się podobało.

Zaproszenia na przyjęcie zostały rozesłane przed tymi nieszczęsnymi nocnymi wydarzeniami, dlatego nie mogłam już go odwołać. W piątek przed imprezą wzięłam wolne i zrobiłam rundę po luksusowych sklepach spożywczych. W drodze do domu samochód rozkosznie pachniał bazylią.

Potem na resztę dnia zniknęłam w kuchni. Levin pojechał do Palatynatu kupić wino — dokładniej mówiąc, został tam przeze mnie wysłany. Margot zleciłam co podlejsze posługi domowe.

Nagle ktoś energicznie zadzwonił do drzwi i weszła z hukiem Dorit, tak jak to ona ma w zwyczaju. Od czasu studiów jesteśmy parą nierozłącznych, a przy tym całkiem różnych przyjaciółek: ja jestem niską blondynką z włosami sterczącymi na wszystkie strony, ona jest wysoka i szczupła, z burzą lśniących i pięknie utrzymanych czarnych włosów.

Było mi dobrze siedzieć tak z nią w ciepłej kuchni, obierać owoce i plotkować. — Wcale nie wyglądasz jak szczęśliwa młoda mężatka — powiedziała od razu.

Całą winę zepchnęłam na Margot.

— Nie mogę z tą zołą żyć pod jednym dachem — poskarżyłam się — co o niej myślisz, przecież poznałaś ją na weselu?

— Jest odpychająca, pospolita i ordynarna, napalona na facetów i głupia — powiedziała Dorit — ale jej mąż wydaje się sympatyczny.

To była woda na mój młyn.

— Czy ty rozumiesz, jak taki mężczyzna mógł sobie wziąć za żonę taką głupią gęś? — spytałam Dorit.

Zaśmiała się głośno swoim szorstkim altem.

— Ależ Hellu, takie związki są na porządku dziennym. Prawie w przypadku wszystkich par, jakie znam, lubię albo tylko jego, albo tylko ją. Można zadawać sobie pytanie, co oni w sobie widzą. Ale jedno wiem na pewno: czasami takie małżeństwa funkcjonują całkiem nieźle, nawet jeśli nikt nie wie, dlaczego.

Czy małżeństwo Dietera i Margot funkcjonowało dobrze? Czy było w ogóle czymś więcej niż związkiem na papierze?

— Dorit, a co byś mi radziła, jak pozbyć się tej złości...?

Dorit się zamyśliła.

— Trudno powiedzieć. Prawdopodobnie nie uda ci się bez współpracy Levina. W tym punkcie musiałby stać za tobą murem. No cóż, tacy są faceci, kumple ponad wszystko... Ale zaraz — czy ty nie masz dla mnie czasem jakiejś radosnej nowiny?

— Dobrze wiesz, że powiedziałabym tobie pierwszej, ale do tej pory jeszcze nie zaszłam w ciążę — odparłam markotnie.

Dorit objęła mnie.

— Nic się nie martw, jeszcze trochę cierpliwości. To dlatego jesteś taka smutna?

Pokręciłam głową i przez chwilę kroiliśmy w milczeniu fasolkę.

Przy naszej obecnej wstrzemięźliwości na pewno nie zajdę w ciążę, co było może sto razy lepsze, niż związać się z takim lek- koduchem.

Dorit odgadła część moich myśli:

— Już na weselu byłaś wściekła na Margot, bo dostawiała się do wszystkich facetów, a szczególnie do boskiego Levina... Zgadza się?

Milczałam. Dorit była w wielu sprawach jak moje drugie ja, też swojego czasu studiowała farmację i dlatego tak samo zwracała uwagę na sterylną czy-

stość, znała się na kuchennej alchemii i miała słabość do małych flaszeczek, puszek, szuflad. Ale w jednym jedynym punkcie nie zgadzałyśmy się nigdy — byli to moi mężczyźni. Dorit miała naprawdę dobrego męża, którego podyktowana wiekiem poczciwość stanowiła obiekt jej czułych żartów. Gero dobrze zarabiał, był przyzwoitym człowiekiem i reprezentacyjnym partnerem, co Dorit sama chętnie przyznawała. Kolekcja facetów, którą do tej pory zgromadziłam ja, budziła zwyczajnie jej niechęć.

Moje milczenie odebrała jako potwierdzenie własnych przypuszczeń. Przeczywała, co się święci.

— Wiesz co, Hella — podjęła wątek — przeczytałam gdzieś niedawno: „Seks to władza, a władza z natury wiąże się z agresją”. Dobrze powiedziane, co?

— I jaki z tego wniosek? — spytałam, siląc się na ironię.

— To jeszcze nie koniec — powiedziała Dorit. — „Dobra wola, zaufanie, wierność, moralność i tak dalej nie znaczą nic, gdy w grę wchodzi seks — natura jest silniejsza od wszystkich naszych humanitarnych i chrześcijańskich przykazań”.

— Czy ta filozofia ma mnie pocieszyć?

— Wręcz przeciwnie — odparła — musisz przejrzeć Margot na wylot. Ona ma władzę nad Levinem i jak widać również nad tobą, dlatego że denerwujesz się przez tę głupią krowę o wiele bardziej, niż to konieczne. Jak się nieprzyzwicie zachowuje, to ją po prostu wyrzuć!

Na przyjęciu nie było oczywiście tylu gości, co na weselu, żadnych krewnych, notabli ani gości honorowych. Wyjątek zrobiłam dla mojej szefowej, bo naprawdę ją lubiłam. Przyprowadziła ze sobą nieśmiałego słomianego wdowca, który był stałym klientem apteki, Pawła Sieberta.

Do ostatniej chwili znajdowałam się w wirze przygotowań. Kiedy zadzwonił pierwszy gość, szybko poszłam się przebrać. Kupiłam sobie nową sukienkę — w końcu byłam zamożna, żeby nie powiedzieć bogata. Tego wieczora miałam na sobie jedwab i kaszmir, sześć sznurów naszyjnika z pereł, tego po prababci, i włoskie buty na bardzo wysokich obcasach, żeby wyglądać na ciut wyższą. Z

początku trochę się przewracałam, bo mimo niskiego wzrostu do tej pory nosiłam tylko płaskie, praktyczne obuwie.

Mąż wydawał się nie dostrzegać mojego nowego wizerunku. Witał gości, nalewał wino i nie przestawał gadać, podczas gdy Dorit i ja wstawiałyśmy kwiaty do wazonów. Margot miała swoje wejście dopiero, kiedy przyszli już wszyscy goście. Spodziewałam się, że pojawi się w tej samej czarnej kreacji, którą zepsuła mi moje wesele. Ale tym razem miała na sobie złoty biustonosz, psią obrozę na szyi i obcisłe czarne spodnie ze skóry, z dziurami wyciętymi na wysokości pupy. Oczywiście osiągnęła oczekiwany efekt: rozmowy ucichły i wszyscy skierowali wzrok na to zjawisko bądź ze zmieszaniem, bądź z usilnie skrywanym pożądaniem. Poszukałam wzrokiem Dietera: stał całkiem z tyłu, oparty o ścianę. Reakcje gości przyjmował z miną sfinksa. Również Paweł Siebert zaszył się w kącie, gdzie z zainteresowaniem przeglądał stary zeszyt z receptami należący niegdyś do mojego dziadka.

Dorit przysunęła się do mnie.

— Gero uważa, że jest tragiczna, ale zobacz tylko, jak mu oczy z orbit wychodzą!

Spostrzegłam, że partnerzy i mężowie moich przyjaciółek formułują co prawda cierpkie uwagi pod adresem Margot, ale tak samo jak Gero oczy wychodzą im z orbit, a ten i ów próbuje jakby przez nieuwagę przejechać palcem po dziurach wyciętych w jej spodniach. Levin przyjmował to wszystko z dumą posiadacza. Miałam ochotę spoliczkować go przy wszystkich.

Moja szefowa przejrzała sytuację na wylot. Stała z kieliszkiem w dłoni obok mnie i Dorit.

— Ona kradnie nam całą publiczność, prawda? — powiedziała. — Hella, czy byłaby pani tak uprzejma pokazać mi dom? Oranżeria jest wprost czarująca...

Nie mogłam pokazać jej całego domu, ograniczyłam się do moich pokoi. Ale powiedziałam tak, żeby Margot słyszała:

— Piętro będzie w przyszłym miesiącu remontowane, zrobimy tam sypialnię, pokój gościnny i pokoje dla dzieci.

— Ma pani rację, Hella — powiedziała szefowa — że zawczasu myśli pani o pokojach dla dzieci. Ja przegapiłam właściwy moment.

Szefowa była rozwiedziona i bezdzietna, ale sprawiała wrażenie kobiety zadowolonej z życia, dzięki swojej pasji do konnej jazdy.

Z ogromną satysfakcją dostrzegłam, że Margot pojęła aluzję. Widać było, że ją to obeszło.

I bardzo dobrze — *zwróciłam się do niej w duchu* — niedługo pójdziesz sobie dobrowolnie.

Margot nie była taka głupia, jak myślałyśmy z Dorit. Z nami w domu gadała co prawda, co jej ślina na język przyniosła, ale teraz spostrzegłam ze zdziwieniem, że potrafi też — nawet jeśli przychodziło jej to z niejakim trudem — w obecności obcych mężczyzn uderzyć w nieco wyższy ton. Gadała, o czym się dało, o polityce samorządowej i policji („wszystko darmożjady”), o szkolnictwie i samochodach („społeczeństwo ma to, na co zasłużyło”), i o programie telewizyjnym („kompletne dno”). Faceci w ogóle nie słuchali, tylko gapili się jej w dekolt.

Przerwałam tę jej paplaninę ostrym poleceniem zmycia kieliszków.

— Ale moje dobre ubranie... — zaprotestowała Margot.

— Trudno to nazwać ubranie — odparłam i zawtórował mi tłumiony śmiech kilku przyjaciółek — poza tym bądź tak dobra i włóż zapiekankę do piekarnika na piętnaście minut i podaj gościom. Ale najpierw przyniesiesz z piwnicy dziesięć butelek czerwonego wina.

Margot powierzyła ostatnie zadanie Levinowi, Dietera zaprzęła do obowiązków kulinarnych, a dystyngowanego Gero odkomenderowała do wycierania kieliszków.

Dorit, widząc to wszystko, musiała się zaśmiać.

— No, no, pogratulować — powiedziała — u nas w domu Gero jeszcze nigdy...

Po zapiekance, którą zjedliśmy na stojąco, pojawił się zamówiony przeze mnie kucharz wraz z upieczonym w całości prosiakiem, którego kroił i dzielił na porcje na kuchennym stole. Przygotowałam też rozmaite sałatki, warzywa i zapiekankę ziemniaczaną, w kuchni i oranżerii urządziłam kąciki do siedzenia, rozdawałam naczynia — każdy nakładał sobie sam. Smakowało wyśmienicie, byłam z siebie dumna.

W krytycznych momentach, kiedy na przykład nagle wszyscy chcieli usiąść na jednym fotelu albo tłoczyli się nad jednym półmiskiem, Margot wcale przy mnie nie było. Flirtowała w najlepsze z gościem od prosiaka, odrywając go od pracy. Nadział na duży widelec do krojenia mięsa ogromną porcją chrupiącej skórki, którą uważał za najlepszy kawałek, i włożył jej do ust. Ja weszłam do kuchni akurat w momencie, gdy Margot wymiotowała na kuchenną podłogę, opryskując wszystko dookoła, tak że stołujący się tam goście czym prędzej salwowali się ucieczką.

— Niedobrze mi — jęknęła jeszcze i wybiegła z kuchni.

Kto, jak nie ja, musiał pościerać podłogę? Kiedy wołałam Dietera i Levina, kiwali mi tylko przyjacielsko z oddali: „Już zaraz, za chwilę...”.

Klęczałam więc na podłodze w jedwabnej sukience i zmywałam kafelki; od ostrego zapachu wymiocin i mnie zrobiło się niedobrze. Mój wstręt wobec Margot zaczynał przybierać patologiczne formy.

Kiedy podłoga na powrót błyszczała, pojawił się Dieter.

— No, co jest, Hella, jak mogę ci pomóc?

Chociaż nie miał pojęcia, co się właśnie wydarzyło, wyładowałam na nim cały mój gniew.

— Zabierz z mojego domu tę babę! — ryknęłam. — Zarzygała mi kuchnię i musiałam sama wszystko ścierać!

Dieter spytał niewinnie, dlaczego właściwie Margot sama nie mogła zetrzeć podłogi. Kuchnia zaczęła zapelniać się na nowo — reszta gości wróciła po dołkę, pojawił się też facet od prosiaka, którego spodnie ucierpiały. Nie mo-

głam kontynuować sceny, którą zaczęłam robić Dieterowi, ale do dziś nie mogę
tknąć chrupiącej świńskiej skórki.

TLR

— *Za młodu miałam chłopaka, który zerwał ze mną w dość podły sposób — zaczęła pani Hirte.*

No, no. Ciekawe.

— *Właściwie sama byłam temu winna, byłam taka łatwowierna — ciągnęła.*

— *Ale przecież była pani młoda...*

— *To nie jest żadne usprawiedliwienie. Czy pani zdaje sobie sprawę, że i pani robi jeden podstawowy błąd?*

— *Jaki?*

— *Ma pani fałszywy obraz rzeczywistości.*

— *Czy nie każdy z nas ma jej fałszywy obraz?*

Pani Hirte pokręciła głową.

Jeśli czegoś nie lubię, to starych ludzi szczyjących się swoim doświadczeniem życiowym i znajomością ludzkiej natury, i jeszcze do tego udzielających mi dobrych rad. Do tej pory nigdy tego nie robiła, ale jeśli miała taki zamiar, to jest to ostatni wieczór, kiedy funduję jej rozrywkę.

Ale nie robiła więcej żadnych krytycznych uwag, jej ciekawość wzięła górę.

— *I co stało się dalej z Margot?*

No, tej nocy droga pani Hirte dostanie gęsiej skórki ze strachu...

Nazajutrz po przyjęciu czułam się dość nędznie. Cały tydzień przed czasem dostałam okres, który tym razem miał wyjątkowo bolesny przebieg. Na szczęście była niedziela; postanowiłam spędzić ją w łóżku. Kiedy nad ranem poszli wreszcie ostatni goście, dałam sobie spokój ze sprzątaniami. Niech inni to zrobią.

Około dwunastej Levin obudził mnie niemal łagodnie i powiedział:

— Nie pogardziłbym kawą.

Zrobiłam tylko minę cierpiętnicy. Wzdychając, sam zaparzył sobie kawę i przyniósł mi do łóżka filiżankę herbaty, żeby nastawić mnie pokojowo.

— Jest dużo do zrobienia — powiedział — pójdę po Dietera i Margot.

I bardzo dobrze.

Dzień spędziłam w mojej jaskini, odpoczywając i obmyślając strategię. Nic nie szło po mojej myśli. Miałam wprawdzie dużo pieniędzy i własny dom, ale moje największe marzenie — urodzenie dziecka — pozostawało nadal niezrealizowane. Bez wypełniania małżeńskich obowiązków trudno było się spodziewać, że coś się zmieni. Męża niby miałam, ale był niewierny, powierzchowny i dość leniwy. Tak naprawdę miałam jedno wyjście: jak najszybciej się z nim rozstać i poszukać sobie nowego; w końcu zegar biologiczny tykał. Ale jak zareagują rodzice? „Wiedziałam od początku, że tak będzie”, powie matka. Ojciec wpadnie w depresję. Czy nie powinnam raczej jeszcze raz spróbować z Levinem? Jest taki młody, można mu jeszcze wpoić poczucie odpowiedzialności i poważny stosunek do życia. W końcu Hermann Graber powierzył mi swojego wnuka, czyż nie powinnam uszanować jego ostatniej woli? Poza tym czułam się zbyt osłabiona, żeby podjąć jakąkolwiek decyzję-

Rozmyślałam tak już ze dwie godziny, kiedy ktoś zastukał do drzwi sypialni. To był Dieter. Jak się czuję, czy czegoś mi nie trzeba?

— Już kończymy i wszystko jest na błysk — obwieścił. — A mnie trochę jeszcze boli głowa. Masz ochotę na spacer?

Godzinka spaceru w listopadowej mgle zrobiłaby mi lepiej niż leżenie w łóżku. Ale odmówiłam. Nie mogłam znieść myśli, że Levin miałby zostać w domu sam z Margot, chociaż przecież już od poniedziałku miało znowu tak być.

Margot musi się wyprowadzić! — powiedziałam nagle głośno sama do siebie. Pisemne wymówienie — doręczone listem poleconym — będzie z pewnością dobrym posunięciem. I to już jutro, postanowiłam.

Całe szczęście, że Margot nie pokazała się w mojej jaskini, ale przyszedł Levin, pytając, czy zrobić mi jeszcze herbaty albo zupy „gorący kubek”.

— Margot też nie czuje się najlepiej — zauważył nietaktownie. Ja gapiłam się w okno.

— Masz jeszcze urlop na ten rok? — spytał po chwili.

Byłam co prawda nie w humorze, ale haczyk złapałam.

Levin wyciągnął z kieszeni zaproszenie na ślub. Pewna świeżo upieczona dentystka Isabel Böttcher oznajmiała o swoim ślubie z dżentelmenem o długim na łokieć hiszpańskim nazwisku. To koleżanka ze studiów, która podczas pobytu w Granadzie zakochała się w człowieku z jednej z najlepszych hiszpańskich rodzin. Wesele w Andaluzji, to było coś.

Ale mnie wcale się to nie uśmiechało. Przyjęcie weselne miało się odbyć już w nadchodzący weekend. — Dostaniemy jeszcze bilety na samolot? — zastanawiałam się.

Levin zaśmiał się. Latanie jest nudne, ma się rozumieć, bierzemy porsche.

Milczałam, było mi przykro. W żadnym wypadku nie mogłam wziąć więcej niż pięć dni urlopu, podróż samochodem była zresztą zbyt męcząca.

— Jedź sam — powiedziałam cicho.

Levin pokręcił głową.

— Na długich trasach muszę mieć zmiennika. Dlaczego nie chcesz? Nie jesteś przecież znowu taka stara!

To miał być żart, ale poczułam się dotknięta.

— Czy ty w ogóle wiesz, co to znaczy chodzić do pracy? Takie podróże są jak stworzone specjalnie dla studentów, którzy wymigują się od poważnych obowiązków.

— Rozumiem — powiedział Levin — w takim razie spytam Dietera i Margot.

— Jeśli weźmiesz ze sobą Margot, jutro wniosę pozew o rozwód.

Popatrzył na mnie uważnie. — Zazdrosna jesteś?

— O kogoś takiego? Nie znoszę jej, dobrze o tym wiesz. Ale do zazdrości nie mam przecież żadnego powodu, czyż nie?

Levin wietrzył kłopoty. Niemal na palcach wyszedł z pokoju.

Wieczorem dowiedziałam się, że wyjeżdża już o świcie, bo Dieter nie może jechać razem z nim.

— Abyś się nie denerwowała, będę robił postoje.

Na noc wzięłam pięć tabletek walerianowych, żeby rano nie zrobić mu przypadkiem z przyzwyczajenia kawy. Levin zabrał się za pakowanie i chyba przespał obok mnie kilka godzin, czego nie zarejestrowałam. Kiedy się obudziłam, i porsche, i Levin byli już w drodze do Hiszpanii.

Nieobecność Levina wykorzystałam na niecny czyn. Dałam ogłoszenie do gazety: TANIO SPRZEDAM STARE RODZINNE MEBLE. Do tej pory nie poruszyliśmy tematu, komu ma przypaść ponury bufet dębowy i pozostałe rzeczy z inwentarza Hermanna Grabera — mnie czy jemu. Testament nic o nich nie wspominał. Czy Levin był do mebli przywiązany czy nie, chciałam wreszcie opróżnić mansardy i je urządzić, i to dla siebie. Levin miał swój „gabinet”. Gdzie podziewał się mój?

Wszystko zostało sprzedane w ciągu jednego popołudnia. Bardzo lubię piękne antyki, ale te meble nigdy nie były ładne i cieszyłam się, mogąc się ich pozbyć. Dietera nie było i nie był świadkiem, jak żądni łupu ludzie z samochodami dostawczymi, również profesjonalni antykwariusze i handlarze starzyzną, sapiąc z wysiłku, wynosili z domu cały ten kram. Margot gapiała się co prawda, ale chyba nie zajmowały jej rozmyślania nad tym, czy mój czyn jest moralnie bez zarzutu czy nie. Uśmiechnięta machała na pożegnanie parze młodych ludzi, którzy właśnie odjeżdżali, wioząc ze sobą czarną garderobę rzeźbioną w głuszcze i jelenie.

W weekend zostałam sama z Margot i myślą, by zaprząć ją do ciężkich robót niczym niewolnicę. Pytała mnie raz po raz, co właściwie chcę urządzić w mansardzie. Pokoje gościnne na przykład, odpowiedziałam, a może bibliotekę czy pokój do majsterkowania.

Pokoje na poddaszu były do tej pory nie remontowane. Trzeba było w nich położyć nowe wykładziny i wykleić je jasną tapetą. Margot wzdychała. Przed remontem nie opłaca się przecież sprzątać! Miała trochę racji, ale grubszego brudu i pajęczyn nie chciałam mieć w domu z zasady, mogło zalegnąć się robactwo.

Szorowałyśmy i zamiatałyśmy ramię w ramię.

— Ja se tak zawsze myślałam — zauważyła Margot poufale — że z ciebie to silna baba.

To miał być komplement. Milczałam, ale ona nie przestawała gadać.

O tym, że Levin na pewno jest już w drodze powrotnej, może nawet już w Barcelonie, bo przecież najlepiej śpi się we własnym domu...

Dostałam gęziej skórki.

Musiałam niemal ze sobą walczyć, żeby w takim prawie intymnym momencie, kiedy byłyśmy tylko we dwie, wypowiedzieć jej mieszkanie. Ale kiedy tak bez przerwy gadała o „naszym” Levinie, straciłam panowanie nad sobą.

— Co cię interesuje, kiedy wróci mój mąż — wypaliłam — powinno cię interesować tylko to, że musisz szybko poszukać sobie nowego lokum. Jeśli nie opuścisz tego domu dobrowolnie, zatrudnię adwokata. Nie podpisywaliśmy z wami umowy najmu, jak chyba sama wiesz.

Margot próbowała pokornych próśb. Mogłaby przecież zwolnić mieszkanie na piętze i przenieść się tutaj na poddasze, w ten sposób zyskałabym cztery dodatkowe pokoje.

— Jak to sobie wyobrażasz? — zaprotestowałam — tu na górze nie ma łazienki ani kuchni, a kanalizacja sięga tylko do pierwszego piętra.

— To by się przecież dało zrobić, zaproponowała, ze wzrokiem przestraszonego króliczka.

— Ach tak? A kto za to zapłaci? Może ty?

Szczególnie podobały mi się małe dachowe okna. Już wyobrażałam sobie w tym miejscu ukryte refugium, moje królestwo, do którego zabroniłabym wstę-

pu pozostałym domownikom. Teraz przez okna nie było widać nic, tak były brudne.

Tymczasem Margot rzuciła się w wir pracy i przyniosła od siebie świeżą wodę i śmierdzące ścierki. Najwyraźniej chciała mi się w ten sposób przypodobać. Stwierdziłam, że okna wystarczy tylko pomalować, odznaczały się wyjątkową przedwojenną jakością. Siedząc na parapecie, zamknęłam od środka okiennice, żeby zbadać stopień ich zniszczenia. To była solidna robota, ale oczywiście farba odpadała płatami. Margot z wiadrem wody zabrała się za drugie okno.

— Trzeba pościągać okiennice, Dieter powinien zeskrobać z nich farbę i pomalować na nowo — zawyrokowałam.

O tak, na pewno to zrobi, zapewniła skwapliwie Margot. Znowu wdrapałam się na parapet i próbowałam wyjąć jedną z okiennic z zawiasów, nie mogłam sobie jednak dać rady.

— To nie jest robota dla nas, tylko dla chłopów — powiedziała z dezaprobatą Margot. Ale we mnie już obudziła się ambicja.

— Trzymaj mnie mocno, Margot — rozkazałam.

Margot złapała mnie za nogi i ścisnęła jak w żelaznym imadle. Czułam zapach jej potu. Niestety, miałam za krótkie ręce, żeby mocno chwycić okiennicę. — Wystarczy kropelka oleju do zawiasów — powiedziałam — i nawet dziecko da sobie z tym radę.

Po czym zbiegłam na dół po olej, którego używałam do maszyny do szycia.

Kiedy znowu byłam na górze, Margot kuciała na parapecie. Twarz miała czerwona z wysiłku.

— Hella, chodź tu i weź mnie tylko potrzyмай! — zawołała z zapalem. — Ja mam dłuższe ręce!

Zbliżyłam się do okna i chwyciłam ją z pewnym obrzydzeniem za kostki. Jej nogi były pokryte siecią niebieskich i czerwonych żyłek, z odrastającymi po goleniu włoskami. Stare legginsy sięgały jej tylko do kolan. Z zielonych kapci wystawały zrogowaciałe pięty trupio żółtawego koloru. Okropnie się jej brzydzi-

łam; ostatecznie wyprowadziła mnie z równowagi cienka strużka potu, która powoli i nieubłagane spływała z jej prawej nogi prosto ku mojej prawej ręce.

Margot wyprostowała się z kucków. Szybkim gestem wyciągnęła okiennicę z zawiasów i nieoczekiwany ciężar, który nagle trzymała w dłoniach, pozbawił ją równowagi.

W tym momencie cienka strużka potu dosięgła mojej ręki, którą w spontanicznym impulsie nieopisanej odrazy raptownie oderwałam od jej kostki. Margot poleciała w dół, obejmując oburącz okiennicę. Przerazona wyjrzałam przez okno. Leżała dwa piętra pode mną, nie dało się poznać, żywa czy martwa. W pośpiechu przewróciłam wiadro z brudną wodą, potknęłam się o miotłę, szybko wstałam i popędziłam na dół, jak opętana.

W kilka sekund znalazłam się w ogrodzie, gdzie Margot leżała na kamiennej posadzce tarasu. Oddychała, ale straciła przytomność. Wyczułam jeszcze jej zanikający puls. Co robić? Byłam w domu kompletnie sama.

Oczywiście od razu zadzwoniłam po pogotowie. Przyjechało dwóch sanitariuszy i lekarz i zawieźli Margot do szpitala. Bliska utraty przytomności próbowałam połączyć się z firmą spedycyjną, w której pracował Dieter, i poinformować go o wypadku. Za każdym razem włączała się automatyczna sekretarka. Może uda mi się zlokalizować Levina w Hiszpanii przez radiowe biuro poszukiwań zaginionych...

Zadzwoniłam też do Dorit. Bezbarwnym głosem oznajmiłam, że Margot wyleciała z okna mansardy.

— Nie żyje? — spytała przerażona Dorit.

— Żyje, ale nie chcieli mi powiedzieć, jak ciężkie odniosła obrażenia.

— Mój Boże, nieźle musiałaś się przerazić — orzekła Dorit. — Widziałaś, jak wypadła?

— Nie do końca, ale byłam w tym samym pomieszczeniu. Potem leżała na dole, to było okropne.

— Jak można tak po prostu wypaść z okna — spytała inteligentnie Dorit — to zdarza się przecież tylko dzieciom...

— Chciała wyjąć okiennice z zawiasów, bo trzeba je było pomalować.

Dorit aż gwizdnęła.

— Nie godzi się wprawdzie mówić źle o ciężko rannych, ale to przecież nieodpowiedzialne i lekkomyślne, zabierać się do czegoś takiego w pojedynkę.

Nie sprostowałam, jak było naprawdę.

— Będzie dobrze, zobaczysz — pocieszyła mnie — a może ten wypadek czegoś ją nauczy. Uspokój się najpierw. A jak chcesz — wpadnij do mnie!

Z chęcią pojechałabym do Heidelbergu prosto w macierzyńskie objęcia Dorit. Ale nie byłam w stanie prowadzić samochodu i musiałam czekać na Dietera.

Dla odzyskania jasności myśli zaparzyłam sobie mocną kawę, ale zaraz ją zwymiotowałam. Potem weszłam po schodach na górę i przyjrzałam się miejscu mimowolnej zbrodni. Z lornetką w dłoni obejrzałam też po kolei domy, które graniczyły z tylną częścią ogrodu. Mieszkali w nich znajomi Gero. Czy można było stamtąd cokolwiek zobaczyć? Nie, widok zasłaniały zniechęcone przeze mnie jodły. Nawet patrząc przez lornetkę, nie mogłam stwierdzić, czy w którymś z tych domów ktoś myje okna czy nie. Trochę mnie to uspokoiło. Poza tym, kiedy nadjechała karetka, w okolicy nie było ani ciekawskich sąsiadów, ani przypadkowych przechodniów.

Problem stanowiła sama Margot. Wiedziała, że ją puściłam. Cóż mogłam powiedzieć na swoją obronę? Wstręt nie był żadnym wytłumaczeniem. A gdyby tak powiedzieć, że ukąsiła mnie osa? Bzdura, poprawiłam się, w listopadzie nie ma os. A może wyjątkowo obrzydliwy pajak? To wydawało się bardziej wiarygodne niż zwykła strużka potu.

Po godzinie zadzwoniłam do szpitala. Spytano mnie, czy należę do rodziny. Odpowiedziałam, że jestem tylko znajomą. W takim razie nie mogą udzielić informacji, ale ważne jest, żeby powiadomić najbliższych krewnych, powinni jak najszybciej stawić się w szpitalu. Obiecałam, że się tym zajmę. Czy Margot miała jakichś rodziców? Nie znałam nawet jej panińskiego nazwiska. Kogo miałam zapytać? Zadzwoniłam do jednego z przyjaciół Levina, ale on też nic nie wiedział.

Kiedy wreszcie nadjechał Dieter, wybiegłam mu na spotkanie aż do bramy wjazdowej. Po mojej minie poznał od razu, że coś się stało.

— Zawiozę cię do Margot do szpitala — wymamrotałam i pobiegłam po płaszcz. W przelocie zobaczyłam w lustrze garderoby, że wciąż mam na głowie chustkę, którą zawiązałam do sprzątnia.

Podczas krótkiej jazdy do szpitala opowiedziałam mu tę samą historię, co Dorit.

Zaprowadzono nas na oddział intensywnej terapii. Margot leżała bez przytomności, podłączona do różnych rurek i aparatów. Lekarz poprosił nas o wyjście z sali i wziął na bok Dietera, żeby porozmawiać z nim o stanie Margot. Jak się potem dowiedziałam, nie było żadnej nadziei. Dieter mógł zostać przy jej łóżku, ja czekałam na zewnątrz. Dwie godziny później Margot nie żyła.

Dieter w milczeniu pozwolił wyprowadzić się z sali. Gdy już byliśmy w domu, zaparzyłam mu w kuchni herbatę, obok postawiłam kieliszek koniaku. Wypił tylko herbatę.

Nie miałam pojęcia, czy mam powiedzieć jakieś słowa pociechy, a jeśli tak, to jakie.

— Na pewno nie cierpiała — powiedziałam w końcu — od razu straciła przytomność.

— Mój Boże! — westchnął tylko Dieter — zawsze miała takiego strasznie go pecha. Dopiero w tym domu zaczęło jej się nareszcie dobrze dziać, i tak krótko to trwało. A już się cieszyła, że dzięki waszej hojności może mieszkać w takim pięknym domu, z łazienką, centralnym ogrzewaniem....

Nie wytrzymałam. Wybuchłam niepohamowanym płaczem i nie mogłam przestać. Dieter gładził mnie po włosach. O własnych uczuciach nie wspomniał ani słowem.

Nazajutrz był poniedziałek i musiałam iść do pracy. Prawdopodobnie było to najlepsze lekarstwo. Po południu do apteki zadzwonił Dieter. Do tej pory nigdy tego nie robił. Levin jeszcze nie przyjechał, ale w domu była policja. W razie wypadków kończących się ciężkimi obrażeniami czy śmiercią do obowiązków

policji należało rutynowe dochodzenie. Jestem jedynym świadkiem, powinnam więc zaraz po pracy stawić się na posterunku policji w Viernheim.

Przestraszyłam się.

— O co ciebie pytali? — chciałam wiedzieć.

— Oglądali mansardę, okno i mierzyli wysokość, z której spadła. Zrobili też zdjęcia roztrzaskanej okiennicy i kapci.

Popęłniłam błąd, mówiąc, że znajdowałam się w tym samym pomieszczeniu. Ale kiedy opowiadałam Dorit i Dieterowi, co się stało, musiałam liczyć się z tym, że Margot przeżyje i opowie własną wersję wydarzeń. Tylko bym sobie zaszkodziła. Nasze wypowiedzi nie pokrywałyby się.

Na posterunku kazano mi czekać; w miarę tego czekania ogarniał mnie coraz większy strach. Kiedy wreszcie zaprotokołowano moje zeznania, cała rzecz wydała mi się jednak znacznie mniej dramatyczna.

— Czy przyjaźniła się pani z panią Krosmansky? — padło pytanie.

— No cóż, mieszkaliśmy w jednym domu... — odpowiedziałam oględnie.

— Skąd ją znałam i jak długo, czy w domu oprócz nas znajdował się ktoś jeszcze. Nie podobały mi się te pytania.

W końcu jeden z policjantów nie oszczędził mi reprimendy: przecież wszyscy wiedzą, że większość poważnych wypadków zdarza się w gospodarstwie domowym. Jak można być tak lekkomyślnym, żeby wilgotnego, mglistego niedzielnego dnia wdrapywać się w kapciach na parapet mansardy i brać się za zdejmowanie okiennic.

— Wszystko zdarzyło się tak szybko — powiedziałam — miałyśmy ambicję, żeby w ten weekend wysprzątać mansardę tylko we dwie, bez pomocy naszych mężów. Myłam właśnie prawe okno i nie zwracałam specjalnej uwagi na to, co akurat robi pani Krosmansky. Nagle usłyszałam przeraźliwy krzyk i kiedy wyrzałam przez tamto jej okno, już leżała na dole.

Wcześniej pomyślałam o tym, że na obydwu oknach są odciski palców i Margot, i moje; do moich zeznań nie można było się przyczepić. Podpisawszy protokół spytałam, czy mogę iść do domu.

— Ostatnie pytanie — rzucił policjant, kiedy już stałam w drzwiach. — Jak to się stało, że państwo Krosmansky wprowadzili się do domu Hermanna Grabe-
ra — to znaczy, do państwa domu?

— Cóż, to znajomi mojego męża — rzekłam chłodno.

Obaj policjanci wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

— Znowu nasz kochany Levin — powiedział sentencjonalnie starszy z nich.

Dieter był tak miły, że nakrył do stołu, w czajniku gotowała się woda, a z piekarnika dobywał się apetyczny zapach.

Herbata dobrze mi zrobiła.

— Pewnie ci powiedzieli, że już byliśmy karani — chciał powiedzieć Dieter.

— Jacy my? — spytałam.

Miał na myśli siebie i Margot. Ale nie, policję chyba też obowiązywał nakaz milczenia, bo słowem nie wspomnieli o perypetiach życiowych państwa Krosmansky.

— Pewnie się dziwili, że ktoś taki jak ty mieszka z nami w jednym domu — rzekł jeszcze Dieter.

O tym nie pomyślałam.

Dieter wyjął z piekarnika zapiekanekę warzywną, a ja cieszyłam się, że nie jestem sama z własnymi myślami.

Siostra, która po raz ostatni po nocce przyszła zmierzyć nam temperaturę, z troską popatrzyła na moją przepoconą nocną koszulę. Nie czułam się najlepiej. Wzięłam prysznic i założyłam jedną z ładnych koszul, które dostałam od Dorit.

Kątem oka popatrzyłam na panią Hirte. Czy w nocy słuchała, czy spała? Jak przyjęła śmierć Margot?

Najwyraźniej pozytywnie. Kiedy spotkały się nasze spojrzenia, zawołała rześko:

— Dzień dobry! — i potem zupełnie nieoczekiwanie zaproponowała mi, żebyśmy przeszły na ty. — Mam na imię Rosemarie — oznajmiła poufąłym tonem.

Potem spytała: — Czy Levin jeszcze żyje?

Oczekiwała chyba, że w mojej historii będę uśmiercać wszystkich po kolei — jak w bajce o dziesięciu Murzynkach.

Levin nie zjawił się również następnego dnia. Dieter zadał sobie trud poszukiwań telefonicznych w Granadzie, mówił trochę po hiszpańsku. Powiedziało mu, że młoda para jest już w podróży poślubnej, a goście weselni wyjechali.

Nie martwiłam się o Levina ani trochę, nawet jeśli Dieter tak myślał. Gdyby coś się stało mojemu małżonkowi, co z jego stylem jazdy było dość prawdopodobne, na pewno dowiedziałabym się o tym jako pierwsza. Dobrze mi robił spokój bez Levina i Margot. Pragnęłam rozkoszować się tą chwilą, którą los jakby podarował mi na zaczerpnięcie oddechu. Dieter od czasu do czasu wchodził do kuchni bezszelestnie jak duch, co mnie raczej cieszyło niż irytowało. Martwiłam się tylko o mojego kota Tamerlana; od śmierci Margot nie chciał prawie nic jeść, był w żałobie. Wiedziałam, że pod moją nieobecność wkradał się na pierwsze piętro, ale że był tak przywiązany akurat do mojego wroga, tego bym się po nim nie spodziewała. Ale któż to mógł wiedzieć, co działo się w jego kociej głowie.

Kolejnego wieczora — Levina wciąż nie było — wróciwszy do domu zobaczyłam stojącą pod drzwiami w ciemności chudą postać, która sprawiała wrażenie niedomytej i od razu skojarzyła mi się z Margot. To była jej matka. Dietera nie było w domu. Nie pozostało mi nic innego, jak zaprosić gościa do środka. Mieszkała w jednej z okolicznych wsi, z córką już od dawna nie utrzymywała kontaktów i teraz dopiero policja powiadomiła ją o jej śmierci. Patrzyła na mnie wzrokiem pełnym wyrzutu. Z zakłopotaniem przepraszałam ją, usprawiedliwiając się, że jestem tylko właścicielką domu.

Musiałam zaparzyć herbatę i wyciągnąć chusteczki higieniczne. Pani Muller powiedziała, że ojciec jej nieślubnej córki też już nie żyje. Już w wieku piętnastu lat Margot obracała się w kręgach narkomanów; niedługo potem zaczęła ćpać na całego. Wysłali ją do zakładu na odwyk, ale uciekła, złapali ją znowu wśród nieletnich prostytutek, potem poprawiła się trochę dzięki jednej kurotorce i zaczęła praktykę u krawcowej. Jak raz po raz bez usprawiedliwienia nie stawiała się w zakładzie krawieckim, dostała wymówienie. I wszystko zaczęło się od nowa. W końcu pani Muller nie chciała więcej o córce słyszeć.

Czy nie opowiadano mi już wielu takich historii?

Na szczęście zaraz pojawił się Dieter. Musiał wysłuchać serii gorzkich oskarżeń. Kiedy po kilku godzinach przyszedł do oranżerii, w której siedziałam, wyglądał na równie przybitego jak ja.

Nazajutrz przyszedł telegram. JESTEM W MAROKU; WSZYSTKO OKEJ; LOVE LEVIN. Dieter też przeczytał i pokręcił głową:

— Nie bardzo to po dżentelmeńsku.

Było mi wszystko jedno. Bez intruzów, którzy zakłócali mój spokój, dom był prawdziwą oazą. Miałam nagłą potrzebę, żeby coś dla siebie zrobić. Codziennie przywoziłam z Heidelbergu jakieś przedmioty do upiększenia domu, pyszne bukiety kwiatów i świece zapachowe, jedwabne poduszki i dywaniki szlachetnego gatunku.

Co wieczór jedliśmy razem z Dieterem kolację; obowiązki kuchenne wykonywaliśmy na zmianę. Przyłapałam się na tym, że podczas tych kolacji staram

się wyglądać ładniej niż zwykle i że odczuwam nutkę rozczarowania, kiedy okazuje się, że Dieter wróci później i muszę jeść sama.

Od czasu do czasu ogarniała mnie ochota, żeby wybrać tapety do mansardy, ale zaraz potem pojawiały się wyrzuty sumienia i nawet tam nie wchodziłam. Dieter mieszkał teraz sam na pierwszym piętrze i szczerze mówiąc, nie chciałam już ani trochę, żeby się wyprowadził.

Któregoś dnia odwiedził mnie brat — na szczęście bez swojej rodziny. Został wprowadzić tylko na jeden wieczór, ale i tak bardzo się ucieszyłam z jego wizyty. Siedzieliśmy sobie w miłej i przytulnej atmosferze, wspominając dzieciństwo, rodziców i moje wesele. Nagle Bob powiedział:

— Dziwię się, że tata na twoim weselu jadł mięso, może już udało mu się przezwyciężyć szok, kto wie.

— Jaki szok?

— Nie mów, że matka nic ci nie opowiadała...

Popatrzyłam na niego. Nasza matka powierzała mojemu bratu tajemnice, o których ja nie wiedziałam nic. Stare rany zapiekły na nowo.

— No gadajże wreszcie! — rozkazałam.

Nasz kochany dziadek był wielkim nazistą, wszyscy o tym wiedzieli, ale nikt o tym głośno nie mówił.

Dopiero całe lata po jego śmierci, kiedy ojciec przeglądał stare dokumenty, dotarło do niego, że jest synem mordercy. Dziadek uczestniczył w eksperymentalnym projekcie eutanazji; przygotowywał — wprawdzie z rozkazu, ale zawsze — psychicznie chorym pacjentom miejskiej kliniki zatrute lekarstwa, które prędzej czy później sprowadzały śmierć. W zaszyfrowanym protokole notowano przypadki zawierające pierwsze litery nazwisk zmarłych pacjentów. Powtarzało się zdanie: „śmiertelne zejście po spożyciu klopsów z mięsem”. Prawdopodobnie zlecał podawanie zatrutych lekarstw, które same w sobie miały nieprzyjemny smak, w dobrze przyprawionych mięsnych klopsach.

— To po tym odkryciu tato przeszedł na wegetarianizm — zakończył Bob i spojrzał na mnie wyczekująco.

Serce zaczęło mi bić jak oszalałe.

— Odziedziczyłaś po dziadku tylko skórzany fotel — powiedział Bob — ja nie chcę już mieć w domu jego stojącego zegara. Jak cię znam, pewnie chętnie go weźmiesz?

Skinęłam głową. Prawdopodobnie rodzina na dobre zapomniała o szklanych buteleczkach dziadka.

— Na co właściwie umarła babcia? — spytałam bez ogródek.

— Na półpasiec, o ile dobrze pamiętam — szybko odpowiedział Bob, jak gdyby odgadując moje mroczne podejrzenia.

Następną wizytę złożyła mi Dorit z dziećmi. Dzień był dość ciepły, a dzieciaki biegały po ogródku, próbując łapać kosy. Miałyśmy je na oku, siedząc w oranżerii.

— Jak sobie radzisz po tym, co się stało? — spytała przyjaciółka.

— Jako tako — odparłam — tylko Levin zniknął.

— Słucham? Zaraz po weselu dał nogę? — Dorit nie mogła uwierzyć.

— Nie, niezupełnie tak. Był z przyjaciółmi w Andaluzji, a stamtąd pojechał do Maroka i do tej pory się nie pojawił. Czy powinnam się martwić?

— Ja bym chyba umarła z nerwów, gdyby chodziło o Gero — wyznała Dorit. — Levin jest przyzwyczajony do wolnego studenckiego żywota; a że nie ma ani odrobiny wstydu, to już inna sprawa!

— Dorit, jak ty myślisz, czy Levin byłby odpowiedzialnym ojcem?

— Tego się nigdy nie wie. Ale jak się powiedziało „a”, to trzeba powiedzieć „b” — a ty go przecież sama chciałaś!

— Dorit, ja nie mam jeszcze dzieci, jeszcze wszystko dałoby się odkręcić!

— Prawdziwa oszustka matrymonialna z ciebie! Kasujesz majątek i załapujesz się na wille jak ze snu, a potem puszczasz faceta z torbami! Chcesz znać moje zdanie?

Miała rację. Gdybym wzięła rozwód, to musiałabym ze względów moralnych zrezygnować też z majątku; gdybym tego nie zrobiła, sprzeniewierzyłabym się własnym zasadom. Chociaż...

— Przywiązałam się do tego domu — westchnęłam.

— Wcale ci się nie dziwię — odparła Dorit — też bym się go nie pozbyła. Zresztą wielu facetów zmienia się przy dziecku. Dorośleją.

Gdy zaczęło zmierzchać, zawołałyśmy z ogrodu Franza i Sarę; zrobiłam im kakao i podałam ciastka. *Gdybym ja tak mogła gotować dla moich dzieci, mówiłam sobie w duchu, wycierać ich czerwone noski, robić im na drutach sweterki, a przed świętami, tak jak teraz, piec razem z nimi pierniki...*

Po wspólnej godzince, którą spędziliśmy na picciu kakao i jedzeniu ciastek, poszli do domu. Dorit zapomniała swojego jedwabnego szala z niebieskim motywem marynarskim. Na chwilę zanurzyłam w nim nos, głęboko wciągając zapach drogich perfum.

Podeszłam do okna i zobaczyłam tylko tylne światła ich odjeżdżającego samochodu. Popatrzyłam na zegar. Gdzie podziewał się Dieter?

Nagle uświadomiłam sobie, ile już czasu w moim życiu spędziłam na czekaniu na mężczyzn. Było to zajęcie wyczerpujące nerwowo, dlatego że podczas czekania nie potrafiłam zająć się niczym konkretnym i sensownym. Ile już razy czekałam z ciepłą kolacją, wyjmowałam ją z piekarnika, żeby nie rozmiękła, i na powrót wstawiałam, aż się zupełnie rozgotowała. Zachowywałam się dokładnie tak jak moja matka.

Tak więc tym razem postanowiłam nie brać się za gotowanie, ale nie wypełnione żadnym zajęciem godziny oczekiwania dłużyły się jeszcze bardziej. W desperacji wzięłam się do czyszczenia z kociej sierści mojego niebieskiego swetra specjalną taśmą. Co chwilę wyglądałam przez okno, czy światła samochodu nie zapowiadają powracającego Dietera. Przyjechał, kiedy już byłam bliska łez, i od razu sam zaczął się tłumaczyć.

— Niemożliwe, to już tak późno? — udałam zaskoczenie — zupełnie straciłam poczucie czasu.

Na nic zdało się udawanie obojętności. Dieter był wystarczająco doświadczonym mężczyzną, żeby zorientować się, co jest grane. Wziął mnie w ramiona i pocałował. Upiekliśmy sobie omlet i przenieśliśmy się na sofę. Obydwa małżeńskie łóżka, to na górze i to na dole, pozostały tej nocy nietknięte.

Gdyby co noc nie śniła mi się Margot, następne dni byłyby szczęśliwe jak nigdy dotąd. Doskonale obchodziłam się bez Levina. Niestety, pewnie niedługo poczuje brak gotówki...

Ten niebывały stan jakby unoszenia się w powietrzu i spychania do podświadomości niepożądanych wspomnień naturalnie nie trwał długo. Pierwsze chmury nadciągnęły już po tygodniu. Kiedy po skończonej zmianie szybko jak strzała wróciłam do mego ukochanego, już od progu wiedziałam, że coś jest nie tak.

Levin dzwonił z Maroka. Siedział w areszcie śledczym, bo potrafił porsche starszą kobietę. Według jego relacji po prostu sama rzuciła mu się pod samochód. Za kaucją mogli go zwolnić i dać mu adwokata.

— Boże jedyny! — zawołałam. — I co z tą biedną kobietą?

— Na szczęście nic takiego, tylko złamana ręka, szybko się zagoi — powiedział Dieter. — Levin prosił mnie, żebym natychmiast przywiózł pieniądze. To jest w pewnym sensie łapówka, którą trzeba przekazać osobiście.

Skinęłam głową; ile?

Żądali horrendalnej sumy. Chociaż zgodziłam się bez wahania i już następnego dnia chciałam jechać do banku, miałam złe przeczucia. Dlaczego nie można było tych pieniędzy po prostu przelać na konto niemieckiej ambasady?

Smutna mina Dietera mówiła mi, że i on znacznie bardziej wolałby zostać ze mną. Męcząca podróż nie była z pewnością szczytem jego marzeń. Toteż bez słowa skargi podjęłam obiecaną sumę, wymieniłam na dolary i pożegnałam się z Dieterem. Pogrzeb Margot odbył się bez niego.

Kiedy zostałam sama, Dorit i Gero Meiften zaprosili mnie na kolację. Dzieci spały, Gero palił cygaro, z którego roztaczał się rozkoszny aromat. W oknie wisiał już bożonarodzeniowy stroik, na deser były pieczone jabłka. Gero pod-

czas naszego paplania jednym uchem śledził wiadomości. Przy jednej z nich, informującej o poszukiwaniu sprawcy przestępstwa, coś mu się przypomniało.

— Będziesz mnie pewnie miała za starego plotkarza, Hella — zaczął — ale chyba powinnaś wiedzieć, czego dowiedziałem się ostatnio o twojej klice z Viernheim.

Zawsze chciałam wiedzieć wszystko, czego dowiadywał się Gero od swoich kompanów od kielicha.

— Rodzina Graber stanowiła niewyczerpany temat rozmów w Viernheim, dlatego też w przypadku wnuka rozpuszczają języki. Nie, żebym usłyszał coś złego o twoim Levinie... ale jego znajomi nie pochodzą, powiedziałbym, z najlepszego towarzystwa.

Nadstawiłam uszu. To chodziło o Dietera.

— Wiem, był już raz karany — powiedziałam.

— A wiesz w ogóle za co?

— Narkotyki?

— To też — powiedział Gero z lubością, a ja dostałam gęziej skórki. — Ale twój sublokator siedział głównie za spowodowanie obrażeń cielesnych.

A więc w tym, co mówił Levin, było ziarno prawdy. Ja znałam Dietera wyłącznie jako łagodnego i pokojowo nastawionego człowieka.

— To było na pewno dawno temu — usprawiedliwiałam swojego kochanka. — Ludzie się zmieniają, ale kochani bliźni nigdy im nie zapominają przewinień z przeszłości.

Gero spuścił z tonu.

— Hella, ja przekazuję ci tylko, co słyszałem. Możliwe, że stał się od tamtego czasu porządnym obywatelem; niemniej jednak ostrożność nie zaszkodzi.

Wzrok Dorit przewiercał mnie na wylot. Kobięca intuicja pomogła jej domyślić się od razu, dlaczego na sam dźwięk imienia Dietera zrobiłam się nerwowa i spiekłam raka. Słowa Gero dotknęły mnie do żywego.

— Dobrze cię znowu mieć tylko dla siebie, jak za starych dobrych czasów
— powiedział jeszcze Gero.

A na pożegnanie dodał pojednawczo:

— Stan małżeński najwyraźniej ci służy, wyglądasz prześlicznie.

Taaa, powiedziałam w duchu, *przez kilka dni byłam szczęśliwa, ale w ramionach przyjaciela domu*. Było za późno na wystawienie walizek Dietera za drzwi. Już się w nim zdążyłam zakochać na zabój, i to znacznie mocniej niż swojego czasu w Levinie.

Co miałam na Levina w razie rozwodu? Głównie jego romans z Margot. Ale czy miałam publicznie wyznać coś tak upokarzającego? Wtedy policja na pewno zainteresuje się bliżej szczegółami jej śmierci. Nie miałam pojęcia, czy odłożyli już jej przypadek do akt. Levin na wszelki wypadek nie powinien nigdy się dowiedzieć, że ich razem widziałam. Poza tym żywiłam nadzieję, że Dieter mu nie wyzna, jak to pod jego nieobecność został moim kochankiem. W przeciwnym razie można było myśleć, że jest nim już od dłuższego czasu, a ja miałabym kolejny powód do zrzucenia Margot z parapetu. Ach, co tam, Dieter nie będzie przecież taki głupi, by nas zdradzić.

W moje myśli wdarło się jednak ziarno nieufności. Dietera nie było już od czterech dni: raz tylko krótko zadzwonił, ale prawie nic nie było słyhać.

Któregoś wieczoru weszłam do mieszkania na piętrze, którego próg ze względu na Margot przekraczałam nader niechętnie. Tutaj sobie razem żyli. Stała tu jeszcze część mebli Hermanna Grabera i trochę rzeczy przeznaczonych dla handlarza starzyzną.

Wszystko, co kiedyś należało do Margot, budziło mój wstręt. W łazience stał jeszcze klejący się lakier do włosów, przybory do makijażu, lakier do paznokci. Dieter zostawił wszystko tak, jakby zwyczajnie wyjechała na jakiś czas i miała niedługo wrócić. A jego rzeczy? Po krótkim wahaniu otworzyłam stojącą w sypialni szafę. Tweedowe spodnie Dietera koloru musztardy z obwisłym siedzeniem i mała czarna Margot wisały zgodnie obok siebie.

W zakurzonej salonie stały dwa stare fotele, stojąca lampa z koronkowym abażurem, bieliźniarka bez drzwi, w której umieszczono radio i telewizor, oraz

masywne biurko Hermanna Grabera. Ostrożnie wysuwałam szuflady biurka. Jedna z nich była zamknięta. W pozostałych nie było nic takiego: papierosy, katalogi, rachunki, zdjęcia, nożyczki i spinacze biurowe, koperty i kartki papieru — pozostałości po dziadku — i opakowanie czekoladek, takie samo jak te, które czasem przynosił mi Levin.

Zaintrygowała mnie ta jedna zamknięta szuflada. Jak na przyjęciu weselnym, tak i teraz przyszła mi na myśl ostatnia żona Sinobrodego, która koniecznie musiała otworzyć drzwi zakazanej komnaty, chociaż zupełnie jak ja przeczuwała czającą się za nimi katastrofę. W szufladzie na pewno znajdę ostateczną wskazówkę co do charakteru Dietera. Ale w tej chwili nie miałam przy sobie odpowiedniego klucza.

Czy muszę podważyć szufladę nożem? Czy Dieter zabrał ze sobą klucz? Bardziej prawdopodobne było to, że schował go gdzieś w pokoju. Usiadłam w jednym z wytartych foteli i zaczęłam się zastanawiać, gdzie też można było ukryć taki mały przedmiot. Za kiczowatym oleodrukiem?

Przeżyłam niesłychany triumf, kiedy po zdjęciu poczerńiałego ze starości landszaftu odkryłam klucz do szuflady. Bez szperania po pokoju rozwiązałam zagadkę, używając samej tylko wyobraźni, niczym rasowy detektyw.

Z drżeniem przekręciłam klucz. Nagle zupełnie przeszła mi ochota na zabawę w szpiegów i agentów, najchętniej w ogóle nie otwierałabym tej szuflady.

Pieniądze zobaczyłam od razu. Leżały w otwartej skrzyneczce po cygarach. To były dolary. Dokładnie połowa sumy, którą podjęłam z banku.

Są takie dni w szpitalu, kiedy to leżysz zupełnie sama, bez wizyt i poczty; innym znowu razem i jedno, i drugie wali drzwiami i oknami, a wieczorem człowiek jest wykończony.

Jednego z takich właśnie dni jako pierwsza złożyła mi wizytę moja koleżanka Ortrud, która mnie, jak przypuszczam, nie znosi, bo zawsze byłam lepsza od niej. Niestety, do tej pory nie udało mi się dowiedzieć, ile zarabia. Szeftowa otacza jej zarobki taką tajemnicą, że domyślam się, że Ortrud cieszy się specjalnymi przywilejami. Znalazły się obie w korcu maku, dzielą zainteresowanie sportem: moja szefowa pasjonuje się konną jazdą, koleżanka gra w hokeja. W poniedziałki mają zwyczaj pokazywania sobie z dumą zdobytych w weekendy siniaków. Uścisk jej szorstkiej ręki przypomniał mi ojej hobby.

— Hella, co ty wyczyniasz — przywitała się Ortrud, uwalniając się od bukietu przykurzonych nieśmiertelników.

Po jej odejściu odetchnęłam z ulgą. Oddając jej jednak sprawiedliwość, to jej zawdzięczam pomysł z papką dla niemowląt. W aptece nie ma zazwyczaj wiele do jedzenia, kiedy dopadnie cię głód. Ale z przecieru brzoskwiniowego dla dzieci zawsze możesz przygotować wspaniałe deser, dodając trochę śmietany i kilka świeżych owoców sezonowych, i to po cenie hurtowej.

— Miałam kiedyś przyjaciółkę — zwierzyła mi się potem Rosemarie Hirte — która odświeżała zasuszone kwiaty lakierem do włosów, oczywiście bez freonu.

Tego dnia odwiedzili nas kolejno pani Romer, Paweł, Kolja i Dorit z Gero. Do mojej towarzyszki po raz pierwszy przyszedł z wizytą mężczyzna, aptekarz o nazwisku Schröder.

W końcu przyszedł doktor Kaiser i nie znoszącym sprzeciwu tonem wyprosił wszystkich bez wyjątku. Prawie nie miałam siły ciągnąć potem mojej opowieści.

Pieniądze, które odkryłam w szufladzie Dietera, sprawiły, że zupełnie straciłam rezon. Dopasowywałam do tego odkrycia najróżniejsze wytłumaczenia. Łącznie z tak bezsensownym, iż znalazłam po prostu jego osobiste oszczędności. Ale wyglądało raczej na to, że chce mnie wykorzystać. O wstrząsającej historii, która przydarzyła się Levinowi, dowiedziałam się od Dietera, to wcale nie musiała być prawda. Ale gdyby mój nowy ukochany planował dać nogę, to wzięłby ze sobą całą sumę. Z drugiej strony, gdyby mnie okłamał, wszystko i tak wyszłoby na jaw po powrocie Levina.

Najprawdopodobniej trzymali ze sobą. Historia o potrąconej na ulicy kobiecie mogła się nawet zgadzać, pasowała do stylu jazdy Levina, uszłoby jeszcze od biedy, że Dieter musiał zawieźć kaucję za Levina osobiście. Ale schowane w biurku dolary świadczyły o tym, że oszukiwali mnie za moimi plecami.

O czarna niewdzięczności! Dlaczego, dlaczego za każdym razem muszę trafić na takich samych typów spod ciemnej gwiazdy? Dobrze, że nie upoważniłam Levina do dostępu do mojego konta, legalnie nie mógł się dostać do mojego majątku.

Nie dam się, postanowiłam, jestem mądrzejsza od was obu razem wziętych. Ale na samą myśl, że może czyhają też na moje życie, wstrząsnął mną dreszcz przerażenia. Gdyby doszło do rękoczynów, byłam z góry na przegranej pozycji; lepiej było udawać dobrą i trochę naiwną. A może powinnam pozostawić Levinowi dom i majątek w ramach szlachetnego gestu?

Pieniądze zmieniają charakter, pomyślałam, kiedyś rzeczy materialne nie miały dla mnie znaczenia, a moje potrzeby były skromne. Ale teraz, kiedy do czegoś doszłam, zrozumiałam, że dawniej grubo się myliłam.

Nazajutrz zadzwonił Dieter. Wszystko poszło gładko, już są w Afryce Północnej, w enklawie Ceuta i jutro przepływają się promem do położonego na południu Hiszpanii Algeciras.

Potem Dieter dał słuchawkę Levinowi, który powiedział, zgrywając dobrego chłopca:

— Słuchaj, skarbie, wiem, że jesteś na mnie zła. Ale kiedy tylko ci opowiem, przez co przeszedłem... Czy będzie bardzo nie w porządku, jeśli zostaniemy tu na południu z Dieterem jeszcze przez kilka dni i trochę po tym wszystkim odpoczniemy?

Udałam trochę urażoną i umierającą ze zmartwienia, i odkładając słuchawkę, usłyszałam, jak Levin zapala sobie papierosa z westchnieniem ulgi.

Miałam kilka dni na obmyślenie strategii. Po raz drugi poszłam na górę do mansardy. Może znajdę na piętrze jakieś poszlaki, które do tej pory umknęły mojej uwadze. Tamerlan, który wślizgnął się za mną, od razu rozłożył się wygodnie na jednym z foteli obitych zielonym materiałem i zaczął na nim skrobać tajemnicze hieroglify.

Długo stałam w sypialni, przyglądając się flanelowej pościeli z kiczowatym motywem dzikiej róży, pewnie w latach sześćdziesiątych wystanej przez babcię Levina w kolejce jako ostatni krzyk mody. Ciekawe, kiedy była po raz ostatni prana? Przewyciężając odrazę, podniosłam do góry trzyczęściowy materac i podgłówki. Ale pod materacem chowali pieniądze najwidoczniej tylko starzy ludzie, profesjonalści woleli trzymać je w bankowych sejfach.

Niestety, nie mogłam też tak po prostu zabrać moich dolarów.

Po raz kolejny przejrzałam papiery. Brakowało świadectw, dokumentów i dowodów wpłaty na ubezpieczenie, co kazało mi przypuszczać, że Dieter musi mieć gdzieś jeszcze drugi schowek. Również jego pozostały dobytek był tak skromny, że można go było spakować zaledwie w dwie walizki. Znalazłam zdjęcie, na którym był razem ze swoimi rodzicami i rodzeństwem — duża rodzina, wszyscy pozujący do zdjęcia sztywno i z poważnymi minami. Nie wyglądało na to, że rodzice mają aparat fotograficzny i pstrykają swoim pociechom zdjęcia dla udokumentowania każdej godziny ich życia, tak jak to było u mnie w domu. Widać było, że się u nich nie przelewało.

No tak, trudne dzieciństwo! Jakim prawem oceniałam Dietera? Nagle poczułam, że moje dolary straciły znaczenie. Kocham tego mężczyznę, a on kocha mnie. Chciałam zawierzyć mojemu instynktowi.

Raz po raz zadawałam sobie pytanie, czy iść do adwokata. Levin nie zgodzi się na rozwód, bo nie dostanie ani centa, ale czy może mi pomieszać szyki?

Niestety tak — tym bardziej że byłam dla niego niewygodnym świadkiem. Musiałam uciec się do tej samej taktyki, co Hermann Graber: spisać testament i zaznaczyć, że w razie mojej śmierci cały majątek przejmie Czerwony Krzyż. Miałam zamiar już jutro wnieść w sądzie okręgowym odpowiednią opłatę i zlecić sporządzenie dokumentu. Kopię miał otrzymać Levin.

Kiedy nazajutrz po załatwieniu wszystkich żmudnych formalności wróciłam wieczorem do domu, moim oczom ukazały się mercedes i porsche grzecznie stojące obok siebie na podjeździe. Panowie wrócili z wojaży. Czując, że uginają się pode mną kolana, posiedziałam jeszcze kilka minut w samochodzie. Na przywitanie mam objąć Levina czy Dietera? A może ani jednego, ani drugiego?

Jakby nie było, wcześniej czy później musiałam wejść do domu. Drzwi otworzyły się, zanim zdążyłam sięgnąć do torebki po klucz i Levin nieoczekiwanie ścisnął mnie w objęciach.

Stół był, jeśli pominąć plastikowe podstawki, nakryty do uroczystej kolacji, paliły się świece, pachniało gorącym masłem. Levin oświadczył, że musi mi wiele wynagrodzić, i nalał zaraz sherry.

Po męczącym dniu i dłużącej się jeździe samochodem w listopadowej mgle zawsze jest przyjemnie wreszcie znaleźć się w ciepłym mieszkaniu. Często sama szykowałam innym osobom takie przyjęcie, mnie samej rzadko było dane go doświadczać. Doskonałe sherry wypite na pusty żołądek zrobiło swoje i od razu ujrzałam Levina w lepszym świede. Oliwkowy ton jego opalenizny pobudzał mój apetyt prawie tak samo jak unoszący się w domu zapach jedzenia.

— Dieter siedzi jeszcze w wannie, właściwie nie chciał jeść razem z nami, ale chyba nie masz nic przeciwko temu — powiedział Levin.

Mechanicznie pokręciłam głową i kazałam sobie jeszcze raz napełnić kieliszek. Przy moim miejscu leżały prezenty w ładnych opakowaniach. *Za chwilę zasiądę do stołu w towarzystwie męża i kochanka, pomyślałam, Levin zdaje się o niczym nie wiedzieć...*

Zanim zdążyłam wyobrazić sobie całą sytuację, wszedł Dieter, niemal tak samo uwodzicielsko opalony jak Levin. Obaj byli w szampańskich nastrojach. Dieter cmoknął mnie w policzek i zajął do piekarnika, w którym piekła się polędwica w cieście francuskim.

— Zaraz będzie gotowa — oznajmił — mam nadzieję, że jesteś głodna!

Co też oni kombinowali?

Jedliśmy i piliśmy, co chwila wybuchając śmiechem. Wieczór był czarujący. To była czysta przyjemność, siedzieć między dwoma zrelaksowanymi mężczyznami, którzy prześcigali się w prawieniu mi komplementów i opowiadali mrozące krew w żyłach historie. Rozpakowałam prezenty. Orientalne słodycze, olejek różany, trochę za małe hiszpańskie półbuty i antyczny srebrny świecznik. Levin lubił wydawać pieniądze.

Od Dietera dostałam marokańską poduszkę w orientalny wzór, która doskonale pasowała do fotela po dziadku. Czułam się, jakby była wigilia. Jeszcze trochę, a ogarnęłyby mnie wyrzuty sumienia.

Tyle pięknych prezentów z moich pieniędzy! Troszkę się upiłam i ogarnęło mnie rozrzewnienie. Był już najwyższy czas, żeby iść spać, nim zakończę cudowny wieczór, tonąc we łzach.

Wszystko wokół mnie wirowało. Może dosypali mi czegoś do szampana? Chyba nie, Levin przyszedł do sypialni zaraz po mnie i namiętnie, jak nigdy dotąd, przytulił mnie do swojej pięknie opalonej piersi. Muszę przyznać, że mocne postanowienie sypania tylko i wyłącznie z Dieterem w jednej chwili poszło w niepamięć.

Nazajutrz rano miałam kaca, ale niestety nie był to wystarczający powód, żeby wziąć wolne. Obaj panowie spali. Z ciężką od alkoholu głową siedziałam w kuchni, siorbiąc mocną kawę. Sytuacja była mocno niewyraźna. Memu śniadaniu na kacu asystował duch Margot, szepcząc, że kiedyś obaj przyjaciele dzielili się jej ciałem, a teraz nadeszła moja kolej.

Targana wątpliwościami wsiadłam w końcu do samochodu. Zimą o siódmej rano było jeszcze ciemno, w ogródkach przed domami stały już rzęsiście oświetlone choinki. Gdy byłam dzieckiem, ich widok przywodził mi na myśl nadcho-

dzące ferie świąteczne i umiał słabo oświetloną drogę do szkoły. Ale już od lat niechętnie jeździłam do domu na święta, wołąc obarczyć tym szczytnym obowiązkiem mojego brata, który przynajmniej mógł zaprezentować rodzicom wnuka. Tego roku będę świętować z dwoma przestępcami, a nie w kręgu mojej małej rodziny. Nie zrobiłam ani kroku naprzód.

Również następnego wieczora Levin okazywał mi czułość i uwagę; byliśmy sami. Ostrożnie spytałam, czy starczyło pieniędzy.

Levin przyjrzał mi się z uwagą.

— Na szczęście nie musieliśmy przeznaczyć wszystkiego co do grosza na kaucję, bo wtedy nie mielibyśmy nic na powrót ani na kilka dni urlopu.

Zadałam kilka niewinnych pytań odnośnie aresztu śledczego, bo wydawało mi się to coraz bardziej nieprawdopodobne, że mają tam zwyczaj zamykania ludzi za spowodowanie wypadku.

Levin opowiadał, jak to krewni potrąconej przez niego kobiety o mało co go nie zlinczowali, policji udało się w ostatniej chwili uchronić go przed rozwścieczoną hołotą.

— Ile lat miała ta kobieta?

— Ze trzydzieści.

Dieter mówił, że to była staruszka, mamy więc pierwszą niezgodność. Poza tym moje podejrzenia budził fakt, że opalenizna Levina była znacznie ciemniejsza niż Dietera. Nie wyrażałam jednak głośno swoich wątpliwości. Może te obawy były zupełnie absurdalne. Obydwaj zachowywali się wzorowo. Od kiedy zniknęła Margot, której śmierć zresztą nigdy nie stanowiła tematu naszych rozmów, poprawił się również apetyt seksualny Levina. Było jasne, że go swojego czasu zupełnie opętała. Dieter unikał sytuacji, w których moglibyśmy znaleźć się sam na sam. Nie doszło między nami ani do rozmowy, ani do kolejnych czułości.

W aptece od czasu do czasu robię sobie dla zabawy test ciąży, i to nie dopiero odkąd wyszłam za Levina. Na krótko przed Bożym Narodzeniem prze-

prowadziłam kolejny taki test. Po raz pierwszy w moim życiu wypadł pozytywnie.

Oczywiście zdawałam sobie sprawę, że w fazie początkowej ryzyko błędu jest duże i że pewność może mi dać dopiero USG. Ale głos wewnętrzny mówił, że to prawda. Rano było mi niedobrze i nie mogłam nic przełknąć; koło południa brała mnie jednak taka ochota na świeże ciasto drożdżowe z budyniem waniliowym i wisienkami, że bez płaszcza, w samym tylko białym kitlu pędziłam do sąsiedniej piekarni i kupowałam sobie cztery drożdżówki.

Jeśli już wcześniej czasami brakowało mi równowagi psychicznej, to teraz straciłam ją dokumentnie. Kto był ojcem dziecka? Cieszyłam się z mojej absolutnie niemoralnej ciąży, która bardziej pasowałaby do takiej lafiryndy jak Margot, a nie do pani Helli Moormann-Graber. Prowadząc samochód, na przemian to chichotałam sama do siebie, to płakałam z radości. I chociaż najchętniej wykrzyczałabym tę radosną nowinę całemu światu, postanowiłam tymczasem czekać.

Podstawowe pytanie brzmiało, czy mam w ogóle urodzić to wytęsknione dziecko od niewiadomo którego z dwóch ojców. Już wcześniej miałam możliwość sprawienia sobie dziecka bez męża — nie traktowałam jej jednak poważnie, kierowana poczuciem odpowiedzialności (zresztą nie zawsze do końca konsekwentnie, w przeciwnym razie ominąłby mnie niejeden test ciążowy). Teraz miałam o jednego tatusia za dużo i znowu sprawy nie szły po mojej myśli.

Tak bardzo chciałam porozmawiać o mojej ciąży z Dorit, ale było jeszcze na to za wcześnie. Do roli terapeuty nadawał się tylko Tamerlan i często korzystałam z jego usług. Na wszelki wypadek przestałam zupełnie pić alkohol, wyciskałam sobie sok z pomarańczy (który zaraz potem wymiotowałam) i chodziłam na długie spacery na świeżym powietrzu.

Powiem pierwszej osobie, którą zastanę w domu, postanowiłam któregoś razu w przypiływie desperacji. W bajkach tym pierwszym kimś był zazwyczaj kot albo pies; ja wyobrażałam sobie, że spotkam jednego z dwóch mężczyzn, ale Tamerlan, który przywitał mnie, ocierając się o moje nogi, zdążył ich wyprzedzić. Porsche stało przed domem, ale nie było widać ani Levina, ani Dietera. Weszłam po schodach na górę, mieszkanie na pierwszym piętrze też było puste.

W końcu zebrałam się na odwagę i przekroczyłam próg mansardy. Pod oknem stał Levin i płakał.

Podeszłam do niego na palcach i objęłam go w pasie. Płaczący mężczyźni sprawiają, że roztopiam się jak czekolada w gorącej wodzie.

— Ona wcale nie cierpiała — powiedziałam łagodnie — od razu straciła przytomność.

Levin nie reagował. Pociągnął nosem.

— Gdzie moje jelenie? — spytał.

— Co takiego?

Jak się okazało, oplakiwał utratę masywnej garderoby z rżniętymi głuszcami i jeleniami, którą wywiozła para młodych ludzi. Jak twierdził, motywy wyrzeźbione na szafie inspirowały jego babcię do opowiadania mu w dzieciństwie historii o leśnych zwierzętach. Pocieszałam go, przemilczając radość z mojego macierzyńskiego stanu.

Pani Hirte wyrwało się:

— *Jutro się dowiem, który z nich był tym silniejszym jeleniem, na rykowski, prawda?*

Dobrze mi się leży na jednej sali z Rosemarie. Kiedy pomyślę sobie o tych wszystkich wiecznie kwękających kobietach, które spotykam na korytarzu, stwierdzam, że dobrze trafiłam. Przykro mi, że z początku traktowałam ją trochę z góry.

Spędza dużo czasu na świeżym powietrzu, wyprowadza obce psy albo chodzi na spacer z tym mężczyzną na wózku. Poza tym ma ambicje ornitologiczne i rzeczywiście doskonale orientuje się wśród tych kilku gatunków ptaków, które jeszcze pozostały w naszych lasach. Ostatnio opowiadała mi, jak to sto lat temu jeden szaleniec chciał zasiedlić Amerykę Północną wszystkimi ptakami, jakie występują w dziełach Szekspira. Od tego czasu występują tam szpaki.

Ale ja, ma się rozumieć, miałam jej do opowiadania znacznie ciekawsze rzeczy, na przykład historię mojej ciąży.

Zbliżało się Boże Narodzenie, ja byłam przy nadziei i wreszcie mogłam dać upust długo powstrzymywanemu pragnieniu świątecznego kiczu i sentymentalizmu. To mnie przypadły bombki choinkowe po babci, bo matka wolała dekorować świąteczne drzewko „po nowoczesnemu”, różowymi i liliowymi wstążkami. Po raz pierwszy otworzyłam małą skrzynkę pełną kruchej lamety, włosów anielskich, szklanych dzwoneczków, stojaków na świeczki z resztkami wosku, drewnianymi misiami, Czerwonymi Kapturkami i łyżwiarzami misternie wystruganymi laubzegą, i oczywiście babcinego złotego anioła. Dieter i Levin przyglądali mi się, kiedy wypakowywałam skarby. Większość z nich przeznaczona była do powieszenia na choinkę, ale figurki kolędników i kadzidło z Rudaw Czeskich można było poustawiać już w czasie adwentu.

Levin miał sentymentalną naturę i dla podtrzymania świątecznego nastroju uwarzył nam grzane wino z dodatkiem goździków i cukru. Grzaniec szybko uderzał do głowy, Levin z Dieterem zaczęli się wygłupiać.

Dużo czasu upłynęło, od kiedy po raz ostatni widziałam mojego złotego anioła. W dzieciństwie uważałam go za dzieciątko Jezus we własnej osobie. Jego delikatna twarzyczka i rączki były z wosku. Szata ze sztywnego, lekko podniszczonego złotego papieru sprawiała, że anioł cały błyszczał.

— Co ona tam wymamrotała? — spytał nagle Dieter. — Anioł śmierci?

Levin wybuchnął niepohamowanym śmiechem. Dieter śmiał się razem z nim i obaj nie mogli przestać.

— Oho, nasz anioł śmierci chyba się zdenerwował — powiedział w końcu Levin — spójrz tylko, jak mu się napina żyła na czole, w tej głowie pracuje analityczny umysł.

Nie przestali nazywać mnie tak do końca wieczoru. Normalnie też nie odmówiłabym szklaneczki wina, ale zabraniał mi tego mój obecny stan. Toteż nie byłam w nastroju do żartów.

Za ich żartami musiała ukrywać się straszna prawda: po prostu wykorzystali moje dolary do jakiegoś interesu narkotykowego, a Levin nie siedział w stęchłej więziennej celi, tylko serfował na falach ciepłych mórz i używał na całego. Ogarnięta wątpliwościami patrzyłam to na jednego, to na drugiego. *Który z nich jest ojcem dziecka?*, zastanawiałam się bez przerwy. Według moich wyliczeń szanse na ojcostwo w przyszłym roku obaj mieli jednakowe.

— Wasz anioł śmierci idzie spać — oznajmiłam — oblewajcie swoje sukcesy beze mnie. Ale niech wam się nie wydaje, że możecie robić ze mnie idiotkę.

Spytałam mojego złotego anioła: „Co robić? Dlaczego nic mi w życiu nie wychodzi?” Anioł wyprostował się i wyrecytował z *Wallensteina* Schillera: „Kto nas los szczęścia życia w grę nie kładzie / Temu szczęśliwie kość życia nie padnie!”- Kiedy zasypiałam, zdawało mi się, jakby niebieski wysłannik sypał na mnie płatki śniegu, powtarzając uspokajająco: wszystko będzie dobrze...

Kiedy następnego dnia mój wzrok padł na niewysprzątaną kuchnię, znowu zrobiło mi się niedobrze. Czy Levin tym razem dosypał mi do jedzenia jakiegoś proszku? W każdym razie przed wyjściem do pracy poszukałam kopii mojego testamentu i położyłam ją demonstracyjnie na klejącym się kuchennym stole.

W pracy nie miałam czasu na rozmyślania. Oprócz kilku spieszących się osób, które chciały tylko szybko odebrać zamówiony lek, przyszło też paru wyjątkowo rozmownych stałych klientów. Byli to głównie starzy samotni ludzie, których jedyną rozrywkę stanowił spacer do lekarza i do apteki. Wiedziałam, że mój zawód spełnia też funkcję społeczną: mam nie tylko udzielać porad, ale także cierpliwie słuchać. Nigdy nie stroniłam od tego ostatniego, podczas gdy szefowa na widok wchodzącego do apteki tego i owego notorycznego gaduły błyskawicznie zniknęła z pola widzenia. Podobnie jak moja wysportowana koleżanka Ortrud, która rzucała ze złośliwą satysfakcją: „Hella, kolej na ciebie”.

Niekiedy musiałam wysłuchiwać absurdalnych opowieści, często na temat „okrutnych” krewnych. Pewna starsza kobieta zwierzała się, że synowa chce ją zabić, bo już jej kilka razy źle odliczyła kropelki. Skądinąd dobrze wiedziałam, że w pewnych rodzinach niektórzy ludzie chcą trochę „dopomóc szczęściu” i że w zamkniętym kręgu domowego ogniska szanse na to, iż ludzie ci zrealizują swoje zamierzenia, stoją dość wysoko.

Do apteki przychodzą najczęściej matki po lekarstwa dla chorych dzieci, babć i mężów, i po pigułki dla siebie. Wyjątkiem był Paweł Siebert, przygaszony mężczyzna w średnim wieku, który mieszkał w sąsiedztwie i kupował lekarstwa dla swojej rodziny. Ten sam, którego moja szefowa przyprowadziła kiedyś do nas na przyjęcie.

Był to spokojny, sympatyczny, mało rozmowny mężczyzna. Z czasem na podstawie recept, które przynosił, stwierdziłyśmy, że jego żona znajduje się pod opieką psychiatry. Moja wścibska szefowa dowiedziała się od Dorit, że biedaczka cierpi na psychozę i miewa stany paranoidalne oraz halucynacje.

Byłam akurat sama w aptece i zaraz miałam zamykać, kiedy ten równie atrakcyjny, co godny współczucia mężczyzna pojawił się znowu. Tego dnia wydawał się nieco rozmowniejszy niż zwykle.

— Jak czuje się pańska żona? — odważyłam się zapytać.

Spojrzał na mnie uważnie.

— Jest w szpitalu, na jakiś czas.

Są ludzie, którym powodzi się jeszcze gorzej niż mnie, przebiegło mi przez głowę. Jakżeż on daje sobie radę łączyć pracę i opiekę nad chorymi dziećmi, spytałam, biorąc do ręki receptę, na której dostrzegłam też, że ma stopień doktora.

Był redaktorem w pewnym wydawnictwie naukowym i część pracy mógł wykonywać w domu.

— Z pracami domowymi radzę sobie nieźle — powiedział nie bez dumy — problemy zdarzają się rzadko. — A tak w ogóle, to musi mnie przeprosić, że zapomniał, jak się nazywam, chociaż był już nawet u mnie w domu.

Spotkało się to z moim zrozumieniem.

— Moormann, Hella Moormann — przedstawiłam się — a dokładniej: Hella Moormann-Graber.

Przypomniał sobie zawiadomienie o naszym ślubie, które widział w gazecie.

— Moja żona powiedziała wtedy: „Grabarz bierze za żonę topielicę”² — rzekł rozbawiony.

Zrobiło mi się niemal przykro, że wiedział o moim ślubie. Denerwowała mnie ta jego żona: siedziała sobie w wariatkowie, zostawiwszy mężowi na głowie cały dom, i do tego opowiadała głupawe dowcipy o topielicach.

Zaczęłam zamykać aptekę.

— Mój mąż, grabarz, czeka już z niecierpliwością na swoją topielicę — powiedziałam kwaśno.

Paweł Siebert zorientował się, że nie przyjął najlepiej jego żartu. Spojrzał na mnie przepaszająco i nagle stało się jasne, że przypadliśmy sobie do gustu.

² * Gra słów: „Graber” (właściwie „Graber”) to po niemiecku grabarz, a „Moormann” można przetłumaczyć jako: człowiek z topieliska, topielec.

W drodze do domu obleciał mnie strach z taką siłą, że najchętniej na powrót schroniłabym się w mojej aptece. Jak Levin zareagował na testament?

Małżonek oczekiwał mnie z miną męczennika. Testament leżał przed nim.

— Czy to ma być żart? Jeśli tak, to kiepski.

— Biorę przykład z twojego dziadka — odparłam — nie opłaca ci się mnie zabić, bo nic byś z tego nie miał.

Levin aż otworzył usta. Dopiero teraz zrozumiał i czuł się dogłębnie zraniony.

— Oszalałaś? Staram się jak mogę, okazuję ci miłość i oddanie, a ty jesteś święcie przekonana, że chcę cię sprzątnąć! Na takich fundamentach nigdy nic nie zbudujemy!

Teraz i mnie zrobiło się przykro i pożałowałam swojej decyzji. To prawda, że od czasu podróży zmienił się na lepsze. Ale nie ustępowałam.

— A dlaczegoż to jestem aniołem śmierci? — spytałam.

Jak mogłam coś takiego brać poważnie, gra słów dwóch podpitych faceków...

— Wzięłam to niezwykle poważnie, wykorzystaliście moje pieniądze do jakichś brudnych interesów — dodałam. — Chcecie się wzbogacić na upadku i śmierci młodych ludzi.

Levin na dobre się zdenerwował.

— Jakie twoje pieniądze? — ofuknął mnie. — To nigdy nie były twoje pieniądze, każdy fenig pochodzi od mojej rodziny. Załóżmy, że rzeczywiście jestem potworem, mógłbym cię teraz poddać torturom i zmusić, żebyś na moich oczach zmieniła testament. Tym samym podpisałabyś na siebie wyrok śmierci.

— Nie jestem ani stara, ani chora, ani nie mam sztucznej szczęki. Musiałbyś wymyślić coś specjalnego, żeby cię potem nie oskarżyli o morderstwo.

Levin chwilę pomyślał, po czym wypalił:

— Mogłabyś wypaść z okna mansardy; samobójstwo w wyniku ciężkiej depresji.

— Tego nikt nie kupi — odpowiedziałam — jeszcze nigdy w życiu nie miałam depresji, mogą to poświadczyć wszyscy moi przyjaciele.

— Zmuszę cię do napisania pożegnalnego listu — ciągnął swoje Levin — który przekonałby twoich przyjaciół.

Patrzyliśmy na siebie z nienawiścią. Byłam wykończona. Zabrakło mi argumentów, wybuchłam płaczem.

— Będę miała dziecko — wykrztusiłam przez łzy.

— Co takiego? Ty chyba raczej okres będziesz miała, dobrze wiem, w jaką wtedy wpadasz histerię.

Pobiegłam do sypialni i płakałam dalej, leżąc na łóżku. Za jakiś czas usłyszałam trzask zamykanych drzwi i silnik odjeżdżającego pośpiesznie porsche.

Przez całą noc Levina nie było w domu.

Następnego dnia rano nie było jeszcze ani jeźdźca, ani rumaka. W szlafroku powlokłam się do kuchni i nastawiłam wodę. Nie chciało mi się już płakać samej, bez świadków. Kiedy akurat wypluwałam moją herbatkę rumiankową do zlewu, wszedł Dieter. Wytarłam sobie usta papierowym ręcznikiem i ciężko odychając, usiadłam na kuchennym stole. Dieter przyglądał mi się badawczo. Obojgu nam było głupio.

— Już nie raz słyszałem, że rano miewasz te mdłości — powiedział Dieter zmartwionym, aczkolwiek nieco uszczypliwym tonem.

Wycisnął sok z cytryny i kazał mi powąchać jego świeży zapach. Potem otworzył lodówkę, wyciągnął z niej puszkę z colą i nalał mi do szklanki.

— To zawsze pomaga — polecił.

Wypiłam i ku mojemu zdumieniu lodowaty słodki napój rzeczywiście dobrze mi zrobił. Dieter przeciągnął mi ręką po włosach jakby w krótkim przyplądzie czułości i wyszedł.

Mój mąż, który skądinąd zazwyczaj sypiał obok mnie, jakoś do tej pory nie zauważył, że co rano wymiotuję. Zwróciło to jednak uwagę Dietera, który spał na piętrze nad nami. Jeśli Dieter myślał, że to ciąża, to musiał brać pod uwagę ewentualność własnego ojcostwa. Chyba że mężczyźni nie robią takich obliczeń.

Tego dnia miałam termin wizyty u ginekologa. Z niecierpliwością czekałam, co powie.

Potem szybko pobiegłam zobaczyć się z Dorit.

— I co na to przyszedł tata? — spytała.

— Nic jeszcze nie wie o swoim szczęściu, jesteś pierwszą osobą, której to mówię, obiecałam ci przecież.

— To dla mnie prawdziwy zaszczyt — rzekła Dorit — ale zachowuj się tak, jakbyś mówiła to w pierwszej kolejności jemu.

Potem dużo rozmawiałyśmy o samopoczuciu podczas ciąży i dziwacznych zachciankach przyszłych mam; był to od dawna jeden z ulubionych tematów Dorit, jednak do tej pory kierowana poczuciem taktu rzadko do niego nawiązywała.

Ale kiedy ani nie odtańczyłam tańca radości, ani nie kwapiłam się do wzniesienia toastu i tłuczenia kieliszków na szczęście, Dorit nabrała słusznych podejrzeń i spytała, czy może nie układa nam się z Levinem.

— Ależ nie — zaprzeczyłam — tylko jest mi tak bez przerwy niedobrze, a poza tym jakoś jeszcze nie mogę w to uwierzyć.

— Z każdym dniem będzie coraz lepiej — pocieszyła mnie Dorit — po trzech miesiącach mdłości znikną jak ręką odjął, a o tym, że to jawa, nie sen, przekona cię twój coraz bardziej okrągły brzusek.

Długo siedziałam u Dorit, w końcu przyszedł Gero i chcąc nie chcąc, dowiedział się jako drugi. Ucałował mnie i mrugnął do swojej żony ze słowami:

— Mam nadzieję, że dla Dorit nie będzie to zachęta, żeby namówić mnie na trzecie!

Zaśmiała się:

— Wiesz, to nie jest taki zły pomysł...

Musiałam wracać do domu. Czy Levin już tam był? A jeśli tak, ciekawe, jaką będzie miał minę?

Tak jak poprzednim razem obaj panowie siedzieli w kuchni i grzecznie gotowali.

— Kupiłem dzisiaj na obiad mrożoną polską gęś — pochwalił się Dieter.

— A ja byłem u ginekologa — zaczęłam odważnie. — Jestem w drugim miesiącu.

Levin popatrzył na mnie z niedowierzaniem.

Dieter od razu, mimo moich protestów, pobiegł po butelkę szampana. Wbrew mym nowym zasadom wypiałam nawet łyżeczek i rozkoszowałam się tym, że znowu znajduję się w centrum uwagi. Jak gdyby nasza kłótnia nigdy się nie odbyła, rozumieliśmy się tego wieczora wyśmienie, cała nasza trójka. Złoty anioł, do wigilii zatknięty na czubku palmy w oranżerii, posyłał nam z góry błogosławieństwo.

Niestety, w pewnej chwili ogarnęło mnie rozdrażnienie. Miałam nieprzyjemne uczucie, że w hamaku leży Margot i nas obserwuje; w rzeczywistości leżał tam tylko nasz rozpieszczony kocur. Wspomnienie Margot, która kiedyś tak samo spodziewała się dziecka — i tak samo nie wiedziała do końca, kto był ojcem — nie dawało mi spokoju.

— Nie pijcie tyle! — krzyknęłam nagle. Popatrzyli na mnie przestraszeni.

Również Tamerlan zeskoczył z hamaka, który potem długo się jeszcze huśtał w tę i z powrotem.

Jak ostatnio miałam w zwyczaju, poszłam spać pierwsza, nie omieszkawszy wydać polecenia, żeby nie zapomnieli posprzątać kuchni.

Wkrótce Levin musiał wyruszyć w kolejną, tym razem nieplanowaną podróż. Powód był smutny. Dzwonili do niego z Wiednia: jego matka miała ciężki wypadek samochodowy. Nieszczęśliwa mina Levina mówiła mi, że tym razem nie jest to historia wyssana z palca. Nie chciał pieniędzy, ale oczywiście kupiłam

mu bilet na samolot i wymieniłam szylingi. Chętnie kupiłabym mu jeszcze zimowy płaszcz, ale Levin chodził z zasady tylko w krótkich kurtkach.

Zastanawiałam się, czy nie pojechać razem z nim. Ale na myśl o podróży samolotem w moim obecnym stanie robiło mi się niedobrze. O matce Levina wiedziałam tylko tyle, że jest zagorzałą wielbicielką pisarki Annette von Droste-Hulshoff, i chciała dać jej imię swojej pierwszej córce. Kiedy ku jej rozczarowaniu urodził się syn, dostał imię towarzysza Annette z czasów młodości, Levina Schuckinga.

Wzięłam dwa tygodnie urlopu, do Bożego Narodzenia pozostało pięć dni. Z pewnym zakłopotaniem skonstatowałam, że zostałam w domu sama z Dieterem. Pewnie będzie chciał się ze mną rozmówić.

Już przy kolacji, którą jedliśmy przy świetle adwentowych świec, Dieter co chwilę wzdychał głęboko i znacząco, tak że musiałam w końcu spytać:

— Co jest?

— Niełatwo przychodzi mi być świadkiem twojego szczęścia z Levinem — rzekł Dieter swoim ciepłym, teraz smutnym głosem — najwyraźniej zapomniałaś o czasie spędzonym ze mną.

Zaprzeczyłam mu: nie zapomniałam ani na chwilę.

Osobiste uczucia nie są akurat najważniejsze, stwierdził Dieter, teraz chodzi tylko o dobro dziecka. Mówił to, patrząc na mnie z takim cierpieniem, że go spontanicznie objęłam.

— Jesteśmy przez kilka dni sami — zaczęłam kokieteryjnie — wezmę urlop... — czułam się wyjątkowo wyzwolona.

— Jesteś w ciąży — upomniał mnie Dieter.

Diabeł we mnie wstąpił.

— To twoje dziecko — powiedziałam.

Dieter zareagował jak należy: objął mnie i obsypał pocałunkami. Wyglądał na szczerze uradowanego.

— Kiedy powiesz Levinowi? — spytał.

— W tej chwili naprawdę nie mogę — broniłam się — jego matka jest przecież umierająca...

Tego dnia poszłam do łóżka z Dieterem i zazdrosnym Tamerlanem. Sama się sobie dziwiłam, ale było po prostu cudownie.

TLR

Dla Rosemarie nie wszystko było jasne. Jak to jest z dziećmi, które od czasu do czasu hasają po naszej zwykle cichej sali, które jest czyje?

Dorit ma dwoje dzieci, wyjaśniłam, Franza i Sarę, które są prawie rówieśnikami dzieci Pawła — Kolji i Lene.

— Co za imiona — oburzyła się Rosemarie — ale nie w tym rzecz. Kolja i Lene to dzieci Pawła i Almy-wariatki, zgadza się?

Skinęłam głowę.

— A ten najmniejszy, to wcielone diablątko?

— Nazywa się Niklas.

— Pomieszanie z poplątaniem! — mruknęła. — Chcesz troszkę perfum? No, a teraz już opowiadaj dalej...

Levin zadzwonił z Wiednia i głośno płakał w słuchawkę. Jego matka była nieprzytomna, prognozy lekarzy mało optymistyczne. Tylko na kilka minut wpuszczono go na oddział intensywnej terapii. Próbowałam go pocieszać i dodawać mu odwagi, ale zdawałam sobie sprawę, że w takim momencie moje słowa ledwo do niego docierają.

Kiedy na początku związku z Levinem próbowałam skłaniać go do zwierzeń, zazwyczaj mi się udawało, bo był w gruncie rzeczy dużym dzieckiem, które chętnie odkrywało przede mną swoje tajemnice. Pomijał tylko swe związki z kobietami. Dieter był inny, konsekwentnie milczał. O jego rodzinie nie zdołałam się dowiedzieć prawie niczego.

— To ile masz rodzeństwa?

— Za wiele.

— A twoi rodzice żyją?

— Jeśli jeszcze nie umarli...

Nie dawałam jednak za wygraną i kiedy któregoś razu czule przytuleni leżeliśmy na sofie, spróbowałam dowiedzieć się czegoś o przeszłości Dietera.

— Usłyszałam kiedyś przez przypadek, że byłeś karany za spowodowanie obrażeń cielesnych — zaczęłam ostrożnie, przytulając się do niego jednocześnie.

— Mhm — potwierdził. — Dwa razy mi się zdarzyło — wyznał w końcu.

Obleciały mnie ciarki.

Za pierwszym razem dostało się ćpunowi, który zakapował go policji. Okoliczności potwierdzały zatem jego dealerską przeszłość. Wyglądało na to, że Dieter zafundował swojej ofercie trochę więcej niż tylko rozbity nos. Opowiadanie drugiej historii sprawiało mu wyraźną przykrość. Jak było mi wcześniej wiadomo, Margot była swojego czasu w ciąży i w związku małżeńskim z Dieterem. Nie czekał z radością na to dziecko, zamknął Margot w domu i pilnował, żeby nie miała możliwości zdobycia heroiny. Którejś nocy zsunęła się po linie z drugiego piętra i uciekła. Dopiero po kilku dniach znalazł ją wśród prostytutek we frankfurckiej dzielnicy Westend. Złapał ją, przyprowadził do domu i pobił tak, że trzeba było wzywać karetkę.

— Ale brzucha nie tknąłem — zarzekał się — specjalnie uwa- / żąłem.

Nie mogłam tego zrozumieć.

— Jak można z wściekłości stracić nad sobą kontrolę, a jedno-; cześniej chronić ciężarny brzuch?

— Sam nie wiem — odpowiedział Dieter potulnie.

Ona przestała brać, za to on dalej był dealerem, czy tak?

— No tak, jak się już raz jest w tym biznesie, to trudno tak po prostu z tym zerwać...

— A co kupiliście w Maroku?

— Tylko trochę lekkiego szajsu, serio. Ani grama heroiny, tam jej zresztą nie można dostać.

W każdym razie dowiedziałam się, że Margot dostarczyła mu alibi podczas jego jedyne go wielkiego skoku; za składanie fałszywych zeznań zażądała nie pieniędzy, lecz ślubu.

Miałam ochotę spytać o połowę moich dolarów, ale nie miałam odwagi.

Nadeszło kilka spokojnych dni. Pojechaliśmy razem do kościoła św. Marka w Weinheim, by wysłuchać bożonarodzeniowego oratorium, a po powrocie do późna w nocy piekliśmy norymberskie pierniczki. Nareszcie miałam towarzysza wędrówek po lesie Odenwald i po Palatynacie. Najpiękniejsze były pnące się pod górę zarośnięte dzikim winem ścieżki, które na północy prowadziły do Heppenheim, na południu do Schriesheim. Z krzewów jeżynowych z furkotem podrywały się bażanty. Pigwy, które miały tutaj doskonałe warunki, leżały na trawnikach działkowych ogródków i roztaczały swój urzekający, lekko nadgniły zapach, bluszcz piał się wokół drzew owocowych, a osnute mgłą dni były jak zaczarowane. Letnie dni nie mogły się z nimi równać. Innym razem włączyliśmy się po jarmarku bożonarodzeniowym w Heidelbergu, a po powrocie do domu smażyliśmy kupione na nim kasztany i graliśmy w szachy. I chociaż Dieter musiał i kasztany, i pierniki zjadać w pojedynkę — ja na wszelki wypadek wolałam zostać przy świeżych drożdżówkach i lodowatej coli — był to wspaniały okres krótkiego zawieszenia broni. Dobrze wiedziałam, że nie będzie trwał wiecznie.

Niemal codziennie Dieter przekonywał mnie, że powinnam wziąć rozwód: dziecko jest jego, a nie Levina. W przeciwieństwie do mnie wydawał się nie mieć ani cienia wątpliwości.

Przypadkowo wyczytałam w gazecie: Prawo małżonka do spadku wygasa, jeśli spadkodawca przed śmiercią wniósł sądownie pozew o rozwód i małżonek został o tym powiadomiony.

Bardzo możliwe, że Dieter studiował dokładnie tę samą opinię eksperta i tym samym wiedział, że mąż nie ma prawa do spadku po swojej zmarłej żonie, jeśli ta przed śmiercią zdąży wnieść pozew o rozwód. Czy Dieter chciał zostać moim wyłącznym spadkobiercą?

Nie wytrzymałam.

— Wzięliście tylko połowę pieniędzy — powiedziałam — dlaczego mnie okłamałeś?

Dieter zbladł.

— Levin ci powiedział? — spytał niepewnie.

— Tak — skłamałam.

Dieter odpowiedział, że połowę dolarów zachował dla mnie.

— To po co je w ogóle ode mnie wyciągałeś?

— Levin tak chciał, ma u mnie długi.

— Ale Levin przecież ma własne pieniądze!

Był wyraźnie zmieszany.

— Obiecuję ci, Hella, że już nigdy nie pozwolę mu sobą sterować, od początku byłem przeciwny braniu od ciebie pieniędzy.

Pospiesznie wybiegł z pokoju i wrócił z dolarami.

— Pieniądze to nie problem — stwierdziłam i przeliczyłam je jeszcze, tak ze względów dydaktycznych — ale nie cierpię być oszukiwana.

Dieter skinął głową.

— Ale teraz zaczyna się nowe życie — powiedział—ja też ni jestem łasy na pieniądze, jeśli chodzi o mnie, możesz przy rozwodzie wszystko zostawić Levinowi.

— Nawet o tym nie myślę — odparłam — ale tak na marginesie: nie mogę teraz, kiedy wróci pewnie po śmierci matki, przywitać go nowiną, że ty jesteś moim nowym mężem i do tego ojcem dziecka. Jeszcze tego brakowało, żeby sobie coś zrobił!

Levin zadzwonił w momencie, kiedy tak o nim rozmawialiśmy. Był kompletnie załamany. Kamień by się wzruszył.

— Najgorsze w tym wszystkim jest to — wyszlochał do słuchawki — że nie mogę powiedzieć mojej mamie, jacy jesteśmy szczęśliwi w naszym małżeństwie i że spodziewamy się dziecka!

Do wigilii zostały dwa dni. Dieter kupił małą jodełkę, nie mógł doczekać się świąt. Nigdy jeszcze nie działało mu się tak dobrze, powiedział, przytulny dom, kochana kobieta, wkrótce dziecko. Ze swoimi kumplami z dealerskich czasów zerwał wszelkie kontakty. Dzięki tobie stałem się innym człowiekiem, powtarzał.

Dorit nie miała w tych dniach dużo czasu. Kiedy ma się dwójkę małych dzieci, przygotowania do świąt nabierają innego wymiaru. Nawet przez telefon słyszałam, jaka jest zdyszana i zabiegana, nie miało sensu wyłuszczać jej teraz kwestii podwójnego ojcostwa. Ale za sprawą skarg Levina pomyślałam o tym, by zadzwonić do moich rodziców i oznajmić im, że w przyszłym roku doświadczą radości bycia dziadkami.

— Już od dawna czekamy na tę wiadomość — odparła matka — w końcu jesteś mężatką już od ponad pół roku.

Panowałam nad sobą.

— Czyli chociaż ten jeden raz w życiu sprostałam waszym oczekiwaniom — powiedziałam tylko.

Ojciec przysłuchiwał się naszej rozmowie. Wyrwał matce słuchawkę.

— Mam nadzieję, że wszystko idzie pomyślnie — stwierdził.

Nawet to niewinne zdanie mnie uraziło.

— Aż taka stara nie jestem, mogłabym mieć dziecko nawet i za dziesięć lat — powiedziałam.

— Nie miałem na myśli twojego młodego wieku — odrzekł ojciec szarmancko — lecz twojego młodego małżonka.

Odłożyłam słuchawkę. Nieprędko mnie znowu usłyszą, w każdym razie byłam zdecydowana zapomnieć o corocznym telefonie z życzeniami świąteczno-noworocznymi.

Dwie godziny później zadzwonił mój brat Bob. Rodzice zdążyli go już poinformować.

— Gratulacje — powiedział — co powiesz, jakbyśmy was tak odwiedzili w Sylwestra? Przywiózłbym ze sobą stojący zegar dziadka.

Wizyta Boba sama w sobie sprawiłaby mi wielką radość — szczególnie gdyby przyjechał bez żony — ale w tej chwili chciałam być sama z Levinem, Dieterem i moim stanem. Nie sposób było nie zorientować się, że sytuacja w domu jest napięta, brat z miejsca wyczułby, że coś nie gra.

— Ach, Bob — westchnęłam — jesteś naprawdę kochany, ale mnie jest bez przerwy niedobrze. Wolne dni chciałabym wykorzystać na długie leżenie w łóżku, a prace kuchenne ograniczyć do niezbędnego minimum — już od samego tylko zapachu smażonej cebuli zbiera mi się na wymioty. Byłabym niedobłą gospodynią.

W ten sposób sama przyczyniłam się do tego, że mojego brata nie było w domu w momencie, kiedy mógłby mi się faktycznie przydać. Tegoroczny wieczór sylwestrowy miałam zapamiętać na całe życie.

Kiedy w dzień wigilii wróciłam z męczących zakupów, zastałam na stole kartkę z wiadomością. Matka Levina zmarła zeszłej nocy, a on sam wraca już do domu i chce, żeby ktoś go odebrał z lotniska we Frankfurcie. Dieter był już w drodze. Na zakupach boleśnie uderzyłam kostką o wózek z zakupami, palce przytrzasnęłam sobie klapą od bagażnika, a teraz stałam przed lodówką z ciężkimi siatkami pełnymi zakupów. Obaj panowie spodziewali się widocznie, że przyjadą na gotowe.

Levin wrócił wychudzony i przybity, chciał, żeby go tulić i kołysać w ramionach jak dziecko. Wypił trochę herbaty, po czym położył się w hamaku, od czasu do czasu głośno wycierając nos, podczas gdy Dieter mocował choinkę w stojaku, a ja zbierałam odkurzaczem igły. Potem przyniosłam ozdoby choinkowe

moich dziadków. Pachniało lasem. Levin przyniósł sobie do zimowego ogrodu adapter i ulubioną płytę: *Orfeusz i Eurydyka*.

Ach, straciłem ją, przypadło moje szczęście! — wzdychały nastawione na cały regulator głośniki. Dotychczas, słysząc te skargi, wyobrażałam sobie, że ta, która przypadła, to ja, a rozdzierające serce słowa żalu mnie są przeznaczone. Teraz ich obiektem była matka, czy to nie zakrawało na kazirodztwo?

Dieter chyba nie dzielił ze mną tych przemyśleń, nieobecny duchem mocował gwiazdę na czubku choinki.

Wolałabym raczej włączyć radio i posłuchać amerykańskich standardów na Boże Narodzenie, zamiast nich rozlegało się tylko: *Ach, na próżno! Nie masz spokoju, nie masz nadziei, i znikła wszelka pociecha!*

Levin popłakiwał do taktu, tak że z tekstu niewiele do mnie docierało. Jak w takiej chwili mogłam dręczyć go planami rozstania?

Piliśmy kawę w melodramatycznym nastroju.

— Jeżeli w ogóle jest jakaś pociecha — powiedział Levin — to jest nią dziecko. Kochany człowiek umiera, ale rodzi się nowy. Jeśli urodzi się dziewczynka, będzie nosiła imię mojej matki.

Wiedziałam, że matka miała na imię Augusta.

— Czy miała jeszcze drugie imię? — spytałam ostrożnie i po raz pierwszy w życiu zażyczyłam sobie syna.

— Pewnie — odparł Levin — Augusta Fryderyka. Wołali ją zresztą Gusta, tak też jest bardzo ładnie.

— Na Fryderykę się zgadzam — powiedziałam i zobaczyłam, jak Dietera przechodzą ciarki.

Po kolacji zapaliliśmy świece i nieco zakłopotani usiedliśmy u stóp choinki. Dieter przyniósł wino, a Levin po pięciu kieliszkach wpadł w euforię.

— Za rok nie będziemy już tylko we dwoje — powiedział, ignorując siedzącego obok mnie Dietera — nasze dziecko będzie się cieszyć widokiem płonących świec i kolorowych bombek.

Dieter przełknął ślinę i dodał:

— Za dwa lata nasze dziecko będzie już umiało chodzić.

Levin nie zważał na użyty przez Dietera zaimek dzierżawczy.

Pił dalej, obejmował mnie, twierdząc na przemian, że ta wigilia jest najpiękniejsza w jego życiu, pięć minut później zmieniał zdanie, mówiąc, że jest jednak najsmutniejsza ze wszystkich.

Dieter zamilkł i tylko pił wino. Obleciał mnie lekki strach, obydwaj mi się nie podobali. Na dworze zaczął padać deszcz, a nie śnieg, jak rok w rok oczekiwano. Z radia płynęły dźwięki dzwonów i śpiewy kościelnych chórów.

— Nasze dziecko będzie się uczyć gry na pianinie — powiedział Levin. — Hella, jak myślisz, będzie muzykalne? W końcu mój ojciec był organistą.

Kątem oka spojrzałam w kierunku Dietera, który nagle chwycił pierwszą lepszą bombkę i cisnął nią w wielkie okno oranżerii.

Levin zamarł, ja upuściłam trzymany w ręku piernik.

Ale Dieter jeszcze nie skończył. Bombki jedna po drugiej leciały w kierunku szyby i roztrzaskiwały się na mnóstwo połyskujących kawałków. Chciałam przeszkodzić Dieterowi, ale Levin mnie przytrzymał. Powiedział cicho:

— Najlepiej będzie, jak zejdziemy mu z oczu, on jest teraz nieobliczalny!

Nie bardzo chciałam zostawiać Dietera samego z płonącymi na choince świeczkami, ale Levin zaciągnął mnie do sypialni i przekręcił zamek. Poza tym przesunął komodę i zabarykadował nią drzwi. Pociłam się ze strachu jak mysz.

— Chyba nam nic nie zrobi — wyszeptałam.

Levin najwidoczniej nie łamał sobie głowy nad tym, dlaczego Dieter tak szalał; ja znałam jego powody aż nazbyt dobrze. Miotał straszliwe przekleństwa, a w końcu rozległ się łomot i niekończący się brzęk tłuczonego szkła. Przeczucowałam, że zostało rozbite jedno z dużych okien oranżerii. Kiedy przez dłuższy czas nic więcej nie było słychać, na palcach opuściliśmy sypialnię. Dietera nigdzie nie było. Oranżeria przedstawiała sobą widok jak po bitwie.

— Musimy natychmiast poprzemnieść rośliny do ciepłych pokoi — zakomenderowałam — zmarzną przy takiej temperaturze.

Resztę wigilii spędziliśmy na przesuwaniu kubłów i doniczek, przy czym Levin nie wydawał się dręczony wątpliwościami, czy mój stan pozwala mi na dźwiganie ciężarów. Potem pozamiataliśmy odłamki szkła i bombek, a Levin próbował prowizorycznie zakleić wielkie puste miejsce po szybie plastikowymi workami i kawałkami papy. Udało mu się to na tyle, że na razie do środka nie przedostawał się wiatr ani deszcz, ale dla złodzieja prowizorka nie stanowiłaby najmniejszej przeszkody. Jakim cudem znaleźć szklarza w pierwszy dzień świąt? Postanowiliśmy na razie o tym nie myśleć i poszliśmy spać. Levin zasnął natychmiast, a ja, wyczerpana i targana gniewem jeszcze długo w noc wzdychałam ze złości, nie mogąc usnąć.

Kiedy zaczęło świtać, i mnie zaświtało w głowie, że częściowo ponoszę winę za tę katastrofę. Nie było rady, musiałam się zdecydować albo na jednego, albo drugiego. Po wybuchu wściekłości Dietera ogarnęły mnie wątpliwości, czy to aby na pewno on ma być tym wybranym. Sam się zdyskwalifikował. Ale jak zareaguje, kiedy dam mu kosza? Bałam się w ogóle o tym myśleć.

Pierwszego dnia świąt powitał mnie pełen wyrzutu wzrok Tamerlana: nic nie stało na swoim miejscu, drogę co krok zagradzały wielkie doniczki z kwiatami. Odezwałam się do Tamerlana, bo i tak nikt inny mnie nie słuchał:

— Gdybyś był psem, wzięłabym cię teraz na długi spacer; poza tym mógłbyś w nocy pilnować, żeby nikt się nie włamał do domu. Na facetów nie mam co liczyć.

Obydwaj jeszcze spali. Napiałam się herbaty i zjadłam kromkę chleba, ku mojemu zaskoczeniu nie odczuwając żadnych mdłości. Potem ubrałam się ciepło i wsiadłam do samochodu. Pojechałam do Odenwaldu i wybrałam się w samotności na długi zimowy spacer, żeby trochę przewietrzyć głowę. Ale i na świeżym powietrzu rozwiązanie nie przychodziło mi do głowy; w duchu przeklinałam Dietera, a Levinowi wymyślałam od maminsynków.

— Tylko ty się liczysz — powiedziałam do mojego dziecka.

Kiedy wreszcie wróciłam do domu z zarumienionymi policzkami i rozgrzanymi stopami, na stole leżała kartka od Dietera: „O trzeciej przyjdzie szklarz zmierzyć ramę”. Poza tym Dieter — bo to, że zrobił to Levin, było raczej wykluczone — powymmował niebezpieczne odłamki szkła z ramy okiennej i wyniósł do kontenera na śmieci pokruszoną szybę wraz z okruchami bombek.

Levin właśnie wstawał.

— Przepraszam cię, skarbie — przywitał mnie — musiałem nadrobić trochę snu.

— W porządku.

— Przypominasz sobie, co właściwie doprowadziło do wybuchu wściekłości Dietera? — spytał.

Pokręciłam głową.

Levin zażyczył sobie kawy. Stawiając wodę na gaz, spostrzegłam, że Dieter wyjął gęś z zamrażarki i położył ją przy piekarniku; ale gęś potrzebowała przynajmniej czternastu godzin na rozmrożenie, więc chyba nici ze świątecznego obiadu.

— Gdzie podziewa się ten Dieter? — chciał wiedzieć Levin.

Nie miałam pojęcia.

Przyszedł szklarz, pokręcił głową z dezaprobatą. W jego wzroku czytałam naganę.

— I to w pierwszy dzień świąt — mruknął. — Jak coś takiego mogło się zdarzyć, do tego potrzeba siły!

Popatrzyłam na tego mądrego człowieka z namysłem. Miał rację, szyba na pewno nie została wybita delikatnymi choinkowymi bombkami. Dieter musiał przynieść z piwnicy dwuręczny młot kowalski Hermanna Grabera, a to już trudno było nazwać działaniem w afekcie.

Mimo nieprzyjemnej pogody wyszłam na dwór, ciepło opatulona, ale jakoś nie mogłam zdecydować się na kolejny spacer. W ogrodzie położyłam na mokrej ławce plastikową torebkę i usiadłam. Tuż obok mnie przycupnął ufnie rudzik.

Bałam się wykonać najmniejszy ruch, żeby go nie spłoszyć. Ptaszek przyglądał mi się uważnie swoimi czarnymi oczkami.

W dzieciństwie wywarła na mnie ogromne wrażenie jedna z bajek braci Grimm, opowiadająca o dziewicach zaklętych w ptaki. Od tego czasu wiem, że ptaki nie są zwykłymi stworzeniami, lecz są także symbolem duszy. W niezliczonych pieśniach, wierszach i bajkach ptaki pojawiają się jako wysłannicy dobrych lub złych sił, w roli zwiastunów śmierci lub nieszczęścia, lub też nadziei i nowej miłości. Poezja tych pieśni mówiła mi, że musi być jeszcze jakaś inna miłość poza tą, której do tej pory nie dane mi było doświadczyć.

Często zdarzało mi się zastanawiać, czy nie lepiej byłoby urodzić się innym stworzeniem, a jeśli tak — to jakim. Gdybym mogła wybierać, to chciałabym latać. Z początku chciałam być nietoperzem; jest wiele różnych odmian nietoperzy, ale wszystkie mają w sobie coś diabelskiego, demonicznego. Ze swoimi dużymi stojącymi uszami, lekko wybałuszonymi oczami i ostrymi zębami nietoperze są wysłannikami ciemności, mówi się, że to one wysysają krew. Ale kiedy przyglądasz się im ciepłego letniego wieczoru w jakimś południowym kraju, kiedy unoszą się w powietrzu lekkie, prawie nieważkie, to aż bierze ochota, żeby się do nich przyłączyć. Jaskółki, moje ulubione ptaki, również sprawiają wrażenie nieskończenie lekkich. Z nietoperzami łączy je to, że ciężko pracują, żeby wyżywić siebie i swoje potomstwo. Więc chyba jednak nie: czyż całe życie mam harować tylko po to, żeby napełniać żołądki?

To już lepiej zostać ptakiem drapieżnym. Nie orłem, raczej myszołowem, którego lot nie jest taki monumentalny. Któż nie leżał kiedyś na wakacjach w trawie, obserwując zataczającego w powietrzu kręgi drapieżnego ptaka. Wzniesiony wysoko ponad nami i naszymi problemami przemierza firmament, odcinając się wyraźnie na tle błękitnego nieba, niedosiężny, daleki. Od czasu do czasu szybko pikuje w dół, polując na myszy, bo przecież i jego wysokość musi w końcu z czegoś żyć.

Może kiedyś zakosztuję życia drapieżnego ptaka i zajmę się wyłącznie dostarczaniem upolowanych myszy do gniazda, w którym czekają młode. Obok mnie będzie leciał drugi myszołow, pozostałe ptaki i tak nie wytrzymują takich zawrotnych wysokości. Byłabym objęta ochroną, ludzie cieszyliby się, że poluję na szkodniki. Nie tykałabym tylko maleńkich jagniąt.

— *Nareszcie znalazłem młodego człowieka do pomocy w ogrodzie, powiedział Paweł podczas wieczornej wizyty. Jego znajomość niemieckiego jest wprawdzie słaba, ale za to jest niegłupi i pali się do pracy.*

— *To nie jego wina, że mu nie szło z tą nauką; gdybym miał trochę więcej czasu...*

Chciałam wiedzieć, jak wygląda.

— *Ładny chłopak — orzekł Paweł.*

Zachwycona zastanawiałam się już głośno, czy ewentualnie nie zasięgnąć języka w szkole wieczorowej w kwestii stosownego podszkolenia chłopaka.

— *Ostrożnie — powiedziała Rosemarie, kiedy zostałyśmy same — nie zaczynaj znowu!*

Zdenerwowało mnie to. Co ją obchodziły nasze rozmowy z Pawłem, kiedyś przynajmniej taktownie milczała albo wychodziła na korytarz.

Ale już się rozpędziła i wygłosiła prawdziwe kazanie. Mam złe wyobrażenie o większości ludzi, nic dziwnego, że tak źle trafiam...

No, przynajmniej na twój temat nie mam żadnych złudzeń, pomyślałam. Jesteś pomarszczoną starą panną, która nigdy niczego nie przeżyła i nie przeżyje. W końcu jednak podjęłam na nowo moją bajkę dla dorosłych.

Zadzwonili rodzice. Byli w świątecznym nastroju.

— *Już tak długo się nie odzywasz — mówili z wyrzutem.*

Krótko i węzłowato złożyłam im życzenia wesołych świąt. Gdybyście tylko wiedzieli, powiedziałam w duchu.

Zadzwoiła teŝ moja szefowa i od razu wiedziałem, ŝe czegoś ode mnie chce. Czy nie byłabym tak dobra i nie zastąpiłabym przez kilka dni chorej koleŝanki.

— Jestem zupełnie sama w aptece, Hella. Wie pani, co tu się zawsze dzieje po świętach...

Wiedziałem, ŝe to prawda. Jedni za duŝo jedli, pili i palili, co kończyło się różnymi dolegliwościami. Inni nie radzili sobie emocjonalnie ze wzmoŝonymi oczekiwaniami swoich najbliŝszych i prosili o valium, tak jak Dorit. Ku zaskoczeniu szefowej sprzedawałem im to valium bez mrugnięcia okiem. W przewidywalnym świecie apteki czułem się lepiej niŝ we własnych czterech ścianach.

Drugi dzień świąt spędziłem jednak jeszcze w domu. Pojawił się Dieter, prawie się nie odzywał i przygotował gęś jak trzeba, z ziemniaczanymi pyzami i sałatką z buraków. Nastrój był smętny. Levin nie wykazywał ochoty, by spytać przyjaciela o przyczynę ataku wściekłości, ja tym bardziej. Musiałem iść do pracy od 27 do 30 grudnia, ale w Sylwestra miałem na nieszczęście wolne.

Ludzie rzeczywiście przypuścili szturm na aptekę, jakbyśmy, nie przymierzając, organizowali wyprzedaŝ. Jako ostatni pojawił się Paweł Siebert.

— Co znowu podłapały pańskie dzieci? — spytałem, szukając czopków na zbicie gorączki.

— Obydwoje mają odrę, i to w same święta!

Było mi go ŝal. Kolejnym problemem okazał się —jak zwierzył mi się, nieco bardziej ośmielony — urodzinowy tort dla jego córki.

— Przepis wprowadzie mam — powiedział zrezygnowany — ale ŝeby sam ciasto upiekł...

Moja godzina wybiła. Ogarnął mnie entuzjazm. W przeddzień urodzin pocętkowanej na czerwono córki Pawła znalazłem się w obcej kuchni i zabrałem się za pieczenie czekoladowego tortu. Popróbowалаm teŝ swego kunsztu, lepiąc z marcepana maleńkie figurki Myszki Miki.

Przygaszony zazwyczaj Paweł okazał się miłym kompanem i pomocnikiem, po skończonej robocie chciał jeszcze wnieść toast na moją cześć. Stuknęliśmy się: on kieliszkiem wina, ja soku jabłkowego. Dzieciaki raz po raz ponawiały próby wtargnięcia do kuchni, ale ojciec im nie pozwalał.

— To niespodzianka! — ryknął jak lew, po czym bez pardonu zjadł jedną z minimyszek z czarnymi czekoladowymi uszami.

Padło też: czy nie miałabym ochoty wpaść jutro i razem z nimi spróbować mojego przepysznego tortu?

— Wie pani, dzieci, które przechodzą ospę, nie mogą zapraszać swoich przyjaciół. Ale pani już przecież nic nie grozi...

— Zobaczymy — powiedziałam.

W domu panowała cisza jak na cmentarzu. Na spotkanie wybiegł mi tylko Tamerlan. Ale przynajmniej robotnicy zdążyli już wstawić nową szybę, a jeden z moich panów pozanosił rośliny na miejsce, dokładnie posprzątał i postawił na stole bukiet żółtych róż. Przypuszczałam, że zrobił to Dieter, bo ogrzewanie w oranżerii było przykręcone, a Levin odkręcał je zawsze na maksimum.

— *Co ja tu w ogóle robię?* — rzekłam do siebie zrezygnowana.

Potem zadzwoniłam do Dorit.

— Dzisiaj piekłam tort czekoladowy na urodziny jednego dziecka — zaczęłam.

Obudziłam jej ciekawość.

— U Sieberta, mówisz? Jego Lene chodzi z naszą Sarą do przedszkola. Słodki dzieciak i mimo psychicznie chorej matki ani trochę nie zaburzony.

— Skąd u niego to imię: Paweł?

Jego rodzina pochodzi z Pragi. Zawsze to on odbiera córeczkę z przedszkola. — Podoba mi się ten człowiek — stwierdziła Dorit — mam słabość do naukowców, tym bardziej kiedy noszą brodę jak Karol Marks.

Zaśmiałam się, mnie też szczególnie podobała się ta broda.

— Szkoda, że obie jesteście już mężatkami, a Paweł ma żonę. Niedługo brzuch mi się zaokrągli i już żaden brodacze nie będzie chciał piec ze mną czekoladowego tortu...

— Wiesz co? — zaproponowała Dorit. — Możemy urządzić wspólnego Sylwestra, moi rodzice na pewno chętnie zaopiekują się dziećmi...

Odmówiłam już mojemu bratu; propozycja Dorit również nie zdołała wzbudzić we mnie szczerego entuzjazmu. Płaczliwy Levin i zazdrosny Dieter w połączeniu z alkoholem nie byli najszcześniejszą kombinacją. Ale może serdeczna przyjaciółka w towarzystwie osoby cieszącej się powszechnym szacunkiem, takiej jak Gero, stanowiła w tej sytuacji jakieś rozwiązanie.

Ugotowałam sobie cieką zupkę i właśnie ją jadłam bez szczególnego zapachu, kiedy wszedł Dieter.

— Strasznie mi przykro przez to wszystko — mruknął — ale tak dalej być nie może. Musisz powiedzieć Levinowi, że ja jestem ojcem.

Nie odpowiadałam.

— Nie ma przecież żadnego sensu dalej go oszczędzać—ciągnął Dieter — teraz i tak jest w żałobie, będzie miał o jeden powód więcej.

Popatrzyłam na niego rozdrażniona, odpowiedział mi złym wzrokiem.

Nagle Dieterowi przypomniała się sprawdzona technika wykańczania rywala poprzez odsłanianie kompromitujących szczegółów z jego życiorysu:

— Tak właściwie to nie miałem zamiaru cię martwić, ale masz o Levinie zupełnie fałszywe wyobrażenie. Pierwszego dnia świąt pojechałem do Palatynatu odwiedzić brata. Czego się tam nie nasłuchałem...

Poczerwieniałam. Ten wstęp nie zapowiadał niczego dobrego.

— No to mów — nakazałam.

— Levin robił to z Margot — powiedział bezbarwnym głosem i popatrzył na mnie wyczekująco.

O mało co nie zdradziłam się skinieniem głowy.

— Nie tylko wtedy, kiedy byłem w pudle — ciągnął Dieter — możliwe, że nawet i w tym domu, kiedy jeździłem po kraju, a ty pracowałaś w aptece.

Skąd brat Dietera wiedział o takich intymnych szczegółach?

— Kręciła też z Klausem.

Przypomniało mi się niejasno, jak dawno temu Levin opowiadał mi, że Margot zdradzała męża z jego najlepszym przyjacielem i z jego rodzonym bratem.

— Czy ty byłeś ojcem dziecka Margot? — spytałam.

— Dziecka? A czy to można tak do końca wiedzieć? Dobrze, że dopiero teraz dowiedziałem się o tej sprawie z Levinem, bo inaczej własnymi rękami wypchnąłbym ją z okna.

Po raz drugi zrobiłam się czerwona jak burak, a on to zauważył.

— Hella...? — rzucił, jakby przeczuwając, jak było naprawdę.

Wybuchłam płaczem i demonstracyjnie przycisnęłam dłonie do brzucha. Z ciężarnymi kobietami trzeba postępować ostrożnie.

Dieter chodził po kuchni tam i z powrotem.

— Czy ty...? — położył mi dłoń na ramieniu.

Spróbowałam przecząco pokręcić głową.

Podniósł do góry moją spuszczoną głowę i popatrzył mi w oczy, teraz mocno zaczerwienione.

— Levin nie zasługuje na twoje współczucie — orzekł — on cię ani trochę nie oszczędzał.

To się zgadzało. Ale powiedziałam sentencjonalnie:

— Nie można mierzyć wszystkich tą samą miarą. Porozmawiam z nim, ale dopiero, kiedy uznam, że nadszedł odpowiedni moment.

— Kiedy trzeba wyrwać bolący ząb — odparował Dieter — nie ma większego sensu przesuwając zabieg w nieskończoność.

— Mylisz się — ucięłam tonem nie znoszącym sprzeciwu. — Jeśli zdarzy się, że pacjent ma infekcję i gorączkuje, to i bolący ząb musi poczekać.

Nazajutrz złożyłam wizytę chorej dziewczynce. Lene, jeszcze z plamkami po odrze na twarzy, bynajmniej nie leżała w łóżku, lecz klóciła się z bratem o nową huśtawkę, umocowaną we framudze drzwi. Paweł ucieszył się z mojej wizyty, a Lene z wielkiego opakowania klocków Lego. Dzieci zwracały się do nas po imieniu, a więc my też przeszliśmy na ty.

Po zjedzeniu mojego wspaniałego tortu postanowiłam zostać jeszcze na pół godzinki. Paweł sprzątał ze stołu, a ja czytałam dzieciom bajkę. Pół godzinki upłynęło aż nazbyt szybko. Zamknawszy książkę z bajkami popatrzyłam na Pawła. Budził we mnie zaufanie. Nagle zapragnęłam, żeby mnie przytulił, chciałam poczuć na policzkach dotyk jego szpakowatej brody. Powinniśmy byli spotkać się wcześniej, myślałam, ale zawsze przecież możemy być po prostu przyjaciółmi.

Dzieci włączyły telewizor. Rozmawialiśmy ściszymi głosami. Dowiedziałam się, że jego żona zachorowała po urodzeniu Lene, zaczęła słyszeć głosy i bywało, że się specjalnie okaleczała. Serce mu krwawiło, kiedy okazało się, że trzeba ją odseparować od dzieci. Co jakiś czas czuje się trochę lepiej i wtedy może przebywać w domu, ale jest wtedy zawsze pod wpływem silnych proszków.

— Jakkolwiek okrutnie by to brzmiało — powiedział — kiedy ona musi iść z powrotem do szpitala, ja oddycham z ulgą. Nie wytrzymuję tego napięcia, poza tym boję się, żeby nie zrobiła czegoś dzieciom.

Złapał mnie za rękę. Bez zastanowienia zaprosiłam go do nas na Sylwestra.

— Lepiej nie — powiedział Paweł. — Nie chciałbym zostawić dzieci w domu, kiedy dookoła będzie pełno hałasu i odgłosów petard. Poza tym jeszcze do końca nie wyzdrowiały.

Były to argumenty nie do odparcia. Musiałam mieć nieszczęśliwą minę, bo obiecał w końcu, że zajrzy do nas, pod warunkiem, że dzieci o północy będą już mocno spały. Chyba że zdarzy się, iż sam / zaśnie. Ale czy to wypada, spytał,

pojawiać się po tym, jak przyjęcie osiągnęło już swój punkt kulminacyjny i właściwie dobiega końca?

— Zrobisz, jak uważasz, nie musisz się przecież decydować w tej chwili — uspokoiłam go — to będzie raczej przyjacielskie spotkanie, muzyka, coś dobrego do zjedzenia, bez szaleństw.

— Takie spotkania ja też najbardziej lubię — przyznał Paweł i pożegnaliśmy się.

Rankiem trzydziestego pierwszego grudnia zadzwoniła Dorit i odwołała swoje przyjęcie. Teraz jej dzieci miały odrę.

— O Boże — westchnęłam — a ja zaprosiłam już Pawła Sieberta! Chociaż pewnie i tak nie będzie mógł przyjść. Ty widziałaś kiedyś tę jego chorą żonę?

— Tak, pewnie. Swego czasu była czarującą kobietą, ale teraz? Jakaś taka... załzawiona — dają jej jakieś środki uspokajające, jest od nich cała zapuchnięta. Raz przyszła po Lene do przedszkola, to było żałosne! Ten wprost tryskający energią dzieciak trzymany za rączkę przez „mumię”!

Od czasów studenckich używałyśmy tego miana na określenie powolnych osób, a że obie nigdy powolne nie byłyśmy, „mumie” traktowałyśmy z niejaką pogardą. Na pewno jestem dla Pawła znacznie bardziej atrakcyjna niż chora „mumia”, ale czarującą kobietą nie byłam nigdy.

Tymczasem Levin trochę się uspokoił. Wprawdzie nadal kręcił się wokół mnie ze smutnymi oczami osieroconego kociątka, ale przynajmniej już tak dużo nie płakał. Lada chwila będę musiała się z nim rozmówić. Ale co mam powiedzieć? *Obaj nie stanowicie idealnej obsady*, myślałam, *ale nie chcę, żeby dziecko wyrosło bez ojca*.

Teraz, gdy okazało się, że Dorit i Gero nie przyjdą, miałam w lodówce o wiele za dużo jedzenia. Na Pawła raczej nie liczyłam, nie miało też większego sensu jechać z Heidelbergu do Viernheim w środku nocy.

Do kuchni wszedł Dieter.

— Co dobrego będzie dziś na kolację? — spytał.

— Rostbef, różowutki.

— To znaczy krwisty — powiedział Dieter — proszę cię, nie, brzydę się surowego mięsa.

Szkoda mi było drogiej polędwicy, upieczona na wiór zupełnie straci smak.

— Ale Levin woli różowy — powiedziałam bez zastanowienia, chociaż nie miałam najmniejszego pojęcia, co wołałby Levin.

Dieter się zasepił.

— Ten biedny sierota jest rzecz jasna ważniejszy; nie rób sobie kłopotu, mogę iść do restauracji.

Tylko nie to, zawołałam w duchu, wtedy zmarnuje się jeszcze więcej jedzenia.

— Nie ma sprawy — zdecydowałam — po prostu zostawię twoją porcję dziesięć minut dłużej na grillu.

Dieter był obłaskawiony. Łagodny jak baranek zabrał się za obieranie i krojenie w cienkie plasterki ziemniaków na zapiekanekę.

Potem do kuchni wszedł Levin ze świeżymi brzoskwiniami.

— Z egzotycznych krajów. Stawiam deser: sałatka owocowa z melona, brzoskwiń i ciemnych winogron.

Levin upierał się wprawdzie, że nie umie gotować, ale nigdy nie zapomniał kupić dokładnie odliczonych składników swoich ulubionych potraw. Popatrzyłam na brzoskwinie. Były tak twarde, że nie można z nich było nawet ściągnąć skórki.

Nie pojmuję, jak można co rusz trafić na takich nieudaczników — westchnęła Rosemarie Hirte — ale dlaczego to właśnie ja mam pierwsza rzucić kamieniem.

— Możesz mi spokojnie powiedzieć swoje zdanie — zapewniłam ją — na moim miejscu którego byś wybrała, Levina czy Dietera?

Skrzywiła się. Ledwo co zrozumiałam, kiedy wymamrotała:

— Dobry Indianin to martwy Indianin.

Po chwili wycedziła drugi komentarz:

— Biedny czy bogaty, śmierć i tak wszystkich zrówna.

Dzisiaj przez cały dzień z zapalem rozwiązywała krzyżówki i od czasu do czasu pytała mnie tylko o nazwę rzeki w górach Hindukusz albo wioski w Czechach. Dopiero na hasło „nieproszony gość, diabeł” (URIAN³, podpowiedziałam jej), przypomniała sobie o moim sylwestrowym przyjęciu.

Ze zmiążdżonego czosnku, musztardy, oliwy z oliwek, soli, świeżo zmielonego pieprzu i pomidorowego mięszu przygotowałam gęstą marynatę do mięsa. Przedzieliłam polędwicę wołową na pół i obydwie kawałki nadziałam na grube szpikulce do różna. Dokładnie wysmarowałam mięso tłustą marynatą, cebulę pokroiłam w cienkie plastry, włożyłam je do miski z resztką przyprawy i uruchomiłam rożen. Rostbef nie opiekał się do końca równomiernie, ale wiedziałam z doświadczenia, że tak ma być. Dieter ułożył plasterki ziemniaków w płaskim naczyniu żaroodpornym. Posypał je solą, rozmarynem i polał wszystko tłustą śmietaną. Levin męczył się z obieraniem brzoskwiń.

Dzięki atmosferze pracy w ciepłej kuchni wróciła przytulność i bliskość, której doświadczyliśmy w pierwszych dniach mieszkania we trójkę. Levin włą-

3 Urian (Uijan) — w niemieckiej tradycji ludowej jedno z imion szatana.

czył płytę z przebojami z lat trzydziestych i próbował nawet stepować. W pewnej chwili runął jak długi, poślizgnąwszy się na kawałku słoniny, którego wcześniej używał Dieter do nasmarowania żaroodpornego naczynia.

— Przepraszam — powiedział Dieter ze skruchą—wyślizgnął mi się.

Levin nie wziął mu tego za złe. Dziwiło mnie jego pokojowe nastawienie.

Po czterdziestu pięciu minutach wyjęłam połówkę rostbefu z rożna i owinęłam folią, żeby nie wystygła. Część Dietera piekła się kwadrans dłużej.

Wreszcie zasiedliśmy do pięknie nakrytego stołu i okazało się, że już jest jedenasta.

— I bardzo dobrze — orzekł Levin — Nowy Rok przywitamy, jedząc, to nie najgorsza sztuczka, żeby przepędzić złe duchy.

Jedzenie wyglądało znakomicie, zarówno Dieter, jak i Levin byli zadowoleni ze swoich kawałków, i tego krwistego, i tego dobrze upieczonego. Ja też poczułam apetyt, chociaż nadal źle znosiłam intensywne zapachy i nawdychawszy się zapachu tłuszczu w kuchni z przyjemnością znalazłam się w oranżerii.

Levin wyjął mi z rąk nóż i widelec.

— Obowiązek głowy domu — oznajmił — nawet mój dziadek, stary patriarcha, mięso zawsze kroił osobiście.

I zaraz się skrzywił, bo nóż nie był dostatecznie ostry. Od czasów zarzuconych studiów stomatologicznych Levin był przyzwyczajony do precyzyjnych narzędzi. Przyniósł stalową osełkę i profesjonalnie naostrzył nóż.

— Rostbef musi być pokrojony cienko jak papier — mądrzył się.

Byłam zadowolona, że i on znalazł sobie jakieś zajęcie.

Levin zaczął od naszego kawałka, który był krwisty, ze znanstwem odkroił pierwszy plasterk i położył mi na talerzu.

Z krwistego kawałka popłynął czerwony sok. Dieter, pełen obrzydzenia, starał się nie patrzeć, bo na półmisku leżała również jego dobrze upieczona połowa.

— Jesteście kanibale — powiedział.

Zabraliśmy się do jedzenia, prześcigając się we wzajemnych pochwałach za doskonale przygotowaną kolację i przepijaliśmy do siebie, starając się nie pamiętać o nagromadzonych pretensjach.

— Popatrzcie! — wykrzyknęłam nagle — śnieg pada!

Śnieg, który ominął nas na Boże Narodzenie, pojawił się nareszcie w ostatnią noc starego roku. Z przypominającej dżunglę oranżerii, z której padało światło na ogród za domem, widzieliśmy białe płatki, regularnie i nieustrudzenie ścielące się na ziemi.

Levin, duży dzieciak, nie posiadał się z radości.

— To symbol — powiedział. — Nowy Rok zaczyna się niewinnie jak ludzkie życie w nowo narodzonym dziecku, owiniętym w białe pieluszki. Śnieg przykrywa wszystek brud na ziemi.

— Głupie gadanie — odezwał się Dieter.

Popatrzyliśmy na niego z przestachem.

— Skoro Nowy Rok ma przynieść nowy początek — burknął Dieter — to na krótko przed dwunastą byłby właściwy moment, żeby wreszcie zrobić porządek!

Miał na myśli mnie?

Levin zgrywał naiwnego.

— Spokojnie, wszystko sprzątnę, ale najpierw podam moją owocową sałatkę. Niebo w gębie — pajacował.

Nikt się nie zaśmiał.

Próbowałam pod stołem złapać Dietera za rękę, ale wyrwał mi ją gwałtownym ruchem.

— Dobrze wiesz, o czym mówię — zwrócił się do Levina.

— Nie wiem — odparł Levin niepewnie.

Ogarnął mnie paniczny strach, zaczęłam zbierać ze stołu talerze.

— Poczekaj — powiedział Levin — mam ochotę na jeszcze jeden kawałek krwistego rostbefu!

Wziął do ręki naostrzony nóż. Dieter ciągnął, nie dając się zbić z tropu: — Robiłeś to z Margot.

Żadnej odpowiedzi. Levin udawał wyjątkowo skoncentrowanego na odkrajananiu cienkiego plasterka mięsa, ale jego ręce delikatnie drżały.

— Może byś raczył odpowiedzieć! — ryknął Dieter.

Levin przerwał krojenie mięsa, nadział maleńki kawałek na ogromny widelec i włożył sobie do ust. Przypomniała mi się Margot i jej przygoda z facetem od prosiaka.

— Czego ode mnie chcesz? — spytał.

— Przyznaj się... — rozkazał Dieter.

— Do czego? — Levin próbował zyskać na czasie.

— Wiem to od brata.

Levin wzruszył ramionami.

— Obydwaj wiemy, jaka była Margot — powiedział — to ona chciała, nie ja.

To się może nawet i zgadzało, ale Dieter grzmiał dalej:

— Punkt pierwszy: musisz się rozwieść.

Teraz ja wpadłam w panikę, bo do tej pory nie wspominał o mnie.

Levin się oburzył: przecież spodziewamy się dziecka; Dieter powinien się cieszyć, że swoimi niesmacznymi oskarżeniami nie wywołał u mnie wybuchu hysterii.

— Dziecko jest moje — oznajmił Dieter — to, które umarło Margot, pewnie ty spłodziłaś. Jak mi oddasz Hellę, będziemy kwita.

Levinowi nóż wypadł z ręki. Oczekiwał, że natychmiast zdementuję te rewelacje. Trzęsłam się ze strachu. Za nic w świecie nie chciałam znaleźć się w łapach Dietera jako zadośćuczynienie za Margot. Zaczęłam zanosić się płaczem, żeby nie dopuścić do przesłuchania.

— Oszalałeś — powiedział odważnie Levin — dziecko jest w stu procentach moje. Hella, powiedz mu prawdę!

— Bardzo się zdziwisz, kiedy Hella powie ci prawdę! — uprzedził Dieter. — Po śmierci twojej matki chciała cię oszczędzić, w przeciwnym razie już dawno by się przyznała!

Levin potrząsał mną, jakbym była workiem ziemniaków.

— No gadaj wreszcie! Powiedz mu, że oszalał!

Ale ze mnie nie dało się wycisnąć ani jednego zrozumiałego słowa.

— Wynoś się, ty chamie! — zawołał Levin z nienawiścią. — Przynosisz do mojego domu same nieszczęścia! Wracaj z powrotem do rynsztoka, tam gdzie twoje miejsce!

Dieter wziął zamach. Uderzeniem swojej potężnej pięści położył na łopatki mojego wysokiego, ale delikatnego małżonka. Z ust Levina połała się krew, a Dieterowi na ten widok zaraz zrobiło się niedobrze. Ja ruszyłam w stronę telefonu, żeby zadzwonić na policję.

Levin, wypluwając z buzi krew i zęby, wymamrotał „do szpitala”, wezwałam więc pogotowie.

Dieter wymiotował do mojego zlewu ze stali szlachetnej. Nie wystawiał nosa z kuchni.

Przyniosłam z łazienki ciepłą wodę i ręczniki. Levin głośno jęczał. Rozległy się noworoczne dzwony.

Siedziałam na podłodze, podtrzymując głowę Levina, żeby nie połykał krwi, i próbowałam zatamować krwawienie, przyciskając mu do ust wilgotne ręczniki. Na szczęście wkrótce dała się słyszeć syrena karetki pogotowia.

Dieter, zielony na twarzy, wszedł do pokoju.

— Zaraz tu będą — powiedział — ja znikam. Nie waż się mówić im, co się stało!

Protestowałam:

— Muszę powiedzieć prawdę...

— Trzeba było to zrobić wcześniej — rzekł Dieter. — Powiedz im, że Levin poślizgnął się na kawałku boczku i rozbił sobie usta o kuchenkę.

Bez płaszcza wyślizgnął się na dwór przez drzwi zimowego ogrodu i zniknął w padającym śniegu. Musiałam zostawić Levina, żeby otworzyć sanitariuszom. W drodze do drzwi wejściowych zahaczyłam o kuchnię i jednym ruchem wstawiłam nakrycie Dietera do spiżarni.

Sanitariusze uwinęli się szybko, zrobili doraźny opatrunek i położyli Levina na noszach. Mimo pośpiechu chcieli wiedzieć, co się stało.

— Wypadek — powiedziałam posłusznie — poślizgnął się i uderzył głową o kuchenkę.

Jeden z nich popatrzył na mnie z niedowierzaniem.

— To dlaczego nie leży w kuchni? — spytał.

— Dowłókł się aż tutaj, a potem położył się jak długi — zapewniłam go — ślady krwi zdążyłam już pościierać.

— Typowe — stwierdził sanitariusz — facet może się wykrwawić na śmierć, ale kobita najpierw musi pościierać podłogę!

Nie odstępowała mnie wizja bladego jak kreda, umazanego krwią Levina. Jego twarz wydawała się taka drobna przy wielkiej pięści Dietera. Żeby o tym wszystkim nie myśleć, wytarłam podłogę, posprzątałam ze stołu, wstawiłam do lodówki owocową sałatkę i powyrzucałam resztki jedzenia.

Kiedy w kuchni i oranżerii zaprowadziłam wreszcie jaki taki porządek, puściłam wodę do wanny, dołałam uspokajającego olejku i weszłam do ciepłej wody.

Dopiero teraz mogłam spokojnie pomyśleć.

Co tam, najważniejsze, żeby z dzieckiem wszystko było dobrze — uznałam z przekorą.

Po kąpieli założyłam koszulę nocną i szlafrok i wróciłam do oranżerii. Ta-merlan gdzieś przepadł; zwierzęta na pewno cierpią, kiedy ich właściciele urządzają bijatyki.

„Ta-mer-lan”, pełna współczucia próbowałam wywołać kota z ciemności ogrodu. Zaraz też wynurzył się z cicho padających płatków śniegu i zbliżył się do mnie ostrożnie. „Uciekaj, myszko, do dziury, bo cię tam złapie kot bury, a jak cię złapie...” — zanuciłam i ogarnęło mnie uczucie, że gram w jakimś filmie.

Z kotem na rękach położyłam się w hamaku i marzłam mimo gorącej kąpieli. Nie mogłam ani jasno myśleć, ani zasnąć, a do rana było jeszcze dużo czasu.

O wpół do drugiej rozległ się dzwonek telefonu. Pewnie Dorit, która chce złożyć mi życzenia szczęśliwego Nowego Roku, pomyślałam, to ponad moje siły. Kiedy jednak dzwonienie nie ustawało, dowlokłam się do telefonu. Na pewno dzwonią ze szpitala, że Levin nie żyje.

Rzeczywiście dzwoniли z kliniki, ale Levinowi już było lepiej. Zatomowali krwawienie z nosa, zszyli rozciętą górną wargę. Brakowało jednak czterech siekaczy. Gdyby zostały dostarczone natychmiast, dałoby się je zakonserwować i później spróbować im-plantacji w klinice stomatologicznej w Heidelbergu.

Znalazłam jeden ząb, który wrzuciłam do kosza na śmieci. Przypuszczałam, że reszta leży gdzieś w śniegu, bo Levin po drodze do karetki raz po raz coś wypluwał.

— Leżą pod śniegiem — poinformowałam zmęczonym głosem — mogę ich poszukać rano, jak będzie jasno.

Twierdzili, że wtedy prawdopodobnie będzie już za późno. Wyczerpana powlokłam się z powrotem do hamaka i nagle zobaczyłam przed sobą sopel lodu wielkości człowieka. To był Dieter, który bezszelestnie jak kot wynurzył się z ciemności ogrodu.

— Hella, to wszystko to twoja wina! — rzekł oskarżycielskim tonem. Aż mnie zatrzęsło ze złości na taką niesprawiedliwość.

— Czy to ja pobiłam Levina tak, że trzeba było wzywać karetkę? — wrzasnęłam.

— Gdybyś jasno i wyraźnie powiedziała, że to ja jestem ojcem, nic by się nie stało. Tchórz z ciebie.

Tamerlan, futrzany grzejnik, zeskoczył z moich kolan. Zaczął się uganiać za jakimś maleńkim przedmiotem, który turlał wte i wewte po białych kafelkach, jak gdyby nagle życie stało się jedną wielką zabawą.

— Co on tam ma? — zainteresowałam się, by zmienić temat.

Dieter schylił się, żeby sprawdzić. To był ząb.

— Co z Levinem? — spytał.

— Wybiłeś mu siekacze.

Dieter nie sprawiał wrażenia skruszonego winowajcy.

— Dobrze mu tak. Okres ochronny dobiegł końca.

— Ach, Dieter — westchnęłam nieostrożnie, bo mnie już to wszystko szczerze znużyło — może zresztą to on jest ojcem. Skąd mam to dokładnie wiedzieć.

Dieter zamarł. — Powtórz to jeszcze raz!

Ryknęłam jak lwica: — Zostaw mnie w spokoju! Nie wiem, kto jest ojcem! Może żaden z was, banda kretynów!

Potem wydarzenia potoczyły się tak szybko, że trudno mi teraz odtworzyć ich bieg. Leżałam na podłodze, brutalnie wyrzucona z hamaka. Dieter rzucił się na mnie i zaczął mnie dusić.

— Ty dziwko! — wrzeszczał.

Na nic zdała się moja obrona i kopanie nogami, był silny jak tur. Nigdy nie zapomnę tego śmiertelnego strachu, który mnie wtedy obleciał. Ale w końcu ogarnęła mnie niemoc i strach minął. Przestałam się bronić. W pewnej chwili jak we mgle ujrzałam Pawła niczym Boga Ojca z siwą brodą. Nagle mogłam znowu

oddychać. Uścisk na mojej szyi zelżał, ciężar przestał mnie przygniatać. Siedziałam na podłodze, ogłuszona. Tuż obok mnie zmagali się Paweł i Dieter.

A gdyby tak wezwać policję! Spróbowałam stanąć na nogi. Twarz Pawa była sina, nie mógł złapać powietrza. Dieter darł się:

— A więc to jest ten kurwiarz, który nocami wkładał się do domu i zrobił ci dziecko!

Musiałam coś zrobić, i to natychmiast. Cisnęłam w Dietera ceramiczny dzbanek z uchem w kształcie żółtego koguciego grzebienia, który rozbił się na jego plecach, nie wywołując najmniejszego efektu. Ale co to takiego połyskiwało obok glinianego kubła z filodendronem? To był ostry nóż do krojenia mięsa, który upuścił Levin...

Jestem co prawda niezłą aptekarką i gospodynią domową, mam też więcej siły, niż wydaje się na pierwszy rzut oka, ale w rzucaniu nożami jestem do niczego. Nóż poleciał zbyt płasko i nie trafił w plecy Dietera, tylko ledwie musnął jego ramię. Dieter musiał poczuć lekkie draśnięcie, ale starczyło, by na chwilę puścił Pawa, żeby się odwrócić. Na widok własnej krwi znowu zrobiło mu się niedobrze.

Paweł mógł wyciągnąć teraz prawą rękę spod ciężaru Dietera i złapać nóż. Ale zanim wykonał jakikolwiek inny ruch poza mocnym objęciem rękojeści, Dieter nagle zasłabł i upadł, nadziewając się na to ostrze noża.

Paweł, podnosząc się z wysiłkiem, wysapał:

— Policja!

Pobiegłam do telefonu.

Drżąc wróciłam do oranżerii. Paweł objął mnie mocno. Staliśmy tak bez słowa, obejmując się jak Jaś i Małgosia i raz po raz uspokajająco głaskaliśmy się po plecach. Oboje nie mieliśmy odwagi odwrócić wzroku na ciężko rannego Dietera.

Kiedy nadjechało pogotowie i policja, nie byliśmy jeszcze w stanie udzielać zeznań. Ja dostałam zastrzyk na uspokojenie. Paweł odmówił.

Sanitariusze, którzy wcześniej zabrali Levina, byli ważnymi świadkami na to, że w tym dom już wcześniej doszło do rękoczynów; niestety, przemawiał przeciwko mnie fakt, że nie powiedziałam prawdy o przyczynie rozbitej szczęki Levina.

Po zrobieniu zdjęć oranżerii i zabezpieczeniu śladów musieliśmy z Pawłem wsiąść do policyjnego samochodu i podpisać protokół. Ślady po duszeniu, które widniały na naszych szyjach, zostały poświadczane przez szpitalnego lekarza.

W końcu byliśmy wolni. Poprosiłam Pawła, żeby został u mnie, bo za żadne skarby nie chciałam być sama. Ale nie mógł zostać, już i tak miał wyrzuty sumienia ze względu na dzieci.

— Jutro do ciebie zadzwonię — obiecał — i zobaczymy, co dalej.

Aby nie myśleć za dużo, resztę nocy spędziłam na podlewaniu kwiatów w oranżerii. Karłowata palma kokosowa i purpurowo kwitnący kaktus nie wymagały częstego podlewania; lecznicze zioła potrzebowały natomiast dużo ciepła i wilgotnego powietrza, z czułością podlewałam też południowoamerykańskie paprocie. Moja tyle już razy pohańbiona oranżeria zasługiwała na całą miłość i troskę, do jakich byłam zdolna; ale orchidee, a razem z nimi Tamerlan, patrzyły na mnie z wyrzutem i widać było, że cierpią.

— *Kto sieje wiatr, burzę zbiera* — powiedziała moja towarzyszka sentencjonalnie.

Nie cierpię głupich mądrości ludowych, jeżeli w ogóle o to tutaj chodziło. Odparowałam:

— *Wiek nie chroni przed głupotą.*

Wcale nie była obrażona.

— *Troszkę perfum?* — zachęciła. ,

Widocznie śmierdziałam.

— *Spodziewamy się dzisiaj wizyty ordynatora?* — spytałam, bo rozpylała tych perfum wyjątkowo dużo.

Ale nie przyszedł wytęskniony ordynator, lecz doktor Kaiser. Nie byłyśmy do niego dobrze nastawione, bo niedawno wykreślił z naszego jadłospisu kawę. Siostra z nocnego dyżuru doniosła mu, że gadamy tyle, że brakuje nam czasu na spanie. Nie po raz pierwszy uciął moje pytania, nie wdając się w dyskusję: on już dobrze wie, co jest dla mnie dobre.

— *Chyba pan zapomniał, że pracuję w aptece* — powiedziałam arogancko.

Doktor Kaiser należy do osób, które od razu spuszczają z tonu.

Rosemarie z nieskrywaną satysfakcją przyglądała się, jak teraz się przede mną kaja.

Potem przypomniała sobie jeszcze jedną mądrość:

— *„Śnieg w noc roku nowego nie wróży nic dobrego...”*

— To się akurat wyjątkowo zgadza — potwierdziłam — bo kto lubi odgarniać śnieg po nieprzespanej nocy. Ale niestety musiałam to zrobić, pod ręką nie było żadnego mężczyzny...

TLR

Spełniwszy swój uciążliwy obowiązek odstawiłam szufłę i miotłę z postanowieniem położenia się do łóżka razem z kotem. Telefon postawiłam tak, żeby nie słyszeć dzwonka, chcąc ochronić się przed dobrymi życzeniami rodziny. Nie chciałam być też informowana o samopoczuciu Dietera i Levina.

Każdy ma swoje sposoby na radzenie sobie w złych chwilach: dla mnie najlepszym jest po prostu położyć się spać. Kiedy już zupełnie nie wiem, co dalej począć, zostaje mi tylko to jedno uniwersalne lekarstwo. Często miewałam pokusy, bo przecież mam nieograniczony dostęp do tabletek, sprowadzenia snu farmakologicznymi metodami. Ostrzegł mnie jednak przypadek Dorit, która nie może już obejść się bez valium. Toteż zazwyczaj udawało mi się pokonać bezsenność ziołowymi herbatkami, walerianą i podobnymi nieszkodliwymi babciowymi sposobami.

Mówi się, że sen jest bratem śmierci. Możliwe, że moja potrzeba leżenia w łóżku nie jest dobrą rzeczą, ale ma z pewnością działanie terapeutyczne. Kiedy leżysz dostatecznie długo, w końcu budzą się w tobie nowe siły żywotne.

Musiałam uporządkować wiele spraw. Przy rozwodzie Levin na pewno będzie stawiał żądania finansowe. Jeśli o mnie chodzi, może sobie spokojnie przywłaszczyć część akcji i papierów wartościowych; ja zadowolę się willą i połową majątku. Czy powinnam uniezależnić się zawodowo? Mogłabym mieszkać z dzieckiem na górnych piętrach, a na dole urządzić aptekę. Czy stać mnie na opiekunkę do dziecka? Rodzice na pewno nie będą posiadać się z oburzenia.

Jak zwykle, snucie planów na przyszłość wprawiło mnie w lepszy nastrój. Oczywiście nie mogłam tak od razu dręczyć Levina pozwem o rozwód. To byłoby nie fair, kłócić się z kimś, komu brakowało z przodu czterech siekaczy. Tak czy inaczej, musiałam się uśmiechnąć. Istniała wyższa sprawiedliwość: jego trzecie zęby będą w nim zawsze wywoływały wspomnienie pewnej szklanki ze | sztuczną szczęką.

Dietera nie było mi żal po tym, jak mnie o mało co nie udusił. | No cóż, nie był pozbawiony pewnych zalet i w pewnych okolicznościach... Musiałam przyznać sama przed sobą, że tym, co mnie w nim pociągało, była właśnie jego emocjonująca przeszłość.

No i od niedawna był jeszcze ten trzeci: Paweł. Słodki facet, któremu od czasu do czasu trzeba będzie wyczyścić okulary albo wyskubać kawałki zaschniętego żółtka z brody. Czy miałam u niego szansę? Do tej pory odnosiłam wrażenie, że Paweł mnie wprawdzie lubi, ale przywiązany jest do matki swoich dzieci.

Kiedy po południu głód wygonił mnie z łóżka, nie zważałam na dzwoniący bez ustanku telefon. Zrobiłam sobie herbaty i spróbowałam zimnego rostbefu. Mój apetyt rósł w miarę jedzenia, Tamerlan również nie chciał tego dnia poprzestać na zwykłej kociej karmie. Podzieliłam się z nim konserwą z tuńczykiem. Swoją połowę wymieszałam z kaparami, keczupem, surową cebulą i sokiem z cytryny.

Pod wieczór ktoś zadzwonił do drzwi. Wyrzałam na zewnątrz. Kiedy Paweł mnie zobaczył, wyglądał na przestraszonego, musiałam chyba wyglądać dość blado.

— Jesteś chora? — spytał, bo ciągle byłam w szlafroku.

— Sama nie wiem, chyba się tym wszystkim trochę przejęłam.

— A jak miewa się nasz dusiciel? — chciał wiedzieć Paweł.

Wzruszyłam ramionami.

— Może już wyzionął ducha — odparłam.

Paweł uniósł brwi ze zdziwieniem. Zadzwonił do szpitala. Powiedziano mu, że informacji o stanie Dietera mogą udzielić tylko najbliższej rodzinie. Tyle wiedziałam i ja od czasu wypadku z Margot.

— Ale mogę stąd chyba wywnioskować, że jeszcze żyje — skonstatował Paweł. — A jak czuje się twój mąż?

Zapewniłam go (czego nie zrozumiał), że Levin aż za długo był już moim mężem i że nie mam najmniejszej ochoty składać mu wizyt.

— I tak już za późno na wizyty — powiedział Paweł. — W szpitalach już o piątej podają kolację, o ósmej jest cisza nocna, za to budzą cię o szóstej rano. Ale można jeszcze zadzwonić bezpośrednio na oddział.

Nie chciałam.

Piliśmy herbatę.

— Gdzie zostawiłeś dzieci? — spytałam.

— Jest z nimi sąsiadka i czyta im Heidi — objaśnił, a ja poczułam ukłucie zazdrości.

— Ładna i młoda? — zapytałam, siląc się na ironię.

Paweł tylko się uśmiechnął.

Jak by nie było, powiedział, że się o mnie martwił, tylko że jako samotny ojciec ma mało czasu i zaraz musi iść. Ale i tak poczułam się lepiej, bo od Pawła emanowała pozytywna energia, której tak bardzo brakowało mi u dotychczasowych partnerów.

Nazajutrz mogłam już odwiedzić Levina w szpitalu. Leżał w dwuosobowym pokoju. Najpierw zobaczyłam dziwny profil, który wykazywał uderzające podobieństwo do profilu mrówkojada. Obszar ust i nosa Levina był zabandażowany, pozszywany, spuchnięty i siny. Nie mógł mówić i siorbał tylko jakiś płyn przez słomkę, wystającą krzywo z tworzących jakby trąbkę opatrunków.

— Jak się masz? — spytałam zupełnie zbytecznie.

Przewrócił oczami.

— Trudno, musisz zacisnąć zęby — dodałam. To był podły żart.

Posiedziałam przy nim trochę i nawet zrobiłam się rozmowna. Czy chce, żebym opowiedziała mu ciąg dalszy ataku wściekłości Dietera? Dał mi do zrozumienia, że już wie. Napisał na kawałku papieru, że był u niego policjant i chciał go przesłuchać, ale dał sobie spokój, kiedy zorientował się, że Levin nie może zeznawać. W każdym razie policjant powiedział mu, że ciężko ranny Dieter leży w tym samym szpitalu na intensywnej terapii.

— Wyliże się? — spytałam.

Tego nie wiedział.

Pokazałam mu ślady od duszenia, skinął głową z uznaniem. Byliśmy towarzyszami w cierpieniu. Nie poruszaliśmy ani kwestii ojcostwa, ani rozwodu.

— Przynieść ci coś? Książki, sok, budyń? — spytałam.

Levin napisał: „Przewodniki, komiksy, nic kwaśnego do picia, może być sok bananowy”.

Obiecałam, że mu wszystko przyniosę.

Potem udałam się w pobliże oddziału intensywnej terapii. Dyżurna siostra nie chciała bawić się w prognozy, lecz powiedziała tylko, że ciężko rannym nie wolno składać wizyt bezpośrednio po operacji.

Zaraz po powrocie do domu zadzwoniłam do Pawła.

— Ty przychodzisz do nas czy my do ciebie? — spytał.

Dzieci dobrze się u mnie czuły, na szczęście zawsze mam w zapasie mleko i kakao, a teraz były też całe góry świątecznych wypieków.

Lene i jej brat Kolja zbudowali razem z tatą bałwana, którego teraz Tamerlan okrążał nieufnie.

— Masz sanki? — dopraszał się Kolja. Sanki miałam, ale niestety żadnej górki, z której dałoby się zjeżdżać.

Naprowadziło to Pawła na pomysł wyjazdu w góry z dziećmi.

— Chcesz z nami jechać? — spytał.

Nawet bardziej niż chętnie, ale bałam się długiej podróży samochodem do Szwajcarii czy do Austrii.

— To nie musi być tak daleko — powiedział Paweł — sportowiec ze mnie żaden, wystarczy mi posaneczковать trochę z dziećmi, a do tego i Odenwald się nadaje. Dobrze to zrobi dzieciakom po tej chorobie.

Nie zastanawialiśmy się długo, bo ferie zimowe zbliżały się ku końcowi.

Paweł zdecydował się na małą miejscowość sanatoryjną z doskonałym powietrzem. Na parkingu śnieg nie był olśniewająco biały, spaliny pozostawiały

ślady, zdobiące śnieg niczym cynamon rozsypany na bitej śmietanie, wyzierająca gdzieś tam ziemia wyglądała przy tym jak kawałki czekolady. Spragnieni czynów wysiedliśmy z samochodu i zaraz musieliśmy przystanąć, żeby popatrzeć w dal. Widok był piękny. Na horyzoncie góry stawały się jaśniejsze, zimowe kolory bardziej delikatne, górskie łańcuchy prezentowały się jakby ułożone warstwami, jedna po drugiej. Na białych polach stały pojedynczo szare jabłonie, które wraz z zielonymi krzewami jeżyn i czerwono-brązowymi liśćmi buków ożywiały zimowy pejzaż. Na śniegu odcinały się ciemne jodły i czarne wrony, w dali widać było mur cmentarza.

Wędrowaliśmy przez łagodne wzgórza, przełaząc przez ogrodzenia pól, dzieci wspinały się na leśne strażnice, balansowały na obalonych pniach. W omszałym szałasie podzieliliśmy między siebie paczkę gumisiów. Paweł objaśniał synowi, który zresztą nie wykazywał specjalnego zainteresowania, jak ustala się kierunki według zielonej nawietrznej strony drzew, zatrzymał się przy tablicy pokazującej tutejsze ptaki i razem z dziećmi rozbijał obcasem buta lód na zamrzniętych kałużach. Towarzyszyła nam sójka.

Odwróciłam się, patrząc z zadowoleniem na ślady naszych butów na śniegu: kto na nie trafi, pomyśli, że przechodziła tędy zadowolona mała rodzina.

Pod koniec naszego długiego spaceru zmęczone dzieciaki kazały się wieźć na sankach. Wreszcie zasiedliśmy w ciepłej gospodzie i graliśmy w „Widzę coś, czego ty nie widzisz”.

Kiedy już poodgadywaliśmy wszystkie czerwone, zielone i Bóg wie jakiego jeszcze koloru przedmioty, Paweł stwierdził nagle, że widzi jeszcze coś złotego.

Na próżno próbowaliśmy odgadnąć, co to może być.

— To jest serce Helli — powiedział wreszcie, a dzieciaki protestowały: „To się nie liczy, nie liczy się!”

Moje (złote) serce zabiło mocniej.

Rosemarie Hirte parsknęła śmiechem:

— *Nie mogę! Złote! Koń by się uśmieł! A ty oczywiście pierwsza lecisz na taki kicz!*

— Kto z was — zwrócił się potem Paweł do dzieci — chce spać u mnie w pokoju, a kto u Helli?

Dokładnie czegoś takiego się spodziewałam.

Dzieci popatrzyły na mnie i taktownie milczały. Lene powiedziała w końcu:

— Ja chcę do taty.

Jej brat miał już sześć lat i był zbyt dobrze wychowany, żeby odmówić do-
trzymania mi towarzystwa.

— Najlepiej będzie, jak dorośli będą spać w jednym pokoju, a dzieci w dru-
gim — zaproponował.

Popatrzyliśmy na siebie z Pawłem. Skinęłam głową, może trochę za szybko.

No i spaliśmy w tym samym pokoju, ale bynajmniej nie ze sobą. Rozma-
wialiśmy jeszcze długo jak stare dobre małżeństwo, potem Paweł zgasił światło.
W środku nocy poczułam, że ktoś wślizguje się do mojego łóżka, to była Lene.
Zapaliłam nocną lampkę i zobaczyłam, że obok Pawła leży już Kolja.

Kazałam przekazać Levinowi, że wyjeżdżam na parę dni. Pewnie miał mi to
za złe, ale wołałam zrobić przysługę mojemu nienarodzonemu dziecku. Trzy dni
spędzone na śniegu, długie spaceru i popołudniowe drzemki rzeczywiście czyni-
ły cuda.

Kiedy po pierwszym dniu pracy znowu usiadłam przy łóżku Le-
vina, był już w stanie wycedzić przez zęby swoje żale. Nie spytał mnie nawet, gdzie by-
łam, lecz skarżył się na swą bezzębną egzystencję. Za dwa dni mógł wrócić do
domu, ale czekały go jeszcze zabiegi u dentysty.

— Co z Dieterem? — spytałam.

O dziwo Levin zdążył złożyć mu już wizytę. Dieter nie leżał już na inten-
sywnej terapii, był na najlepszej drodze do wyzdrowienia, ale za to pogrążony w

czarnej depresji. Trudno było w takiej sytuacji liczyć na normalną rozmowę z którymkolwiek z nich.

Po zwolnieniu Levina ze szpitala nie mogłam go tak po prostu posłać do diabła; ale przeniosłam jego łóżko do „gabinetu”. Po kilku dniach zadał oczekiwane przez mnie pytanie, kto z nich jest naprawdę ojcem dziecka.

Trudno mi było zdobyć się na salomonowy wyrok. Przyznałam się do sypania z Dieterem. Ale skoro on i Margot...

— Najlepiej będzie, jeśli jak najszybciej się rozwiedziemy.

Levin nie poruszał potem tego tematu przez dłuższy czas. Wydawało się, że nad czymś się zastanawia.

Każdego popołudnia odwiedzałam po pracy mojego nowego przyjaciela. Obejmowaliśmy się na przywitanie, nic więcej. Dzieci zaczęły darzyć mnie sympatią.

Moim partnerom zawdzięczam wiele muzycznych przeżyć. Jeden z nich przybliżył mi Mozarta, inny Satchmo. Levin lubił stare przeboje i Beatlesów. Paweł miał w domu pianino i wyśpiewywał z Lene dziecięce piosenki. Śpiewał przepięknym barytonem. Czasami grał dla mnie mały koncert, nucił Mahlera czy Brahmsa, trochę się przy tym certował, aż w końcu wybuchał serdecznym śmiechem i dawał za wygraną, zapominając się w śpiewie lub w grze.

Byłam zachwycona.

Któregoś razu pokazał mi stare zdjęcia swojej żony. „Piękna kobieta” — czy coś w tym rodzaju — powiedziała o niej Dorit. Ale ja, wiedząc o jej szaleństwie, znalazłam jego zapowiedź już w tych fotografiach. Czułam mróz, który bił od tej postaci, jak gdyby pochodziła nie z tego świata.

— Piękna nad podziw — powiedziałam ostrożnie.

— Piękna, ale nieszczerza — odparł Paweł — jej choroba dała o sobie znać po raz pierwszy w okresie dojrzewania, zataiła to przede mną. Cóż, może każdy by tak zrobił na jej miejscu.

Ufaliśmy sobie. Paweł był jedyną osobą z zewnątrz, którą wtajemniczyłam w kwestię podwójnego ojcostwa. Byłam wdzięczna, że mnie nie wyśmiał.

Pewnego dnia zastałam go w kiepskim nastroju. Bez słowa pokazał mi list polecony: właścicielka domu wymawiała mu mieszkanie.

— Teraz muszę znowu szukać mieszkania — skarżył się — jak ja tego nie cierpię! Jakbyś usłyszała, że gdzieś coś się zwalnia, daj mi znać.

Pracując w aptece, rzeczywiście dużo można usłyszeć, szczególnie o tym, kto właśnie umarł. Ale Paweł nie chciał za żadne skarby składać wizyt rodzinom nieboszczyków i pytać o zwolnione przez nich mieszkania.

Rozmyślałam całymimi dniami. Bardzo chciałam mieszkać z Pawłem pod jednym dachem. Wystarczyłoby miejsca, ale jak miałam wtedy porozdzielać pokoje? Akurat kiedy chciałam złożyć Pawiowi propozycję, ze szpitala wyszedł Dieter. Od czasu do czasu miała się nim jeszcze opiekować pielęgniarzka, ale leczenie szpitalne dobiegło końca.

Prawdopodobnie odmówiłabym przyjęcia przesyłki w postaci Dietera, ale Levin go przyjął i zapłacił za taksówkę. Rekonwalescent położył się w swojej sypialni, a Levin z kwaśną miną zaniósł mu coś do jedzenia. Wszystko było po staremu.

Wściekła weszłam po schodach na górę. Nie oglądałam Dietera od owej nieszczęsnej nocy sylwestrowej; upłynęły od niej już cztery tygodnie, ślady po duszeniu na mojej szyi zniknęły, ale moja dusza jeszcze się nie zagoiła.

Dieter był blady, wychudzony i śmiertelnie nieszczęśliwy. Spojrzał na mnie wzrokiem konającego. Nie miałam sumienia ani posłać go na ulicę, ani robić mu wyrzutów. Z ciężkim sercem postanowiłam tymczasem tolerować jego obecność.

Nazajutrz streściłam Pawłowi moją sytuację: obaj tatusiowie na powrót w domu, obaj cierpiący i w złych humorach.

— A jak układa się między nimi? — spytał Paweł. — Oni się przecież muszą nienawidzić.

Może i tak było, ale na razie nie skakali sobie do oczu, lecz wspierali się nawzajem w chorobie i cierpieniu.

— Który z nich myśli, że spłodził dziecko? — pytał dalej bezradnie Paweł.

— I jeden, i drugi. Ale ja niniejszym mianuję ciebie ojcem z wyboru, dwóm pozostałym odbieram ojcostwo z powodu złego prowadzenia się.

Paweł wybuchnął śmiechem.

TLR

— *Paweł mógłby tak przeschmuglować nam słoiczek neski — namawiała Rosemarie — w końcu dostaje od nas tyle masła...*

— *Ale skąd weźmiemy wrzątek?*

— *Przyniosę z oddziałowej kuchni, potrzebny nam jeszcze tylko termos.*

Skinęłam głowę; grunt to organizacja.

Nagle wszedł ordynator, był bez towarzyszącej mu zwykle świty. Rosemarie promieniała, chociaż nie zdążyła się dzisiaj wyperfumować ani założyć na jego cześć świeżej koszuli nocnej.

Przynosił dobre wieści: nie rozpoznano u niej choroby, nie znaleziono żadnych komórek rakowych.

— *Wiedziałam—powiedziała tylko.*

— *Jutro odłączymy cewnik, a w weekend może pani już wracać do domu — oświadczył lekarz.*

Odjęło mi mowę.

— *I u pani zbliża się termin — zwrócił się do mnie—przeniesiemy panią na oddział numer dwa...*

Czyli wkrótce nas rozdzielią.

Dorit odwiedziła mnie zalana łzami.

— *Twoja szefowa nie chce mi sprzedawać valium bez recepty, co ja teraz zrobię?— żaliła się.*

We wtorki po południu w aptece urzędowała Ortrud. Napisałam więc list do mojej byłej koleżanki i wręczyłam go Dorit. Z konieczności uciekłam się do lekkiego szantażu.

— *Dlaczego lekarz nie chce jej tego przepisywać? — naiwnie spytała Rosemarie.*

— *Ach, oni nie mają za grosz zrozumienia — powiedziałam — to konowały bez serca.*

Po traumatycznych przeżyciach sylwestrowej nocy Dorit zdążyła już kilka razy zadzwonić, a ja za każdym razem ją zbywałam. Mówiłam, że zaraz mi się zupa wygotuje, że jestem śmiertelnie zmęczona, że akurat ktoś dzwoni do drzwi albo że czekam na telefon od szefowej. Dorit nabrała podejrzeń i wreszcie zapowiedziała, że sama przyjdzie.

— *Żadnych fałszywych wymówek — ostrzegła. Wiedziała o wiele za dużo. Lene bawiła się z córeczką Dorit*

i zaraz wydało się, że codziennie odwiedzam ich w domu. Dorit zażądała wyjaśnień niczym pruderyjna guwernantka.

— *Lubimy się z Pawłem — powiedziałam możliwie beztrósco*

— *ale jeśli znowu coś wietrzysz, to się mylisz.*

— *Ależ nie, w końcu jesteś w ciąży — szydziła ze mnie Dorit*

— *poza tym powszechnie wiadomo, że dzieci w tym wieku często zmyślają. Lene opowiadała, że spałaś z Pawłem w jednym pokoju w hotelu i że byli przy tym z bratem. Wiadomo od razu, że to pobożne życzenia dziecka, które wychowuje się bez matki...*

Patrzyłyśmy na siebie badawczo.

— *A co Levin ma do powiedzenia na temat tej przyjaźni? — spytała w końcu.*

— *Był w szpitalu — odparłam, wiedząc, że nie jest to odpowiedź na pytanie Dorit.*

Moja próba zmiany tematu powiodła się.

— Co mu było? — spytała ze współczuciem.

— Dieter wybił mu cztery siekacze.

Dorit spojrzała na mnie z niedowierzaniem.

— Dlaczego?

— Po pijaku.

Wpatrywała się we mnie przerażona.

— Mam nadzieję, że z miejsca wyrzuciłaś tego Dietera za drzwi. Ale ty jesteś na tyle niemądra, żeby...

Rozmawiała ze mną jak z chorą. Nie jestem wprawdzie święta, ale stanowczo za dobra dla tego złego świata. Zaofiarowała się, że pogada z Levinem, aby jeszcze dzisiaj wyrzucił Dietera.

Po raz pierwszy w naszej długoletniej przyjaźni wybuchła między nami prawdziwa kłótnia. Zarzucała mi głupotę i syndrom pracownicy socjalnej.

W końcu wyrzuciłam z siebie:

— A może dziecko jest Dietera!

Dorit nie mogła mi uwierzyć. i

— Nie ma już dla ciebie żadnego ratunku — zawyrokowała.

Kiedy stan Dietera się poprawił, zarządziłam zebranie przy łóżku chorego. Levin nosił sztuczne zęby, których nie cierpiał; całą złość wyładowywał na mnie, a nie na sprawcy.

— Ona chce, żebyśmy rzucali kostką o dziecko — oznajmił Levin.

Dieter spojrział na mnie z żalem.

Zaraz mi się tu obaj popłaczą, pomyślałam.

— Nie — oświadczyłam — ale chcę, żebyście sobie poszukali innego lokum. Nie chcę już z wami mieszkać.

— Co ci takiego zrobiliśmy? — spytał Levin boleściwie.

— Dieter o mało co mnie nie zabił, a ty od samego początku zdradzałeś mnie z Margot.

— No dobrze, to teraz jesteśmy kwita — powiedział Levin.

Dieter, który ledwo się odzywał, otworzył wreszcie usta.

— Jeśli wyrzucicie mnie na bruk, to się zabiję — powiedział takim tonem, że od razu mu uwierzyłam.

— Co znaczy „wy” — zauważył Levin — przecież ona chce i mnie...

— No dobrze — powiedziałam — nie jestem aż tak bez serca, żebyście już dzisiejszą noc musieli spędzać w przytułku dla bezdomnych. Ale w przyszłości chcę sama mieszkać na parterze. Możecie rozlokować się we dwójkę na pierwszym piętrze, do czasu, aż znajdziecie coś lepszego.

Przyjęli propozycję bez słowa sprzeciwu.

Parter zwolnił się już następnego wieczora. Pod moją nieobecność Levin przeniósł cały swój dobytek na górę i zamieszkali z Dieterem w lubej samotności we dwóch.

Kiedy zaproponowałam wtedy Pawiowi, żeby wprowadził się do mnie, odmówił.

— Nie mogę przecież wychowywać dzieci w bezpośrednim sąsiedztwie wariata... — zająknął się, pewnie na myśl o swojej żonie — to jest, chciałem powiedzieć, choleryka!

Powoli nadchodziła wiosna, która jak co roku zawitała najpierw tu, na Bergstralse. W marcu wszystkie dzieci z sąsiedztwa urządziły powitanie wiosny i spaliły na rynku ogromnego bałwana z waty. Na początku kwietnia zaczęła kwitnąć moja magnolia, ale niestety za sprawą uporczywych opadów deszczu jej różowawe płatki wkrótce zbrązowiały i smętnie leżały na płytkach tarasu. Kiedy drzewa wiśni rozkwitły niczym ogromne białe bukiety, poczułam pierwsze ruchy dziecka. Ciąża przebiegała wzorowo, ginekolog był zadowolony.

Mimo odciążających zeznań Levina, Dieter został ukarany aresztem i niebawem miał swoje odsiedzieć. Bywało, że wpadaliśmy na siebie przy drzwiach wejściowych. Widać było, że mu strasznie głupio, trochę mnie to nawet wzruszało. Czasami, siedząc w ogrodzie, czułam na sobie jego wzrok, którym świdrował mnie z górnego piętra. Przeczynałam, że patrzy na mój powoli zaokrąglający się brzuch.

Levin również schodził mi z drogi. Na początku obawiałam się, że pod moją nieobecność będą korzystali z oranżerii i przede wszystkim z kuchni. Ale że obaj byli zręcznymi majsterkowiczami, urządzili sobie na piętrze również niszę kuchenną. Nie była to żadna prowizorka, wręcz przeciwnie: pełna technika, z nowoczesną lodówką o obłym kształcie, dwukomorowym zlewozmywakiem podłączonym do kanalizacji, zainstalowali też regały ze stali szlachetnej, brakowało tylko kafelków. Spali w osobnych pokojach i wydawało się, że prowadzą wspólne gospodarstwo domowe raczej z konieczności niż z sympatii.

Levin spytał dwa razy o moje samopoczucie i na szczęście nie domagał się ani pieniędzy, ani usług.

Za sprawą jednego tylko Pawła — kumpla i przyjaciela — nie czułam się w tych dniach samotnie. Poza tym byłam bez przerwy zmęczona, wcześniej chodziłam spać i cieszyłam się, że po codziennej wizycie u Pawła nie muszę już nikomu innemu dotrzymywać towarzystwa.

Któregoś dnia przyszedłam z wizytą i Paweł, jak to mieliśmy w zwyczaju, objął mnie na powitanie. Tak bardzo potrzebowałam ciepła, że tym razem przytuliłam się do niego z całej siły.

— Co z tobą? — spytał przestraszony.

W tym mężczyźnie podobało mi się prawie wszystko (z wyjątkiem tego, że od czasu do czasu nosił spodnie rybaczkowe i codziennie musiał posłuchać „Pięknej młynareczki”; ale od tego ostatecznie można go było odzwyczaić). Miałam nieprzepartą ochotę się z nim przespać, nie przestawałam o tym myśleć. Ale najwidoczniej nawet nie brał takiej ewentualności pod uwagę; kiedyś wreszcie musiałam przypuścić bezpośredni atak.

Akurat w chwili, kiedy zrezygnowana zwołałam uścisk, podszedł z ważną miną Kolja i obwieścił:

— Mama przyjeżdża na weekend!

Liczyłam się przez cały czas z takim obrotem rzeczy, ale jednocześnie starałam się o tym nie myśleć.

— Cieszysz się? — spytałam małego.

Popatrzył na mnie poważnie.

— Nie — odpowiedział.

— Bo mama jest chora — wyjaśniła Lene.

Paweł wytłumaczył mi, że przeprowadzają eksperyment; jego żona ma teraz spędzać każdy weekend w domu, żeby krok po kroku przyzwyczaić się na powrót do normalnego życia.

— Dzieci powiedzą jej o mnie — zauważyłam, upewniwszy się, że Lene i Kolja już nas nie słyszą.

— Już dawno to zrobiły — odparł Paweł.

Ogarnęły mnie wyrzuty sumienia. Ta kobieta na pewno mnie nienawidzi. W pewnym sensie zajęłam jej miejsce w tym domu.

— I jak zareagowała?

— Mój Boże, ona jest zbyt chora na to, żeby interesować się ewentualnymi konsekwencjami naszej przyjaźni. Jest ci wdzięczna, że zajmujesz się dziećmi.

Trudno było mi w to tak do końca uwierzyć, ale odczułam ulgę. Paweł nie zdradzał przecież swojej żony, nawet jeśli nie wiem jak bardzo bym sobie tego życzyła. Pewnie powiedział jej, że jedna szczęśliwa mężatka w ciąży zaprzyjaźniła się z ich dziećmi.

— Jak sądzisz, mam was odwiedzić w weekend? — spytałam.

Paweł pokręcił głową.

— To wszystko już i tak ją przerasta.

Nie sprawiał wrażenia ucieszonego.

— Dużym problemem będzie dla niej przeprowadzka — dodał po chwili — muszę ją uprzedzić, że nie będziemy mogli zostać w tym mieszkaniu.

Nieszczęście miał wypisane na twarzy.

W ten z konieczności samotny weekend odwiedziłam Dorit. Była na mnie zła, bo Dieter w dalszym ciągu u mnie mieszkał.

— Wyobraź sobie skrajną sytuację, że znowu dostanie jakiegoś szału i jeszcze zepchnie cię ze schodów.

— Nie, Dorit, on tak naprawdę nie jest...

Dorit nie rozumiała mnie.

— Zaczynam dochodzić do wniosku, że powinnaś raz na zawsze dać sobie spokój z mężczyznami, nie masz szczęśliwej ręki. Dziecko wychowuj w pojedynkę, sama na to zapracowałaś.

— Mogłabym być szczęśliwa z Pawłem.

— Paweł ma żonę, a ty męża.

W tej kwestii Dorit miała raczej staromodne poglądy, pewnie dlatego, że z własnego małżeństwa uczyniła jedyną obowiązującą normę.

Po wizycie u Dorit wybrałam się na samotny spacer; był łagodny wiosenny dzień, wybrałam ścieżkę wzdłuż Neckaru. To tutaj przyprawdzałam niemal wszystkich mych narzeczonych na pocałunki w świetle księżyca, tutaj też chciałam jako dumna matka wozić na spacerzy moje dziecko. Całymi rodzinami spacerowały tu również kaczki, a rozzłoszczone łabędzie wyciągały groźnie swoje długie szyje, stojąc na straży ukrytego w gąszczu trzciny gniazda.

Nagle dostrzegłam jakąś ludzką rodzinę, która zbliżała się do mnie z naprzeciwka: był to Paweł z żoną i dziećmi, które poznały mnie z daleka i teraz biegły mi na powitanie. Trochę się zdenerwowałam, nie chciałam, by Paweł pomyślał, że to spotkanie zostało przeze mnie zaaranżowane.

Alma podała mi na przywitanie wąską dłoń; była w dotyku jak śnięta ryba.

— Dzieci mi już o pani opowiadały — rzekła uprzejmie.

Paweł popatrzył na mnie dziwnym wzrokiem. W jego oczach zobaczyłam strach.

Gdybym miała opisać wygląd zewnętrzny Almy, musiałabym odwołać się do malowideł z okresu secesji i romantyzmu. Sprawiała wrażenie postaci z bajki. Powiewna jedwabna sukienka jak z dziewiętnastego wieku znakomicie podkreślała jej anemiczną urodę, na głowie miała słomkowy kapelusz ozdobiony różowymi wstążkami (a przecież o tej porze roku wszyscy bez wyjątku każdy promień słońca witali z wdzięcznością), na nogach jasnobrązowe buty na wysokich obcasach (zupełnie nie nadające się na spacer po wilgotnych błoniach nad rzeką). Wszystkie kolory były delikatne, głos cichy, oczy zamglone. *Do pełnego obrazu brakuje jeszcze tylko, żeby zaraz zemdląca* — myślałam poirytowana. Było dla mnie jasne, że ta osoba o wyglądzie mimozy nie jest w stanie wyszorować toalety.

— Chodź z nami, Hella — zaproponowała Lene — będzie weselej. Chcemy urządzić wyścigi.

Odmówiłam z godnością. Nie mogę przecież biegać z takim dużym brzuchem.

Alma straszyla potem w moich snach. Kilka minut wystarczyło, żeby pozostawiła na mnie niezatarte wrażenie. Nie wyglądała jak chora fizycznie czy psychicznie, a raczej jak rozpieszczone dziecko, które przebrało się za kobietę. Gdyby dane mi było spotkać Pawła dziesięć lat wcześniej, oboje oszczędzilibyśmy sobie nieodpowiednich związków, ale nic nie dało powtarzanie tego teraz na okrągło.

Ze względu na moją zaawansowaną ciążę byłam zwolniona z nocnej zmiany w aptece. Ale za to w domu nie mogłam liczyć na pomoc, sama musiałam wynosić śmieci, myć schody i okna na parterze, robić zakupy. Jedyne ogród utrzymywany był w porządku, prawdopodobnie przez Dietera. Zatrudniłam do sprzątania Portugalkę, która przychodziła raz w tygodniu. Na czym upływał czas Levinowi, nie wiedziałam; w każdym razie porsche zniknęło często, również nocami.

Paweł nie znalazł odpowiedniego mieszkania. Dieter i tak wkrótce miał się przeprowadzić do więziennej celi, więc Paweł rozważał ewentualność zamieszkania u mnie. W końcu się zdecydował, ale ja czułam, że nie był do końca przekonany — przystał na moją propozycję tylko jako na tymczasowe rozwiązanie. Większość sprzętów domowych chciał umieścić w przechowalni.

Mimo brzucha jak piłka i chronicznego zmęczenia pomagałam przy pakowaniu i opróżnianiu starego mieszkania. Skoro Alma ma przyjść w odwiedziny na weekend, nie może zastać nieporządku, to by ją tylko rozdrażniło. Zaczynałam zazdrościć tej kobiecie jej ze wszech miar wygodnej pozycji.

W dzień przeprowadzki Dorit zabrała do siebie dzieci Pawła, a ja wzięłam wolne i mówiłam tragarzom, do którego pokoju mają nosić poszczególne meble. Paweł mi dzielnie asystował. Każde z dzieci dostało po pokoju na mansardzie, Pawiowi przypadł mój gabinet.

Dopiero wieczorem poczułam, że się przeforsowałam. Zasnęłam na kanapie i nie można było mnie dobudzić.

Nazajutrz musiałam iść do pracy, więc o miłym śniadaniu we dwoje nie było mowy.

— *Gdzie Alma kupuje te swoje romantyczne ciuchy? — spytała jak zawsze praktyczna Rosemarie.*

— *Dostaje je od swoich bogatych rodziców trawionych wyrzutami sumienia.*

— *Powoli zbliżamy się też do szczęśliwego zakończenia — powiedziała Rosemarie — już zresztą najwyższy czas. Nie ma to jak przytulne mieszkanko we dwoje.*

— *We dwoje byliśmy tylko przez jakiś czas, kiedy Dieter siedział, a Levin podróżował po świecie. Pomijając osobne sypialnie, miałam teraz wszystko, co sobie wymarzyłam.*

— *Ja miałabym dla niego ładne imię — rzekła Rosemarie Hirte.*

A przecież powiedziałam jej, że nie życzę sobie rozmów na temat problemu w moim brzuchu. Słusznie przeczuwała, że opowiadaniem historii staram się zagłuszyć dręczące mnie obawy.

— *Na ostatnim USG było wszystko w porządku — uspokajała mnie.*

Jak widać nic sobie nie robiła z mojego zakazu. Dzięki niedyskrecji doktora Kaisera od dawna wiedziała, na czym polega problem: za sprawą anomalii łożyska embriion nie otrzymywał wystarczającej dawki pożywienia; moje drugie dziecko było za małe na swój wiek. Należało wkrótce doprowadzić do przedwczesnego porodu, wtedy będzie można zapewnić dziecku odpowiednie odżywianie poza moim organizmem.

— *To jakie imię proponujesz?*

Rosemarie uśmiechnęła się. — Jak ci się podoba Witold?

— *Ale to na pewno będzie dziewczynka. Poczekajmy może lepiej aż się...*

— *Okej, zostawmy ten temat. Proszę o dalszy ciąg rodzinnej idylli.*

Paweł odwiedził Almę w klinice, uparła się, że również kolejny weekend chce spędzić razem z dziećmi.

— *Ale przecież nie mogę tego od ciebie wymagać — żalił się przede mną.*

Chociaż w rzeczy samej nie paliłam się do goszczenia kłopotliwej Almy, powiedziałam wspaniałomyślnie:

— *Dlaczego nie, skoro tak bardzo chce...*

Tymczasem zrobiło się cieplej, ogród kwitł w najlepsze. Dzieci chciały się bawić na dworze; Paweł mógł siedzieć z Alną na łonie natury, tak żebym mogła

mieć spokój i mogła się często kłaść. Potrzebowałam odpoczynku. Ale odpoczynek nie był mi dany.

Siedziałam akurat z dziećmi w oranżerii, czytając im Brzydkie kaczątko, Paweł pojechał po Alnę. Ale już pięć minut później Lene wykrzyknęła:

— Samochód! Pewnie tata wraca!

Podeszliśmy do okna i naszym oczom ukazał się Levin: razem z jakimś obcym mężczyzną wyładowywali walizki z porsche. Obaj opaleni, w niepraktycznych białych garniturach, jak młodzi bogowie, od których na kilometr czuć wielki świat. Mieli odjazdowe okulary słoneczne i ekstrawaganckie kapelusze, co szczególnie Levinowi nie pasowało. Na jego ustach pojawił się uśmiezek alfonsa, którego przedtem nigdy u niego nie widziałam. Westchnęłam i odciągnęłam dzieci od okna, by mój małżonek czasem sobie nie pomyślał, że jest niecierpliwie oczekiwany.

Później przyjechał Paweł z Alną. Globtroterów na szczęście nie było widać, ale z pierwszego piętra dobiegał dźwięk ich kroków, szum odkręcanej wody, najwyraźniej kapali się i wypakowywali.

Paweł z miejsca zrozumiał, ujrzawszy porsche. Za plecami Almy pytająco wskazał do góry. Potaknęłam tylko.

Alma wyglądała na mocno zmęczoną podróżą. Od razu położyła się na hamaku, wskoczył na nią zaraz Tamerlan. Dzieci zaczęły ją huśtać. Patrzyłam na ten malowniczy obrazek nie bez odrazy. Poza tym miałam zaszczyt przygotowania i przyniesienia Alnie do hamaka herbatki wspomagającej trawienie. A Paweł poprosił, bym zaproponowała jego żonie, byśmy przeszły na ty.

Kiedy siedzieliśmy przy obiedzie, rozległo się pukanie i w tym samym momencie otworzyły się drzwi. Do środka wpakowali się Levin i nowi. Rzucili nam „cześć”, gapiąc się natrętnie na parujące klopsy i gulasz. Levin spytał:

— Nie mogłabyś pożyczyć nam kilku kromek chleba?

Nagotowałam obficie, jak zwykle. Chciałam udać gościnną

i zaprosić ich do stołu, ale Paweł, przeczuwając moje zamiary, zawczasu rzucił mi ostrzegawcze spojrzenie. Wstałam więc, żeby przynieść chleb ze spiżarni.

Nagle wtrąciła się Alma, przejmując rolę miłej gospodyni domu:

— Ależ proszę usiąść, wystarczy dla wszystkich. Paweł, bądź tak dobry i przynieś jeszcze dwa nakrycia i sztucce.

Zanim zdążyłam usiąść, Levin już przyciągnął dwa krzesła i przyniósł z szafy talerze, bo Paweł ani myślał się ruszyć.

Byli głodni i w doskonałych humorach. Zwykle apatyczna Alma jakby odżyła, dzieci dostały małego rozumu i brudziły mój biały obrus.

Levin rozglądał się po oranżerii z ciekawością, a może nawet i melancholią. Zdawał się nie dostrzegać mojego brzucha, a obecność sublokatorów przyjmował bez specjalnego zdziwienia. Demonstracyjne milczenie Pawła ignorował.

Ledwo co przełknęliśmy ostatni kęs, kiedy Paweł gwałtownie wstał i nie znoszącym sprzeciwu tonem skierował mnie i Almę do łóżek — potrzebna nam poobiednia drzemka — podczas gdy on zadeklarował się, że z pomocą dzieci posprząta w kuchni. Goście zrozumieli, że wizyta skończona.

Wyszłam bez słowa, nie miałam najmniejszej ochoty na sprzeczkę — wszystko jedno, z kim.

— Już wysprzątane na błysk — obwieścił Paweł, kiedy piliśmy kawę w ogrodzie.

Alma spytała, patrząc na mój brzuch:

— Który z kawalerów jest ojcem?

Paweł i ja wymieniliśmy rozbawione spojrzenia.

— Ten wysoki, nazywa się Levin — odpowiedział za mnie Paweł.

Zainteresowanie Almy otoczeniem ograniczało się na szczęście do tego punktu; chyba nie zwróciło jej uwagi, że mój mąż mieszka osobno. Jej zmęczony wzrok błędził po kwitnącej łące (były trawnik Hermanna Grabera trochę

zdziaczał) i zdawała się rozkoszować kawą, słońcem i wolnością. Jej blada dłoń bez życia spoczywała na ramieniu Pawła, przyglądałam się temu nie bez niechęci. Na domiar złego chyba mój nieobliczalny kocur się nią bardzo zainteresował, wygodnie umościł się na jej kolanach, ale nie mruczał, lecz z uwagą przypatrywał się otoczeniu...

Nagle, potykając się, wbiegła Lene i nie mogąc złapać oddechu, wyszlochała:

— Kolja!

Pawła i mnie aż poderwało do góry i pobiegliśmy w kierunku, który wskazywała rączka Lene. „Mumia” nawet nie drgnęła.

Kolja spadł z drzewa. Rozbił sobie głowę i leciała mu krew, ale rana wydawała się niegroźna.

— Potrzebny mi tylko plaster — rzekł dzielnie chłopiec.

Paweł zaniósł go do domu, a ja wycięłam mu kępkę włosów i przyłożyłam czystą szmatkę na zranione miejsce.

Paweł zdecydował, że ranę trzeba zszyć. Założyłam opatrunek, po czym Paweł pojechał z synem do szpitala.

Chcąc uspokoić Lene, która asystowała opatrywaniu brata, zanosząc się głośnym płaczem, wzięłam ją na ręce i zabrałam prosto do naszego słonecznego miejsca w ogrodzie. Irytowało mnie, że Almy w ogóle nie obchodził wypadek Kolji. Spodziewałam się, że zastanę ją siedzącą ze stoickim spokojem w rattanowym fotelu, ale nie było jej tam, zniknęła. Ruszyłam od razu na poszukiwanie, ale nie znalazłam jej ani w ogrodzie, ani w domu.

Czy Alma wślizgnęła się do samochodu Pawła?

Zamyślona usiadłam na schodach. Lene powoli się uspokajała, nie chciałam denerwować jej znowu gorączkową akcją poszukiwawczą. Ale sama spytała:

— Czy mama pojechała z nimi?

— Tak — odpowiedziałam.

Jak długo nie będzie Pawła? Wiedziałam, że w dni wolne od pracy w poczekalniach oddziałów chirurgicznych pogotowia ratunkowego zawsze zbiera się pokaźna liczba pacjentów — niedzielni piłkarze, ogrodnicy-hobbyści oraz ten i ów dręczony wyrzutami sumienia tatuś, który w trakcie weekendowych akrobacji zwichnął rękę córeczce.

Nieobecność Almy nie dawała mi spokoju. Trzymając za rączkę Lene, od nowa przespacerowałam się po ogrodzie, w tę i z powrotem po ulicy przed domem, zajrzałam do piwnicy i do wszystkich pokoi. Dziecku powiedziałam, że szukamy kota. Wreszcie, bezradna, niechętnie zapukałam do mieszkania Levina. Gdy tylko otworzył, usłyszałam kobiecy głos i odczułam ogromną ulgę. Alma siedziała z „kawalerami” przed telewizorem.

— Chciałam się tylko upewnić... — zaczęłam.

— Chodź do nas — zapraszał Levin — właśnie oglądamy turniej tenisa.

Odmówiłam i wyszłam szybko. Kiedy znalazłam się na parterze, ogarnęły mnie wyrzuty sumienia. Levin i jego towarzysz podróży nic nie wiedzieli o psychozie Almy, miałam nadzieję, że nie będą częstowali jej alkoholem. Czy Levin nie trzymał aby w ręku szklaneczki z whisky? Alma brała przecież leki psychotropowe.

Minęło jeszcze półtorej godziny i nadjechał Paweł. Kolja z własnej woli założył piżamę i chciał, żebyśmy się nim zajmowali jak zranionym bohaterem. O mamę nie pytał.

— Alma siedzi na górze przed telewizorem — poinformowałam Pawła.

Posłał mi niezbyt przyjazne spojrzenie i poszedł na górę.

Kiedy przyprowadził żonę na dół, była najwyraźniej niezdrowo podekscytowana. Lene, nie pytana, opowiedziała jej o wypadku Kolji. Ku naszemu zdziwieniu Alma serdecznie się przy tym uśmieła, popatrzyliśmy na siebie z Pawłem zdziwieni.

— Kiedy będzie kolacja? — spytała Alma. W klinice nabrała zwyczaju wczesnego jadania ostatniego posiłku i chodzenia spać z kurami.

Paweł poszedł do kuchni, ja zaczęłam nakrywać do stołu.

— Nie tak — powiedziała Alma — o dwa talerze za mało.

— Levin i jego znajomy jedzą na górze — odparłam tonem nie znoszącym sprzeciwu, na co oczy Almy nabiegły łzami.

Paweł pogłaskał ją, jak gdyby była jakimś zwierzątkiem, i dał jej trzy różne tabletki, które posłusznie łyknęła. Po kolacji grzecznie poszła spać, a my posiedzieliśmy jeszcze z dziećmi, wysłuchując po raz piąty opowieści, jak to Kolja spadł z drzewa.

Kiedy nadszedł czas pójścia do łóżek, musieliśmy się znowu przesortować. Ja przeniosłam się do gabinetu. Alma spała już w najlepsze w moim małżeńskim łóżku, razem z nią dzieci. Jakoś nie polubiły dalekiej mansardy, która tej nocy przypadła Pawiowi.

Obudziłam się w środku nocy. Paliło się światło, a przede mną stała Alma. Czułam się, jakbym dalej śniła. Wyglądała jak jedna z bohaterek południowo-amerykańskich powieści dla młodych panien, którym murzyńskie niewolnice poprawiają koldrę przed zaśnięciem. Bohaterki są zazwyczaj blade i flegmatyczne, z długimi włosami, lśniącymi i wyszczotkowanymi przez nianię.

— Gdzie jest Paweł? — spytała, wpatrując się w łóżko, jak gdyby spodziewała się zastać go pod moją koldrą. Po raz pierwszy dostrzegłam w jej twarzy podejrzliwość.

— Leży w łóżku Kolji, w mansardzie.

Usiadła na moim posłaniu. — A gdzie śpi twój mąż?

Zaspana pokazałam do góry; nie miałam zamiaru zdradzać jej żadnych szczegółów.

— Pedał? — spytała z ożywieniem.

Pokręciłam tylko głową i ostentacyjnie zamknęłam oczy.

Zrozumiała i podniosła się do wyjścia.

— A tak w ogóle, kawalerowie nie są ani trochę nudni — to była jej ostatnia głupawa uwaga.

Zasypiając, pomyślałam, że powinna nazywać się „Desiree”.

Przespaliśmy cały ranek. W końcu pierwsze wstały dzieci i zaczęły kopać piłkę w ogrodzie. Kolja nic sobie nie robił z wczorajszego zakazu kolejnych ekscesów. Z trudem wstałam z łóżka, zawołałam dzieci do środka i poszłam pod prysznic, zastanawiając się, czy nie podać jajek na śniadanie.

Jutro o tej samej porze już jej tu nie będzie, pocieszałam się. Mężczyzna i dwójka dzieci to nie było jeszcze tak źle, ale mężczyzna, dwójka dzieci i wariatka? Poza tym sprawiała wrażenie zepsutej i do tego leniwej. Moim zdaniem sprytnie wykorzystywała swoją chorobę, żeby nie brać na siebie ani odpowiedzialności, ani drobnych prac, lecz móc prowadzić wygodne życie rozpuszczonego dziecka.

Paweł też wstał i pomógł mi w kuchni.

— Mam nadzieję, że to jej pierwszy i ostatni spędzany tutaj weekend — powiedział. — Musimy znaleźć inne rozwiązanie.

Alma piła kakao razem z dziećmi. W pewnej chwili przyszła jej ochota, żeby dręczyć syna zadaniami z rachunków, które z początku niechętnie rozwiązywał, ale w końcu się zbuntował.

— Daj mu spokój, przecież jest niedziela — usprawiedliwiał go Paweł.

Tak też zrobiła i położyła się w hamaku z Tamerlanem, przyglądając się, jak sprzątamy ze stołu. Potem zasnęła. Chciałam wybrać się na samotny spacer, ale dołączyła do mnie Lene.

Kiedy wróciliśmy, Kolja i Paweł siedzieli przed telewizorem, leciał akurat film rysunkowy, a Lene marudziła, że opuściła połowę. Gdzie była Alma?

— Śpi.

Z niedowierzaniem zajrzałam do hamaka i do wszystkich moich łóżek. Najwidoczniej była znowu na górze. Poinformowałam zaraz Pawła.

Zmarszczył ponuro brwi.

— Proszę cię, przyprowadź ją ty, mnie to tak mierzi...

Mnie też mierziło, ale posłuchałam. Obyło się bez dzwonienia czy pukania, wszystkie drzwi stały otworem. Nie zauważyli mojego nadejścia, głośno rozmawiali przy radio ryczącym na cały regulator.

— To dziecko nie jest moje — usłyszałam głos Levina.

Cała trójka zaśmiała się głośno. Alma rzuciła jakiś komentarz swoim cieniem głosikiem.

— Masz całkowitą rację, bo to moje dziecko — powiedział nieznajomy, wzbudzając niemal taką samą wesołość, jak swojego czasu dowcip o aniele śmierci.

Niezauważona, wymknęłam się z powrotem na dół. Poszłam do swojego pokoju, przekreśliłam zamek i wybuchłam płaczem z powodu ludzkiej podłości. Czy to naprawdę był mój problem, że ta „mumia” popijała na gorze piwo? Z własnej woli nigdy już nie przekroczę progu mieszkania Levina.

W pewnej chwili do drzwi energicznie zapukał Paweł. Otworzyłam. Skłamałam, że dostałam bólów na schodach. Paweł stropił się, przypisując winę sobie i swojej rodzinie, i sam poszedł po Alnę.

Kiedy zasiedliśmy do obiadu, Alma sprawiała wrażenie podekscytowanej i lekko obrażonej, jej zwykle rozmemłanie znikło jak ręką odjął.

Paweł przyglądał się jej z niepokojem.

— Może odwiedzić cię już dzisiaj? — spytał łagodnym głosem. — Jesteś pewnie zmęczona.

— Chcecie się mnie pozbyć? Nie ma, obietnica to obietnica — powiedziała z nagłą pewnością siebie.

Wobec mnie zaczęła okazywać irytację: była to naturalna reakcja na pozycję, jaką zajmowałam w jej rodzinie, którą potrafiłam doskonale zrozumieć w przeciwieństwie do jej dotychczasowej obojętności.

Kiedy Alma przez dłuższy czas nie wracała z toalety — bo najwyraźniej znowu wymknęła się na górę mimo zakazu — Paweł zrezygnowany machnął ręką.

— Skoro jej się tam tak podoba — powiedzieli — nie będę wiecznie jej ściagał. Przecież nikt tam jej nie...

Milczałam. Problem polegał na tym, że Levin nie przeczuwał, z kim ma do czynienia. Mógł jej bez żadnych skrupułów zaproponować skręta czy whisky. Ale czy to ja byłam odpowiedzialna za zdrowie Almy?

Trzymali ją na oddziale kobiecym i rzadko widywała mężczyzn. Zresztą byłam przekonana, że nie chodzi jej o wzbudzenie zazdrości Pawła czy też zemstę za jego domniemaną niewierność. Zachowywała się raczej jak pięcioletnia dziewczynka, która jeszcze bez wpojonego jej przez dorosłych poczucia wstydu z entuzjazmem dołącza się do towarzystwa wesołych kolegów. Levin i jego nowy znajomy cieszyli się oczywiście z wizyty kobiety, tym bardziej że złościło to Pawła. Ciekawe, o czym z nią rozmawiali?

— Mam wątpliwości, czy plan lekarzy się powiedzie — powiedział Paweł. — Chcą ją pomału przyzwyczajać do powrotu do normalności. Ale faza przejściowa trwa już długo, może rzeczywiście nie będzie już miała swoich ataków. Jednak kiedy ją ukradkiem obserwuję, zaczynam mieć złe przeczucia.

Zgadzałam się z nim. Ja też miałam wrażenie, że nie można jej z czystym sumieniem zostawić samej, a co dopiero z dziećmi. Przy tym nic złego nie robiła ani nie wygadywała żadnych niestworzonych rzeczy. Gdyby pominąć jej tępy wzrok, z pewnej odległości sprawiała nawet wrażenie zupełnie normalnej.

— Mój Boże — westchnął Paweł — powinnaś ją była zobaczyć, kiedy brałszy ślub! Wszyscy zazdrościli mi żony: piękna, mądra, czarująca, oryginalna. Czasem bierze mnie ochota, żeby wyrzucić te przekłete pigułki, które wymazują jej osobowość i robią z niej uzależnioną od lekarstw marionetkę.

Popołudnie przebiegło bez zgrzytów. Alma poszła na spacer ze swoją rodziną, ja zostałam w domu i odpoczywałam. Porsche zniknęło. Po dwóch godzinach leniuchowania zaczęłam niemal tęsknić za moimi gośćmi.

Alma była wprawdzie bardzo zmęczona po długiej wędrówce, ale zwracało uwagę jej wzrastające podniecenie. Wiedziałam już, co robi przy pierwszej nadarzającej się okazji. I rzeczywiście wkrótce wymknęła się z salonu, choć zaraz wróciła na dół z zawiedzioną miną.

Od czasu do czasu czułam na sobie jej czujne spojrzenie.

W tym może rzeczywiście niezbyt pasjonującym miejscu opowieści niemiło przerwało mi głośne chrapanie Rosemańe i zamilkłam obrażona.

TLR

Przy śniadaniu Rosemarie okazała skruchę.

— *To nie twoja wina, że zasnęłam, to na pewno te hormony, które mi wstrzykują.*

Może rzeczywiście miała rację. Zmięklam trochę, kiedy z miną winowajcy rzuciła mi na łóżko swoje opakowanie dżemu truskawkowego i cukier w kostkach.

— *Wiesz co — zaproponowałam — dam mojej córeczce twoje imię; ale nie to drugie, bo Thyra brzmi dla mnie zbyt ekscentrycznie — tylko połowę Rosemarie.*

— *A którą połowę? — spytała mile polechtana.*

— *To będzie mała Marie.*

— *Musimy więc za to wznieść toast!*

Stuknęłyśmy się grubymi kubkami tak energicznie, że trochę kawy zbożowej, do której dosypałyśmy po cichu neski, wylało się na brzoskwiniowego koloru rękaw Rosemarie.

— *Ale dzisiaj muszę wysłuchać zakończenia historii — powiedziała — i zakładam, że będą ofiary.*

— *Cierpliwości.*

Na kolację podałam wędzonego łososa z sosem koperkowym.

— *To mój ostatni posiłek — rzekła Alma, myśląc zapewne o czekających na nią w klinice cienkich zupkach.*

Jak zwykle poszła spać jako pierwsza, a za nią dzieci.

Koło północy zbudził mnie okropny sen. Nie mogłam sobie przypomnieć szczegółów, ale zaczynał się niewinnie: przede mną ramię w ramię stali Alma i Tamerlan (ludzkich rozmiarów) i mówili: „Chcemy się pobrać!” Tamerlan miał na sobie siedmiomilowe buty, jak przystało na kota z bajki, do tego disneyowski kostium Robin Hooda. Błada Alma przebrana była za Królową Śnieżkę. „Jeśli dasz mi Tamerlana na męża, to oddam ci Pawła” — powiedziała, a ja cieszyłam się z udanej zamiany.

„Żeby jednak sprawiedliwości stało się zadość — ciągnęła Alma — zabrałam sobie też twoje dziecko”.

W panice szukałam mojego dziecka w zimnym jak lód lesie pełnym martwych drzew.

— Jak w złej bajce! — wyjąkałam, próbując się dobudzić. Wreszcie wstałam, poszłam do kuchni napić się mleka, zajrzałam do dzieci, które spały spokojnie obok Almy w małżeńskim łóżu, i popatrzyłam przez okno w ciemność ulicy.

Przed dom zajechało porsche. Trochę późno, moi panowie — powiedziałam w duchu. Przeszłam do oranżerii. Paweł leżał w hamaku i czytał. Przytulaliśmy się potem do siebie czule i długo, aż do chwili, kiedy drzwi oranżerii otworzył Tamerlan, stanął przed nami i wydał z siebie cichy pisk. Podniosłam wzrok i ujrzałam stojącą w ciemnym korytarzu Almę w koronkowej koszuli nocnej.

Paweł natychmiast mnie puścił i aż go poderwało z hamaka.

— Co jest, nie możesz spać? — spytał niezręcznie.

Popatrzyła na nas wzrokiem konającego, po czym zniknęła, ja zresztą też. Zasypiając, miałam pod powiekami jej śmiertelnie smutną postać.

Kilka godzin później — była może trzecia — znowu się obudziłam. Kocur wskoczył mi bezceremonialnie na klatkę piersiową, czego nigdy nie robił. Pogłaskałam go. Tamerlan nie przepadał za gośćmi, poza tym na pewno przenosiłam na niego własne zdenerwowanie. Nie dawał mi spokoju, deptał po mnie bez przerwy. Włączyłam światło i popatrzyłam na zegarek. Nagle poczułam smród spalenizny i od razu stanęłam na równe nogi.

W korytarzu dym był znacznie bardziej intensywny; kaszląc, pobiegłam do mojej sypialni. Almy nie było. Bez ceregieli zbudziłam śpiące dzieci.

— Ubierzcie się, i to raz dwa! — poleciłam i już byłam u Pawła, który zasnął w hamaku.

Zbudził się w trymiga, poowijał dzieci w koce, zaprowadził do samochodu i odjechał pięćdziesiąt metrów dalej. Ja w tym czasie wezwałam straż pożarną.

Parę minut później załomotałam do zamkniętych drzwi Levi- na. Słyszałam, jak w mansardzie szaleje ogień, który już zaczynał pożerać drewniane schody. Paweł głośno wołał Almę.

O wiele za długo trwało, zanim Levin i jego znajomy, obaj tylko w majtkach, podeszli do drzwi. Almy z nimi nie było. W mig pojęli sytuację.

O dziwo Levin zachował zimną krew.

— Dym ci zaszkodzi — powiedział — musisz jak najszybciej wyjść na świeże powietrze. My wszystkim się zajmiemy.

Najpierw wyjechał porsche i mercedesem Dietera sprzed domu, żeby zrobić miejsce straży pożarnej. Potem powyrzucał przez okno ubrania i buty.

Towarzyszowi podróży Levina zawdzięczam uratowanie mojej biżuterii, albumów ze zdjęciami i części pamiątek. W błyskawicznym tempie dokonał zadziwiająco trafnej selekcji i wyniósł wszystko w plastikowej wanience i dwóch walizkach, jeszcze zanim zdążyły nadjechać wozy strażackie.

Strażacy spytali, czy kogoś brakuje, i wkroczyli do domu z założonymi aparatami tlenowymi. Na wszystkich piętrach płonęły panele, parkiety, wyłożone płytami sufity, szafy wbudowane w ściany, firanki, dywany i łóżka, schody zamieniły się w zapadającą się pułapkę. Na ulicę wybiegli sąsiedzi i razem z nami patrzyli, jak lśniąca kawałki domu lekko jak bańki mydlane podnoszą się z płomieni i opadają z powrotem w żar.

— Ale ładnie! — zachwycała się Lene.

—Jeśli Alma jest w mansardzie — powiedzieli strażacy, którzy próbowali dostać się na górę po długiej obrotowej drabinie — to nie ma już dla niej ratunku.

Paweł był w szoku.

Pod wielką jodłą Levin zobaczył połyskujące w ciemności fosforyzujące oczy kota. Schylił się, żeby wziąć na ręce przestraszone zwierzę i wtedy znalazł Almę. Zatręła się dymem i miała poparzenia na całym ciele, ale była przytomna. Paweł objął ją bez słowa. Strażacy wezwali karetkę pogotowia.

— Chciałam się zabić — wyjąkała Alma.

Została zawieziona do kliniki w Oggersheim, Lene i ja pojechałyśmy do Dorit, Paweł z synem do zaprzyjaźnionego kolegi. Gdzie tej nocy znalazł schronienie Levin, nie wiem do tej pory. Mój dom spłonął doszczętnie, nie było czego ratować. Okazało się, że w mansardzie ktoś rozlał benzynę.

Może z czasem przeboleję tę stratę i może zbledną wspomnienia wypadków, które wydarzyły się w tym domu.

Alma opowiadała nam potem, że zobaczywszy nas w nocy w oranżerii poszła na górę, by pożegnać się z Levinem i jego znajomym. Wypili razem butelkę śliwownicy. Levin dał jej do zrozumienia, że jestem w tej ciąży z Pawłem.

Z odziedziczonego majątku i odszkodowania za pożar kupiłam potem dom w Weinheim, w tak zwanej dzielnicy Nibelungów, gdzie teraz mieszkamy z Pawłem, Kolją, Lene, Niklasem i Tamerlanem, prowadząc miły mieszczański żywot. Jak tysiące innych matek przy karmieniu mojego dziecka otwieram buzię razem z nim, ścinam wełniste włosy Kolji (które zupełnie jak włosy jego ojca zbijają się w gęste kołtuny) i przy śniadaniu oblizuję z dżemu rączki Lene. Na doktorat już chyba nigdy nie znajdę czasu. Od czasu do czasu przychodzą kartki z północnych Niemiec, gdzie Levin z Dieterem handlują używanymi samochodami. Pożyczyłam im pieniądze na rozkręcenie interesu.

—*To w końcu kto jest tatą małego Niklasa?* — pyta Rosemarie.

—*Nie wiem i nie muszę wiedzieć. Ważne, że Paweł jest ojcem małej Marie.*

— Czyli *happy end*? — chce wiedzieć Rosemarie. — I żyli długo i szczęśliwie?

— To zależy. Dla moich rodziców jestem kobietą upadłą, dlatego że oboje z Pawłem jesteśmy dalej w związku małżeńskim, tyle że nie ze sobą.

Rosemarie milczy. Czy mnie w ogóle słucha? Za godzinę przyjedzie taksówka i zawiezie ją do domu. Przedtem chce zjeść jeszcze tutaj obiad, żeby zaoszczędzić na domowym budżecie, jak sądzę.

Przynoszą nam posiłek, a moja towarzyszka z ciekawością zagląda pod pokrywkę swojego nakrycia: dziś na obiad są, po raz czwarty, odkąd tu jesteśmy, mięsne klopsy z sosem z kaparów. Niechętnie dziobię widelcem w mojej porcji, ale bez dodatku soli, listka laurowego i kilku kropel soku z cytryny nie da się tego przełknąć.

Rosemarie sama rzadko gotuje, toteż nie ma nic specjalnego do zarzucenia mdłej szpitalnej diecie; nie lubi tylko kaparów.

Skrętnie wylawia ciemne kuleczki z sosu i zgarnia je widelcem na brzeg talerza.

— Ten spadek po twoim dziadku też pewnie spłonął...? — pyta nagle. Widocznie słuchała mnie z większą uwagą, niżbym sobie tego życzyła.

— To, co było w willi piwnicą, ocalało. I po urodzeniu Niklasa, który przyszedł na świat zdrowy i bez żadnych problemów, jednego dnia postanowiłam tam pobuszować. No i uratowałam różne przedmioty, które nie przedstawiały dla złodziei żadnej wartości, a wśród nich także pewną doniczkę.

— Cudownie, Hella, w takim razie trzeba załatwić mojemu chrześniakowi legalnego ojca...

Nie wspominałam, że chcę, żeby ona została matką chrzestną. Do czego zmierza?

— Ty możesz wziąć rozwód z Levinem?

— Pewnie, on nie ma ochoty na następne kukułcze jajo; ale co z tego? Paweł boi się zostawić chorą Alnę.

— Właśnie o Almę chodzi. Słuchaj, ona tak lubi tę naszą pasztetową z pieprzem — zamyślona Rosemarie przesuwa kapary po pełnym sosu talerzu. — Miałabym taki jeden przepis: wycisnąć pasztetową z flaka, wydłubać dwa ziarenka pieprzu z drugiego końca, na ich miejsce włożyć truciznę, flak z powrotem napętnić...

Klops staje mi w gardle.

Nie dając się zbić z tropu, rozgorączkowana Rosemarie mówi dalej:

— Najlepiej będzie wtedy gdzieś wyjechać. Macie czwórkę dzieci, wynajmujecie więc domek letniskowy...

Z przerażenia wypluwam klopsa na stolik przy łóżku. W jednej chwili uświadamiam sobie, że do końca życia nie tknę mięsa.

— Końcówkę pasztetowej Alma zje dopiero po kilku dniach.